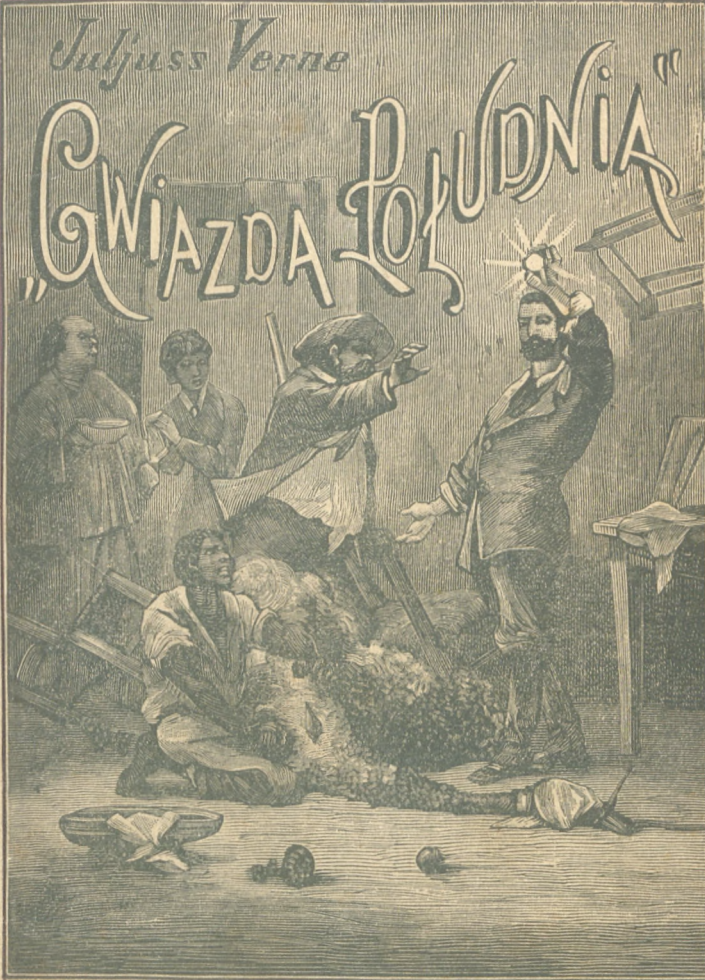


JULIUSZ VERNE ✿ PISMA ✿ TOM VI



WARSZAWA ✿ NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA  
KRAKÓW ✿ G. GEBETHNER I SPÓŁKA ✿✿✿✿✿

1648

750.185

8491

GWIAZDA POŁUDNIA

## Juliusz Verne, Pisma:

- Tom I. Podróż naokoło świata w 80-ciu dniach.
- » II. III. Piętnastoletni Kapitan. 2 tomy.
  - » IV. Pięćtygodniowa podróż balonem nad Afryką.
  - » V. Czarne Indyje.
  - » VI. Gwiazda południa.
  - » VII. 500 milionów Begumy.
  - » VIII. Przygody na okręcie «Chancellor».
  - » IX. Naokoło księżyca.
  - » X. Pustynia lodowa.

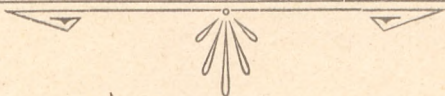
Cena każdego tomu 75 kop.

W oprawie karton. 90 »

Wyspa tajemnicza. 2 tomy. Rb. 1.50. Karton. Rb. 1.80.

JULIUSZ VERNE. PISMA. VI

---



# GWIAZDA POŁUDNIA

POWIEŚĆ

PRZEKŁAD Z FRANCUSKIEGO R. G.  
WYDANIE NOWE z ILLUSTRACYAMI



WARSZAWA  
NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA  
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA  
1909

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001017552750



I 50.185

w. inw. I 1567.623

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

1988 K 561/41



## ROZDZIAŁ I.

### Narwani Francuzi.

— Proszę mówić, słucham pana!

— Panie, mam zaszczyt prosić o rękę córki pańskiej.

— O rękę Alicyi?

— Tak, panie. Moja prośba dziwi pana? Czy wolno mi wiedzieć, co w niej widzisz tak nadzwyczajnego? Mam lat 26 i nazywam się Cypryan Méré. Skończyłem politechnikę i otrzymałem dyplom inżyniera-górniczego. Rodzina moja cieszy się ogólnym szacunkiem, pomimo, że niezalicza się do bogatych. Konsul francuski w Kapsztadzie może, jeżeli pan tego zażąda, potwierdzić prawdziwość słów moich, jak również, znany panu i całej okolicy nieustraszony strzelec, a mój przyjaciel, Pharamond Barthes.

Przyjechałem tutaj, będąc delegowanym przez Akademię Nauk i rząd francuski.

W roku zeszłym zdobyłem nagrodę imienia Hudarta za pracę o składzie chemicznym skał wulkanicznych Owernii. Rozprawa o polach dyamentowych w Waalu, którą kończę, prawdopodobnie będzie dobrze przyjęta przez świat naukowy; gdy wrócę do Paryża czeka mnie stanowisko docenta przy szkole górniczej, zamówiłem już nawet mieszkanie przy ulicy Uniwersyteckiej pod Nr. 104, na trzecim piętrze. Dochody moje wynoszą 4800 franków, nie jest to bogactwem, mogę jednakże łatwo sumę tę podwoić: przez lekcye prywatne, nagrody konkursowe i współpracownictwo w czasopismach naukowych. Dodaję jeszcze, iż mając małe potrzeby, będę się czuł w tych warunkach zupełnie szczęśliwym.

Powtarzam więc prośbę o rękę córki pańskiej.

Stanowczość z jaką przemawiał, dowodziła, iż Cypryan Méré zawsze zwykł był zmierzać prosto do celu, nie przebieając w środkach.

Wyraz twarzy młodego człowieka nieprzeczył jego słowom. Była to poważna fizyognomia uczonego nawykła do abstrakcyjnej myśli a błahostkom tego świata nie wiele czasu poświęcająca.

Włosy ciemne, krótko ostrzyżone, mała,

jasna bródka; proste ubranie podrózne z szarego sukna, kapelusz słomkowy za 10 sousów; wszystko to świadczyło o poważnym nastroju inżyniera, który widocznie niedbał o elegancję swego wyglądu, jasne zaś jego spojrzenie kazało się domyślać czystego serca i sumienia.

Dodać jeszcze musimy, iż młody francuz mówił tak poprawnie po angielsku, jak gdyby przez czas dłuższy przemieszkował w połączonym Królestwie Wielkiej Brytanii.

Puszczając kłęby dymu z dużej fajki pan Watkins ze spokojem przysłuchiwał się mowie inżyniera. Siedząc na drewnianym fotelu z lewą nogą wyciągniętą na słomianem krześle z łokciem opartym na prostym stole, miał przed sobą pan Watkins dzban z dżynem, z którego nalewał dość często do obok stojącej szklanki, rozkoszując się mocnym napojem.

Był on ubrany w białe spodnie, kamizelkę z grubego niebieskiego płótna, i w koszulę flanelową bez kołnierza. Z pod ogromnego filcowego kapelusza, który zdawał się być przyrośniętym do szpakowatej czupryny, wyglądała twarz nabrzmiała, czerwona, pokryta naroślami i kępkami zarostu, a rysy jej bynajmniej nie zdradzały dobroci ani wyrozumiałości. Na usprawiedliwienie pana Watkina

dodać trzeba, że właśnie męczy go w tej chwili podagra i zmusza do trzymania nogi w pozycji nieruchomej, a ataki podagry, zarówno w południowej Afryce, jak w innych krajach, nie przyczyniają się bynajmniej do złagodzenia charakteru swych ofiar. Scena powyższa odgrywała się w parterowym pokoju, domu fermera pana Watkinsa. Ferma jego znajdowała się pod 29° szerokości południowej i 25° wschodniej długości od Greenwich, t. j. w środku południowej holendersko-angielskiej Afryki.

Kraj ten, który na południu graniczy z wielką pustynią Kalakari, oraz prawym brzegiem rzeki Orange, oznaczony jest na starych mapach nazwą Griqualandu, lecz od lat dzieściciu więcej jest znany pod nazwą »Diamonds-Field« t. j. Pól Dyamentowych.

Pokój, w którym toczyła się wyżej opisana rozmowa, zastawiony był dziwną mieszanką kosztownych zagranicznych sprzętów z ordynaryjnymi stołami i krzesłami miejscowego wyrobu.

Podłoga pokryta była tu i owdzie pięknym dywanem lub kosztownem futrem. Na gołej ścianie, która nieznała nigdy obicia, błyszczał ozdobny zegar z polerowanej miedzi, oraz droga broń różnych systemów; nie brakowało

też cennych sztychów angielskich w bogatych ramach.

Aksamitna kanapa stała obok stołu ze zwyczajnych desek, który zdawał się być przeznaczonym do użytku kuchennego. Z Europy sprowadzone wygodne fotele wyciągały daremnie ramiona, bo pan Watkins oddawał pierwszeństwo drewnianemu stołkowi, niegdyś własnoręcznie zrobionemu.

Forma sufitu wskazywała wyraźnie, że dom ten piętra nie posiada i tak samo jak wszystkie w tym kraju parterowe budynki wzniesiony był z prostych desek, poczęści z gliny, a pokryty cynkowym dachem. Łatwo również poznać, iż dom ten od niedawna dopiero był zamieszkiwany. Wyjrząwszy oknem, spostrzedz można pięć do sześciu okopconych budunków jednakowo zbudowanych, lecz nie równych wiekiem. Budynki te opustoszeniem swoim wskazywały dobitnie, że skazane zostały na zagładę. Wzrastający dobrobyt pana Watkina, który je kolejno zamieszkiwał również nadawał im charakterystyczne cechy. Pierwszy z kolei budynek, postawiony z darniny, zasługiwał za ledwie na nazwę chatki, następny też z gliny, trzeci już z gliny i desek; czwarty z gliny i blachy.

Jak widzimy wzrastająca zamożność pana

Watkinsa pozwalała mu na stopniowe ulepszenie swoich mieszkań. Wszystkie te budowle zajmowały pagórek, znajdujący się przy zbiegu rzek Waali i Moddery, głównych dopływów rzeki Orange.

Okolice tak w stronie północnej jak południowej, przedstawiała się jako smutna równina, ogołocona z roślinności. Pole, jak się tam wyrażają, jest to grunt suchy, czerwony, bezpłodny, gdzie nigdzie tylko pokryty chudą trawą lub krzakami tarniny.

Zupełny brak drzew jest charakterystyczną cechą tej okolicy. Doliczywszy jeszcze brak węgla kamiennego oraz trudność przewozu, nie zdziwi nas, iż niedostatek opału zmusza ludność tamtejszą do używania nawozu bydłęcego, jako paliwa.

Na tej to jednostajnej, melancholią wiejącej płaszczyźnie, ciągnęły się łożyska dwóch rzek, tak płytkie, iż trudno pojąć czemu nie zalewały całej równiny. Tylko w stronie północnej przecinają horyzont szczyty dwóch gór Platbergu i Paaderbergu, u stóp ich zaś człowiek obdarzony wyjątkowo silnym wzrokiem, mógłby rozpoznać kurzawę, słupy dymu, niewielkie szałas i mrowisko pracujących ludzi.

Na tem to polu mieszczą się eksploato-

wane właśnie kopalnie dyamentów: Du Tois, Pan, New-Rush, i najbogatsza z nich kopalnia Wandergaart-Kopia.

Kopalnie dostarczyły od roku 1870 dyamentów i innych drogich kamieni za sumę około 4 milionów.

Kopalnie są rozmieszczone w niewielkiej od siebie odległości, a z okien fermy pana Watkina, która oddalona jest od nich o cztery mile angielskie, łatwo je można rozróżnić za pomocą dobrej lunety.

Nazwa fermy w tym kraju jest niewłaściwą w naszym rozumieniu, gdy fermerzy nie zajmują się uprawą roli. Wszyscy, tak zwani fermerzy południowej Afryki, są to właściwie hodowcy i właściciele licznych stad wołów, kóz i owiec.

Pan Watkins nie spieszył się z odpowiedzią na prośbę grzeczną lecz stanowczą Cypryana.

Nareszcie, po długim namyśle, wyjąwszy fajkę z ust, wypowiedział zdanie, bardzo mało związku mające z poruszoną kwestyą.

— Zdaje się, że będzie zmiana pogody, kochany panie, bo nigdy mi jeszcze podagra tak nie dokuczała, jak dzisiaj od rana.

Rozczarowanie na chwilę odjęło mowę młodemu człowiekowi, lecz wnet stłumił wzruszenie, rozmarszczył ściągnięte mimowoli brwi

i po chwili niktby nie poznał po nim niespodzianie otrzymanego ciosu.

— Dobrze byś pan zrobił wyrzekając się dżynu, — odparł Cypryan krótko, wskazując przytem na dzbanek z palonej gliny, którego zawartość szybko się zmniejszała.

— Wyrzec się dżynu? Na Boga! piękną radę mi dajesz! — zawołał fermer. — Czyż dżyn kiedykolwiek zaszkodził porządnemu człowiekowi? Aha, już wiem do czego pan zmierzasz, chcesz mi przypomnieć przepis dany jednemu lordowi majorowi przez słynnego doktora Abernethy, czy jak tam się nazywał.

Chcesz pan wyzdrowieć, mawiała ta znakomitość do cierpiącego na podagrę lorda, to nie wydawaj więcej nad jednego szylinga dziennie a tego zdobądź pracą fizyczną. Tak, bezwątpienia, jest to piękna maksyma, lecz gdy mi niema być wolno wydatkować nad szylinga dziennie, pocóż u licha trudzę się życie całe nad gromadzeniem majątku? Nie, takie brednie niegodne są inteligentnego człowieka, panie Méré. Proszę, nie wspominaj mi pan więcej o wstrzemięźliwości, bo wołałbym zaraz w grób się położyć niż nakładać sobie takie więzy. Innych przyjemności niemam, jak dobrze jeść, dobrze pić i palić, ile mi się



podoba, a pan chcesz mnie i tych jeszcze pozbawić?

— Niemam wcale tego zamiaru, zapewniam pana — odparł Cypryan — wspomniałem tylko o warunkach higieny, które zdają mi się uzasadnione, jeżeli jednak pan sobie życzysz, możemy więcej o tem nie mówić, wróćmy lepiej do przedmiotu, który mnie dziś do pana sprowadził.

Tak wielomówny przed chwilą pan Watkins, usłyszawszy te słowa, zamilkł od razu i przymknąwszy oczy, oddał się cały swej fajce. Wtem otwarły się drzwi i młode dziewczę weszło przez nie, niosąc na srebrnej tacy pełną szklanekę jakiegoś napoju.

Nadobne dziewczę, liczące najwyżej lat 19, ubrane było z wielką prostotą w sukienkę płócienną w drobne kwiatki, a duży czepek, noszony powszechnie w tej okolicy, ukrywał piękne jej blond włosy. Z pod czepka wyzierały figlarne duże niebieskie oczy, a twarzyczka biała, o regularnych rysach, tchnęła pełnią życia i wdziękiem młodości.

— Dzień dobry, panie Méré — przemówiła po francusku, z lekkim angielskim akcentem.

— Dzień dobry, panno Alicyo — odpowiedział z ukłonem Cypryan, który powstał przy jej wejściu.

— Widziałam pana nadchodzącego, panie Méré — ciągnęła dalej panna Watkins, — a że wiem, iż pan nie podziela gustu mojego ojczulka do tego obrzydliwego dżynu, przyrzędziłam dlań szklanę oranzady.

— Dziękuję za pamięć, panno Alicyo!

— Wyobraź pan sobie, co mój struś, moja Dada, dziś zrana zrobiła. Ni mniej, ni więcej, połknęła kulę z kości słoniowej, której używałam przy cerowaniu pończoch. A kula to nie mała, jak panu wiadomo, dostałam ją prosto z bilardu w New-Rush. A ta żarłoczna Dada połknęła ją jak pigułkę. Istotnie, nieznośne to stworzenie wpędzi mnie jeszcze kiedyś do grobu. — Wypowiadając tę przepowiednię, oczy panny Watkins zachowały cały swój wesoły blask, bynajmniej nie licujący z poważnym tonem jej mowy i smutną treścią przepowiedni.

Z delikatną intuicyą kobiety wnet jednakże zauważyła milczenie i zmieszane miny obydwóch panów.

— Zdaje mi się, że jestem tu zbyt cenna, — przemówiła Alicya, — jeżeli tak jest, wyjdę w tej chwili, nie ciekawam tajemnic, nie dla moich uszu przeznaczonych. A zresztą, nie mam czasu do stracenia, muszę jeszcze popracować nad sonatą, a później zabrać się do przyrządzenia obiadu. Ach, jacy panowie dziś

milczący, adieu, uciekam, zostawiam was z waszymi czarnymi zamiarami.

Z temi słowy Alicya wyszła, po chwili jednakże wróciła, wesoło mówiąc do Cypryana:

— Panie Méré jestem na pańskie usługi, jeżeli mnie zechcesz egzaminować co do tlenu. Przepowiedziałam sobie również trzy razy zadany rozdział z chemii i owo ciało gazowe, bez zapachu, smaku i koloru, niema dla mnie więcej tajemnic.

Jeszcze jeden powabny ukłon i panna Watkins zniknęła jak meteor. Po chwili rozległy się w jednym z dalszych pokojów dźwięki wybornego pianina, dowodzące, że panna Alicya zabrała się z całym zapałem do swoich muzycznych ćwiczeń.

— A więc, panie Watkins, — poruszył znów kwestyę Cypryan, któremu miłe zjawisko dodało nowego bodźca, — bądź pan łaskaw odpowiedzieć mi na pytanie, poprzednio postawione.

Pan Watkins wyjął uroczyście fajkę z ust, splunął na podłogę i, odrzuciwszy głowę w tył, z pod oka przyglądał się badawczo młodemu człowiekowi.

— Czy przypadkiem nie mówiłeś już pan z nią o tem, panie Méré?

— Z kim? O czem?

— Ależ o tem, o czem pan przed chwilą wspominałeś, a z kim? Ano, z moją córką!

— Za kogóż mnie pan bierzesz, panie Watkins, — odparł żywo inżynier. — Jestem francuzem, mój panie, i nigdybym sobie nie pozwolił bez uprzedniego zezwolenia ze strony ojca mówić z córką o małżeństwie.

Wzrok pana Watkinsa złagodniał, usłyszawszy te słowa i rysy jego twarzy straciły nieco ze swego niemiłego wyrazu.

— Tak, to dobrze! postąpiłeś pan uczciwie. Mam teraz zaufanie do pana i proszę, abys mi dał słowo honoru, że i nadal z moją córką o tej kwestyi mówić nie będziesz.

— A to dlaczego? mój panie!

— Dlatego, że projekt ten jest niemożliwy do urzeczywistnienia, i najlepiej pan zrobisz, starając się o nim zapomnieć. Nie ujmując panu zupełnie, wiem, iż jesteś honorowym człowiekiem, skończonym dżentelmenem, doskonałym chemikiem, masz dużą przyszłość przed sobą, — ale pomimo tych zalet, córki mojej nie dostaniesz, z tej prostej przyczyny, iż postanowiłem już inaczej względem jej przyszłości.

— Jednakże, panie Watkins...

— Nie mów pan więcej o tem, to daremnie, — żywo przerwał fermer. — Gdybyś pan nawet był parem angielskim, i wów-

czas byłbyś dla moich planów nieodpowiednim.

A tymczasem nie jesteś nawet angielskim poddanym, a jak się naiwnie przyznałeś, majątku także nie posiadasz.

Mówmy szczerze, czy się panu zdaje, że ja po to tak świetnie wychowałem moją córkę, sprowadzając drogich nauczycieli z Wiktoryi i Bloemfontainu, żeby ją jeszcze przed ukończeniem lat dwudziestu wysłać z domu do Paryża, na ulicę Uniwersytecką, na trzecie piętro, aby tam żyła z człowiekiem, którego języka ja nawet nie rozumiem? Pomyśl pan nad tem i postaw się, proszę, w mojem położeniu.

Przypuść pan, iż jesteś sam tym fermem, Johnem Watkinsem, właścicielem Wandergaart-Kopii, a ja jestem Cypryanem Méré, młodym uczonym francuskim, przysłanym dla badań na Przylądek Dobrej Nadziei. Wyobraź pan sobie, iż siedzisz w tym oto pokoju, na fotelu, popijając dzyn i paląc doskonały hamburski tytoń i czybyś pan wówczas mógł choćby na chwilę pomyśleć o wydaniu córki swej za mąż w podobnych warunkach?

— Z pewnością, panie Watkins, — odpowiedział Cypryan, — nie wahałbym się ani chwili, gdyby mi charakter młodego człowieka dawał rękojmię uszczęśliwienia dziecka.



— Tak, no proszę, niemądrze byś postąpił, kochany panie, — rzekł pan Watkins. — Postąpiłbyś wówczas, jak człowiek niegodny posiadania Wandergaart-Kopii, a prawdopodobnie nie posiadałbyś jej pan wcale. Bo czyż przypuszczasz, że kopalnia jak pieczony gołąbek sama do ust mi wpadła? Czyż myślisz, że nie trzeba było dużej inteligencji i żelaznej wytrwałości przy założeniu kopalni, a przedewszystkiem w zatrzymaniu jej dla siebie wyłącznie?

Otóż tymi czynnikami kieruję się zawsze i będę umiał zastosować je co do przyszłości mojej córki. Dlatego powtarzam panu, wykreśl ten planik z swego życia, moja córka nie dla niego!

Po tych tryumfującym tonem wypowiedzianych słowach, pan Watkins pochwycił szklanekę z dżynem i mocno z niej pociągnął.

Młody inżynier, oszołomiony jakby od uderzenia pioruna, stał nieruchomy, nie mogąc znaleźć żadnej odpowiedzi.

Zauważył to pan Watkins i w dalszym ciągu natarł na niego.

— Dziwni marzyciele, ci francuzi, — prowadził rzecz swoją, — wszystko im się wydaje możliwem. Przyjeżdżają tutaj, jakby z księżycą spadli, ukazują się w samym

środku Griqualandu, przedstawiają się człowiekowi, który przed trzema miesiącami jeszcze ani słoweczka o nich nie słyszał, a przez ciąg tych 90 dni, może 10 razy z nimi mówił. Bez ceremonii stają przed nim i odzywają się doń w ten sposób:

— John Stapleton Watkinsie masz pan prześliczną córeczkę, dobrze wychowaną, uważaną wogóle za perłę okolicy. Nieszkodzi jej to również, iż jest jedyną spadkobierczynią najbogatszej kopalni dyamentów na obu półkulach. Co do mnie jestem Cypryan Méré, inżynier z Paryża, mam 4800 franków dochodu. Będziesz pan łaskaw oddać mi córeczkę, abym ją jako małżonkę uprowadził do Paryża, a pan możesz się pocieszyć korespondencyą z nią pocztą lub telegrafem. I to znajdujesz pan naturalnem i w porządku? Ja to nazywam czystem szaleństwem.

Słuchając tej mowy, Cypryan zbladł jak kreda, zerwał się z krzesła i chwycił za kapelusz.

— Tak, czystem szaleństwem, — powtórzył fermer. — Nie osładzam pigułki, mój młody przyjacielu, jestem bowiem starym, szorstkim anglikiem. Jak mnie pan tu widzisz, i ja byłem ubogim, uboższym jeszcze od niego i czegoż ja nie próbowałem? By-

łem chłopcem okrętowym, strzelcem bawolów w Dakocie, kopaczem w Arizonie, owczarzem w Transwaalu. Zaznałem zimna i upałów, głodu i trudów; w pocie czoła pracowałem lat dwadzieścia na marne suchary, które stanowiły moje pożywienie. W czasie, gdy poznałem moją nieboszczkę żonę, a matkę Alicyi, córkę boera <sup>1)</sup>, — nie posiadaliśmy razem tyle, aby móżdż wyżywić marną kozę, lecz ja pracowałem i nigdy nie traciłem nadziei. Obecnie jestem bogaty i myślę w spokoju używać owoców mojej pracy.

Córkę w każdym razie zatrzymam przy sobie, niech mnie pielęgnuje podczas ataków podagry i rozwesela muzyką wieczorami. Jeśli ją kiedykolwiek zamaż wydam, to tu na miejscu, za krajowca, fermera i kopacza dyamentów, takiego samego jak ja, a który nie uprowadzi jej gdzieś, na trzecie piętro, aby głód cierpiała i do kraju, gdzie noga moja nigdy nie postanie. Może iść np. za Jamesa Hiltona, lub jemu podobnego. Na wielbicielach jej nie zbraknie, daję słowo. Niech idzie za anglika, który przed szklanką

---

<sup>1)</sup> Znaczna liczba boerów, albo t.zw. chłopów afrykańsko-holenderskich jest pochodzenia francuskiego; po zniesieniu edyktu Nantejskiego wyemigrowała ona do Holandyi, a następnie do Przylądka Dobrej Nadziei.



dżynu nie ucieknie i towarzyszyć mi będzie, gdy przyjdzie mi ochota wypalić fajkę knastru.

Cypryana dusiła atmosfera tego pokoju, nacisnął przeto klamkę u drzwi w zamiarze wyjścia.

— No, bez obrazy, — wołał za nim pan Watkins — wierzaj mi pan, iż nie mam nic przeciw niemu. Zawsze będę pana chętnie widywał w moim domu, jako lokatora i przyjaciela. Czekał-no! Dziś wieczorem zejdzie się parę osób na kolację, proszę należeć do naszego grona.

— Nie mogę, dziękuję panu — odparł chłodno Cypryan, — muszę załatwić korespondencję przed odejściem poczty. — To rzekłszy, opuścił podagrycznego fermera.

— Ci francuzi, to istni waryaci — mrucał pan Watkins, szukając zapalki, aby zgasła podczas rozmowy fajkę zapalić.

---

## ROZDZIAŁ II.

### Pole Dyamentowe.

Rozważając szczegółowo otrzymaną odmowę, najbardziej gniewała Cypryana część

prawdy niewątpliwie zawartej w szorstkich słowach pana Watkinsa. Dziwiło go teraz, jak mało był przewidującym, jak wogóle mógł się na podobną odprawę narazić. W rzeczy samej nie myślał wcale o przepaści, dzielącej go od młodej dziewczyny, różnica bowiem majątkowa, wychowania, rasy i otoczenia, dotychczas bynajmniej nie psuła mu humoru.

W dodatku rodzina Cypryana zajmowała we Francyi stanowisko o tyle wyższe od nieokrzesanego fermera, iż gdyby Cypryan kiedykolwiek pomyślał o różnicy, zachodzącej pomiędzy nim a właścicielem Wandergaart-Kopii, sądziłby zapewne, iż robi zaszczyt temu ostatniemu, prosząc go o rękę córki. Ostre kazanie pana Watkinsa rozproszyło te iluzye, a Cypryan posiadał dość zdrowego rozsądku, aby uznać słusność uwag fermera, i nie czuć się obrażonym odmową, którą obecnie uważał za uzasadnioną.

Rozmyślenia te naturalnie nie zmniejszyły doniosłości ciosu. Teraz, gdy miał postradać Alicyę, uczuł z podwójną siłą, jak drogą mu się ona stała przez owe trzy miesiące znajomości.

Jakże ten czas wydawał mu się odległym. Widział siebie, jak po uciążliwej drodze wśród kurzu i upału, przybył do celu długiej po-

dróży z jednej półkuli świata na drugą. Aż do Kapsztadu jechał Cypryan w towarzystwie przyjaciela i kolegi Pharamonda Barthesa, który obecnie już poraz trzeci udawał się do Afryki na wycieczkę myśliwską.

Z Kapsztadu Barthes wyruszył do kraju Bassutos, gdzie zamierzał zwerbować oddział murzynów, mający mu towarzyszyć w wyprawie myśliwskiej, Cypryan zaś ulokował się w omnibusie zaprzężonym w siedem par koni, aby odbyć w nim drogę, prowadzącą do właściwej krainy dyamentów.

Woził on ze sobą sześć kufrów zawierających kompletne laboratorium chemiczne.

Z powodu, że do omnibusu nie wolno było zabierać ciężaru przewyższającego 50 kilo, musiał Cypryan powierzyć swoje cenne pakunki właścicielowi zaprzęgu bawołów, który z przedpotopową powolnością miał je dostawić do miejsca przeznaczenia.

Poczta, albo raczej omnibus, którym jechał, była to na czterech wysokich kołach spoczywająca prosta, drewniana buda, pokryta płótnem. Zaprzężonemi po parze końmi kierowali bardzo zręcznie dwaj stangreci; jeden z nich trzymał lejce, podczas gdy drugim bambusowym batem, podobnym do wędki, nie tylko skutecznie poganiał, lecz zarazem pomagał pierwszemu kierować końmi.

Droga prowadzi przez Beaufort, ładne miasto zbudowane u stóp łańcucha gór Nieuweld, przez szczyty tychże do Wiktorji, następnie przez Kapetown, miasto nadziei, położone nad brzegiem rzeki Orange, do Kimberley, a skąd już tylko kilka mil drogi do głównych pól dyamentowych.

Podróż przez smutny, pusty Weld (pole) trwa od 8—10 dni. Krajobraz przedstawia prawie wszędzie ponury, jednostajny widok; czerwone płaszczyzny, grupy szarych skał, chuda, żółtawa trawa i nawpół uschłe krzewy, oto wszystko. Ani śladu jakiegokolwiek kultury lub naturalnego powabu. Jedyne ludzkie siedziby tu spotykane, są to w znacznej odległości od siebie leżące fermy, których właściciele, otrzymawszy od rządu koncesyę, zobowiązali się dawać przytułek podróżnym.

O wygodach na takiej fermie marzyć naturalnie nie można. Niema tam łóżek dla ludzi, ani stajni dla koni. Do wyboru jest tylko kilka puszek konserw, które prawdopodobnie odbyły już nieraz podróż na około świata, a właściciel każe sobie za nie słono płacić.

Niema tam też zapasu paszy, woźnica więc puszcza konie na płaszczyznę, aby sobie same szukały pożywienia. Rozchodzą się biedne koniska za paszą dość daleko, tak, że dużo

czasu tracić później trzeba, ażeby je odszukać i zgromadzić do dalszej drogi.

A jak trzęsie taki pierwotny wehikuł na tej jeszcze pierwotniejszej drodze! Za siedzenia służą po prostu kuferki podróżnych, na których przez długie dni nieszczęśliwy pasażer tłucze się z kąta w kąt, jak tłuczek w moździerz.

O spaniu, podczas takiej podróży, nawet mowy być nie może.

Towarzyszami Cypryana, byli różni przedstawiciele owej wędrowniej ludności, napływającej ze wszystkich krańców świata do miejsc, które świeżo zasłynęły pokładami złota lub dyamentów.

Na pierwszy plan wysuwał się kulawy neapolitańczyk, o kruczych włosach i chytrem spojrzeniu, nazwiskiem Annibal Pantalacci. W kącie cicho siedział żyd portugalski, Natan, handlarz dyamentów; trzecim był górnik z Lancashiru, Tomasz Steele, duży chłop z rudą brodą, który opuścił kopalnię węgla, aby szukać szczęścia, jako kopacz dyamentów. Następnie Niemiec Fridel, udający wielkiego znawcę drogich kamieni, choć zdaje się, iż nie widział dotąd ani razu dyamentu w stanie naturalnym, piątym podróżnym był Amerykanin, który z nikim, prócz ze swą butelką nie rozmawiał i prawdopodobnie dążył

w te strony, aby zbudować kantynę, (szynk) gdzie kopacze większą część swej zdobyczy zwykli przepijać. Resztę podróżnych stanowią fermer z nad brzegu rzeki Hard, boer z Wolnego Związku Orange, handlarz kości słoniowej, dwóch pionierów z Transwaalu, na koniec chińczyk, nazwiskiem Li.

Z początku różnorodna ta hałaśliwa zbieranina bawiła Cypryana, lecz niedługo.

Sympatycznym był Tomasz Steele ze swą potężną postacią i mały chińczyk. Neapolitańczyk zaś ze swemi akrobatycznymi sztuczkami i zbójczą fizyonomią budził w nim wstręt.

Najgłupszym conceptem Pantalacciego było przyczepianie przeróżnych przedmiotów, jak wiązek trawy, kości, ogonów krowich, do długiego warkocza, który chińczykowi podług zwyczaju spadał na plecy.

Ten, nie irytując się wcale, odczepiał niepotrzebne dodatki, udając, iż tych żartów nie spostrzega.

Żółta jego twarz i kose oczy pozostawały nadal nieruchome. Zdawało się również, iż słowa nie rozumie z tego, co się w tej arce Noego mówiło.

Annibal Pantalacci nie przestawał jednak wygłaszać swoich conceptów, wyrażając się niezbyt poprawnie po angielsku.

— Jak się panu zdaje, — pytał głośno swego sąsiada, — czy żółta cera tego chińczyka, nie jest przypadkiem zaraźliwą? — albo: — gdybym tu miał nożyczki, uciałbym mu warkocz, a widziałbyś pan jaką śmieszłą zrobiłby minę.

Większa część towarzystwa śmiała się z tych dowcipów do rozpuku, nareszcie Cypryan, którego to gniewało, że z chińczyka tak drwiono, zwrócił uwagę Pantalacciemu, iż postępowanie jego jest zupełnie niewłaściwym, naco tenże byłby niezawodnie po grubijańsku odpowiedział, gdyby mu Steele ust nie zamknął.

— Tak, to niewłaściwe jest kpić z biedaka nierozumiejącego naszej mowy, — przyświadczył Cypryanowi pocziwy Steele, którego już sumienie trapiło, że śmiał się z chińczyka razem z innymi. Sprawa się natem zakończyła i chińczykowi dano spokój.

Wkrótce potem zdziwiło Cypryana ironiczne spojrzenie, rzucane nań przez Liego. Zastanowiwszy się, wpadł na domysł, że prawdopodobnie chińczyk rozumie po angielsku, tylko się z tem ukrywa.

Daremna jednakże okazała się próba zawiązania z nim rozmowy, Li pozostał niemy i obojętny.

Tajemniczy ten człowiek interesował Cy-

pryana coraz bardziej, jak każda zagadka, której rozwiązać nie możemy. Skutkiem też tego często zatrzymywał wzrok swój na tej żółtej płaskiej twarzy, cienkich wargach, z poza których błyszczały dwa rzędy białych zębów, na krótkim nosie i kosych oczach, zawsze spuszczonej na dół, jakby dla ukrycia złośliwego wyrazu.

Ile lat mógł sobie liczyć Li?

Piętnaście, czy sześćdziesiąt?

Trudno było orzec. Czarne włosy, żywe spojrzenie i lśniące zęby, kazały się domyślać młodzieńca, lecz przeczyły temu zmarszczki, pokrywające jego czoło i policzki. Postać mała, nędzna, pomimo żwawych ruchów, przypominała staruszkę.

Czy był biedny, czy bogaty? znowuż zagadka.

Miał na sobie spodnie z szarego płótna, żółty jedwabny kaftan, czapkę splecioną ze sznurów, białe pończochy i pantofle filcowe. Ubranie to mogło służyć zarówno mandarynowi pierwszej klasy, jak człowiekowi z gminu. Pakunki jego składały się z czerwonego drewnianego kuferka, na którym czarnym atramentem wypisane były słowa:

H. Li

from Canton to the Cape.



t. j. H. Li z Kantonu w podróży do Kapztadu.

W dodatku chińczyk odznaczał się nadzwyczajną czystością, nie palił, pił tylko wodę i golił sobie głowę na każdym postoju.

Więcej nie mógł się Cypryan o nim dowiedzieć, dał więc pokój tej żyjącej zagadce. W ten sposób upływał naszym podróżnym dzień za dniem i miła za miłą ubywała im z drogi. Konie szły rażno, to znów dreptały krokiem, coraz jednak byli bliżej celu i pewnego dnia dosięgli Hope-town. Jeszcze jedna stacya, a dojechali do Kimberley. Niedaleko za miastem ukazały się na skraju horyzontu drewniane chatki, było to New-Rush.

Obozowisko kopaczów nie różniło się wiele od innych miast tego samego pokroju. Domy w niem były z prostych desek, po większej części maleńkie, podobne do chatek flisaków, napotykanym wzduż rzek europejskich. Tuzin kawiarni i szynków, sala bilardowa, Alhambra, albo sala do tańca, kilka »stores« t. j. sklepów; oto wszystko, co zwracało uwagę przybysza. W tych sklepach można wszystkiego dostać: ubrania i statków domowych, trzewików i szyb, książek i siodeł, broni i materyi, mioteł i amunicyi, kołder i cygar, świeżych jarzyn i lekarstw, znajdziesz tam także pługi i mydła pachnące, pilniki do paznokci

i skondensowane mleko, piece i obrazy, — jednym słowem wszystko, brak tylko na razie kupujących.

Mieszkańcy obozowiska znajdowali się chwilowo w kopalniach, oddalonych o 300—400 metrów od New-Rush.

I Cypryanowi jak wszystkim nowo-przybyłym pilno było tam się znaleźć; wybrał się też zaraz w drogę, podczas gdy w szumnie zatytułowanym hotelu »Continental«, a w rzeczywistości prostej chacie, przygotowywano wieczerzę.

Była szósta wieczór, słońce pokrywało się już lekką, złotawą mgłą, a Cypryan podziwiał duży rozmiar średnicy, jaki posiadają na Południu słońce i księżyc; naukowej przyczyny tego zjawiska dotąd jeszcze nie wytłumaczono. Średnica kręgu słonecznego i księżyca jest tam prawie podwójnej wielkości, jak widziana w Europie.

Ciekawsze jeszcze zjawisko oczekiwało inżyniera w Kopii t. j. we właściwym Polu Dyamentowem. Przy rozpoczynaniu robót, teren przedstawiał się tutaj jako płaskowzgórze, nie różniące się niczem od innych; obecnie wyglądał jak olbrzymia jama ze stromymi ścianami, rodzaj cyrku, podłużnego kształtu, wielkości 400 metrów kwadratowych. Na płaskowzgórzu mieści się około 400 »claim«,

czyli działów. Każdy ma 31 stóp szerokości i może być dowolnie eksploatowany.

Praca jest dość prostą; wybiera się grunt łopatą i szpadlem i przenosi się go na kraniec kopalni. Tam rozsypuje się ziemię na stołach sortowniczych, drobi się ją, płucze i przesiewa starannie, aby sprawdzić, czy zawiera coś cennego.

Ponieważ każdy »claim« jest od drugiego zupełnie niezależnym, pozostają też jeszcze na różnym stopniu eksploatacyi, przytem jamy są różnej głębokości — jedne dosięgają 15, inne 30 metrów.

Rząd, ze względu na komunikacyę, zobowiązuje każdego właściciela »claima« do pozostawienia na skraju swej kopalni 7 metrów gruntu w stanie pierwotnym; przestrzeń ta w połączeniu z taką, którą musi zostawić sąsiednia kopalnia, stanowi drogę okolicy.

Bezpieczeństwo zmniejsza się jednak skutkiem chciwości kopaczy, którzy w głębi swych jam coraz bardziej zwężają urzędowo oznaczoną przestrzeń, tak, że drogi te podobne są do piramidy, ostrym końcem zwróconej ku dołowi. Następstwem nieporządków jest zawalenie się dróg, zasypywanie kopalń i nieszczęśliwe wypadki z ludźmi, — wszystko to jednak nie powstrzymuje kopaczów od robienia nadużyć.

Przybliżając się do kopalni, nie widział początkowo Cypryan nic, prócz taczek pełnych lub pustych, posuwanych po niknących drogach, później mógł już zajrzeć do głębi tych osobliwych kamieniołomów, gdzie tłum ludzi różnych ras, kolorów i ubrań, pilnie pracował na dnie claims'ów.

Rozróżnić można tam było murzynów i białych, europejczyków i afrykanów, mongołów i celtów; większość prawie naga lub odziana we flanelowe koszule, płócienne sandały i wełniane fartuchy. Na głowach mieli słomkowe kapelusze, ozdobione strusimi piórami.

Kopacze napełniali ziemią skórzane wiadra, które zapomocą rzemieni i drucianych lin wyciągano na powierzchnię, poczem wysypywano zawartość do taczek i spuszczano wiadra z powrotem na dno kopalni.

Cypryan czas jakiś przyglądał się z zajęciem temu ludzkiemu mrowisku, a następnie wrócił do New-Rush, gdzie wkrótce rozległ się dzwonek obiadowy. Wieczorem przysłuchiwał się rozmowie kopaczy, opowiadaniom o znalezieniu cennych kamieni, które biedaków w jednej chwili robiły bogaczami; o bezskutecznych poszukiwaniach, o chciwości pośredników i niesumienności kafrów, kradnących znalezione kamienie. Rozmowa toczyła

się tylko o dyamentach, ilościach karatów i funt. szterl.

Wogóle zbiorowisko to wyglądało marnie, a na jednego szczęśliwca, który głośno wołał o butelkę szampana, aby swoją zdobycz oblać godnie, widziano dwadzieścia smutnych postaci, zmuszonych zadowolnić się cienkiem piwem.

Zajmowano się również oglądaniem świeżo znalezionej kamienia, podawano go sobie z rąk do rąk, wazono i naznaczono możliwą cenę. Szary, bez blasku kamyk, nie różniący się niczem od zwykłego, polowego krzemienia, — oto dyament w stanie naturalnym.

Z nadejściem nocy napęlniają się kawiarnie, następują te same rozmowy, które kraśliły obiad, z tą tylko różnicą, że tu opowieści zakrapiają się szklankami brandy lub dżynu.

Cyprian wcześniej udał się na spoczynek do jednego z szałasów, stojących obok hotelu, i niebawem zasnął, pomimo balujących pod otwartym niebem kafrów i hałaśliwej muzyki na trąbce, przygrywającej tańcom białych panów.

---

### ROZDZIAŁ III.

#### Nieco nauki nie zaszkodzi przyjaźni.

Młody inżynier nie przybył do Gruqualandu bynajmniej, aby czas tracić na bezsensowne gawędy i zabawy w gronie nieokrzesanych kopaczy. Zadaniem jego było gromadzenie danych topograficznych i geologicznych, próbek kamieniołomów i ziemi z pod pokładów pól dyamentowych oraz poddanie ich analizie zaraz na miejscu.

Pierwszem też staraniem Cypryana było wyszukanie spokojnego mieszkania, gdzieby mógł ustawić przywiezione laboratorium.

Wzgórek, na którym stał dom pana Watkinsa, zwrócił najpierw jego uwagę. Było to dla niego najdogodniejsze miejsce, dość oddalone od gwaru kopaczy a jednak tylko o godzinę drogi od kopalni, gdzie z konieczności często miał przebywać.

Nie wiele czasu potrzeba było na obejrzenie i wynajęcie lokalu. Fermer dość grzecznie przyjął propozycję inżyniera, bo, nudząc się w swoim samotnym domu, rad był, iż będzie miał towarzysza.

Pan Watkins wkrótce jednak rozczarował się zupełnie względem swego sąsiada, gdyż

ten nie lubiał gawędy, ani fajki, ani też butelki z dżynem.

Zaledwie Cypryan ustawił część swego laboratorium, retorty i piecyki, puścił się już na naukowe wycieczki, a wracając wieczorem zmęczony i obładowany próbkami ziemi i skał, uczuwał większą ochotę do spoczynku niż do słuchania nieciekawych bajek starego fermera.

Swoją drogą był bardzo uprzejmy i skromny, pomimo głębokiej wiedzy, i niemożna było go niepolubić, obcując z nim przez czas dłuższy.

Pan Watkins też lubił i szanował go, nie zdając sobie z tego sprawy. Żałował tylko często, że inżynier nie pije.

— Mój Boże, cóż począć z człowiekiem, który nigdy nie odwilża gardła kropelką dżynu, — zwykle kończył sąd swój o Cypryanie.

Z panną Watkins Cypryan wkrótce się zaprzyjaźnił. Panna Alicya była to panienka, miła i z dość dużym zasobem wiadomości naukowych, która chętnie skorzystała ze sposobności, aby popracować nad chemią doświadczalną. Laboratorium inżyniera ogromnie zainteresowało Alicyę, zwłaszcza dane, dotyczące dyamentu, który był sprężyną pracy i celem pożądań ludności Gryqualandu.

Od dawna lekceważyła ona ten kamień, nie ceniąc go więcej nad zwykły kamyk, i w tem zupełnie się zgadzała ze swym nowym przyjacielem.

— Dyament — mówił pewnego dnia Cypryan — jest-to właściwie czysty węgiel, to znaczy skryształizowany i pali się jak każdy węgiel.

Ta jego właściwość, iż jest ciałem palnym, nasunęła myśl badaczom o rzeczywistym składzie i pochodzeniu jego. Newton pierwszy zauważył, iż oszlifowany dyament odbija silniej światło niż wszystkie inne przezroczyście ciała, a że tą własnością odznaczają się wszystkie ciała palne, orzekł ze zwykłą mu bystrością, że i dyament palić się powinien. Doświadczenia w tym kierunku prowadzone potwierdziły jego domysł.

— Jednakże panie Méré, — pytała Alicya, — jeżeli dyament nie jest niczem innym, jak zwyczajnym kawałkiem węgla, czemu ma tak wysoką cenę?

— Dlatego — odpowiedział Cypryan — iż w przyrodzie znajduje się tylko w bardzo małej ilości. Przez czas dłuższy znajdowano go tylko w Indyach, Brazylii i na wyspie Borneo. Zapewne pamięta pani, bo było to zaledwie przed dziesięciu laty, kiedy



poraz pierwszy rozeszła się wieść o pokładach dyamentowych w południowej Afryce.

— Pamiętam, — żywo potwierdziła Alicya, — tu w Griqualandzie ludzie po prostu oszaleli. Młodzi i starzy z motyką i łopatą kopali w ziemi. Odprowadzali oni rzeki w inne łożyska, aby na dnie ich szukać dyamentów, o których we dnie mówili, a w nocy śnili. Choć byłem jeszcze dzieckiem, przejęłam się także ogólną gorączką poszukiwań, i o niczem innem nie marzyłam, jak o znalezieniu dużego, olbrzmięgo kamienia! A więc, czyż to tylko nadaje wartość dyamentom, iż tak rzadko się je znajduje?

— Nie, nie tylko to. Jego przezroczystość, ogień, blask promienisty, który rzuca, gdy jest artystycznie oszlifowany, a szczególnie nieporównana jego twardość, czyni go zajmującym nawet dla świata naukowego.

Jak pani wiadomo polerować go można tylko własnym jego pyłem, dla swej twardości używanym jest przy wierceniu skał. Bez pomocy tego kamienia trudnem byłoby krajać szkło i obrabiać inne twarde ciała, przebijać tunele i wiercić artezyjskie i kopalniane studnie.

— Zaczynam nabierać nieco szacunku dla tego kamyczka, objaśnij mnie pan jeszcze, dobry panie Méré, — prosiła Alicya — czem

jest ten węgiel będący w stanie krystalizacji, czy dobrze się wyrażam? Czemże on jest w rzeczywistości?

— Węgiel, albo węgiel, jest to ciało nie metaliczne, bardzo rozpowszechnione w przyrodzie, — prowadził swój wykład Cypryan — odnajdujemy je we wszystkich związkach organicznych bez wyjątku, zarówno w drzewie, jak chlebie i mięsie.

— Jakież to dziwne, — zawołała Alicya. — A więc w tym oto drzewie i w trawce na pastwisku, w drzewie pod którym siedzimy, w ciele mojej Dady, nareszcie ja i pan także, wszystko i wszyscy, zawdzięczamy istnienie węgielowi, tak samo jak dyament. A może świat cały stworzony jest z węglanu?

— Być może. Od dawna stawiano już podobne hipotezy, a nauka odkrywa prawie codziennie nowe szczegóły, potwierdzające to przypuszczenie. Jednym słowem zmniejsza się ciągle ilość pierwiastków prostych, które uważano dotąd za niepodzielne.

Zdobycze zawdzięczane analizie spektralnej rzuciły nowe zupełnie światło na naukę chemii i prawdopodobnie będzie można owe 62 pierwiastki proste, (w których niezłożoność dotychczas tak wierzone), — sprowadzić do jednego np. wodoru, przedstawiającego się nam pod różnemi postaciami wskutek ele-

ktrycznych, dynamicznych i cieplikowych czynników.

— Oszłamiasz mnie pan temi szumnemi przepowiedniami, opowiadaj pan, proszę, jeszcze o węglanie. Czy nie mogliby panowie chemicy skrytalizować sztucznie np. węglan, aby wytworzyć dyamenty, jak się to dzieje z fosforem; byłoby to daleko wygodniej, niż kopać niezgłęzione jamy w ziemi celem znalezienia ich.

— Owszem, robiono już próby w tym kierunku, a mianowicie starano się przez krystalizację czystego węglanu otrzymać dyamenty, i do pewnego stopnia usiłowania te uwieńczone zostały pomyślnym skutkiem.

W roku 1853 Despretz, a niedawno pewien uczoney angielski, zdołali zrobić rzeczywisty pył dyamentowy. Używali oni w tym celu czystego węglanu, pozbawionego wszelkich mineralnych domieszek, (dobywali go z cukru) a później w przestrzeni, pozbawionej powietrza poddawali działaniom silnego prądu elektrycznego.

Zadanie to nie jest jeszcze tak dalece rozwiązane, aby móżdź prowadzić produkcję dyamentów na wielką skalę, w celach przemysłowych, lecz bądź pani pewną, iż jest to już tylko kwestyą czasu. Dziś, jutro, a może w tej chwili, gdy o tem mówimy, gdzieś ja-

kiś uczony doszedł do pozytywnych w tym kierunku rezultatów.

Podobne rozmowy często toczyły się pomiędzy Alicją a Cypryanem, podczas popołudniowej przechadzki po piaszczystym tarasie lub wieczorem, gdy podziwiali razem silny blask gwiazd południowej kuli nieba.

Alicja, rozstawszy się z Cypryanem, udawała się zwykle do małego ogrodu, gdzie hodowała stadko strusi.

Hodowała strusi w okolicach Przylądka Dobrej Nadziei dosięga znacznych rozmiarów. Olbrzymie ptaki, cenione dla wartości swych piór, całymi gromadami bywają zamykane do obszernych ogrodzeń, aby swą niewolę jak najmniej uczuwały. Zdolność ich do lotu jest bardzo małą, wysokie płoty z mosiężnego drutu zupełnie więc wystarczają do pozbawienia ich możliwości ucieczki. Żyją one nadal w stanie dzikim, same sobie szukają pożywienia i cienistych miejsc na gniazda, gdzie składają olbrzymie swe jaja. Niszczenie gniazd strusich jest przez władze surowo wzbronione. Hodowca strusi, nie ponosząc prawie żadnych wydatków, ma z każdego ptaka 200 fr. rocznego dochodu.

Panna Alicja hodowała swoje stadko tylko dla własnej przyjemności; bawiło ją wylęganie się młodych strusiątek, przybiegających

na jej wołanie, jak małe kurczątko. Szczególną zaś faworytką była Dada, wyjątkowo piękny okaz z czerwonym łebkiem i ze złocistymi ślepkami. Ta właśnie niegodziwa Dada, która połknęła kulę bilaradową, używaną przez pannę Alicję do cerowania.

Oprócz tej zabawy panna Watkins była doskonałą gospodynią, która nie wahała się własnoręcznie zagnieść ciasta na pudding, nadzorować obiadu i utrzymywać bieliznę we wzorowym porządku. Nie przeszkadzało jej to wcale z prawdziwym artyzmem i zamiłowaniem grywać sonaty Beethovena, władać poprawnie trzema obcymi językami, zajmować się wyborową lekturą, a podczas wieczorków w domu, z prawdziwym wdziękiem czynić honory gospodyni.

Wszyscy podróżni zazwyczaj zdziwieni są, widząc, iż w Transwaalu, Ameryce i Australii żony i córki nieokrzesanych kopaczy złota posiadają ogładę i wykształcenie wszechstronniejsze niż kobiety europejskie.

W Wolnym Związku Orange, gdzie wychowanie chłopców i dziewcząt jest zupełnie równouprawnione, różnica pomiędzy stopniem wykształcenia obu płci jest znaczną z powodu, iż chłopcy wcześniej opuszczają ławki szkolne. Mężczyzna skutkiem ciężkiej pracy ma wygląd dziki, wyraża się rubasznie i po-

siada nawyknięcia prostackie, kobiety zaś w zaciszu domowym pielęgnują nauki i talenty, na co mężowie i bracia czasu, ani ochoty nie mają. Zdarza się też często, że wśród pustyni wyrasta piękny kwiat, w rodzaju córki pana Watkins.

Pożegnawszy Alicję Cypryan, aby zagłuszyć smutek, zabrał się do pisania listu do byłego swojego profesora przy szkole górniczej w Paryżu.

...»W mojem urzędowym sprawozdaniu nie chciałem wspomnieć o hipotezie, która mi się nasunęła przy ostatnich badaniach geologicznych, a mianowicie, o przypuszczeniu co do powstawania dyamentów. Hipoteza, przypisująca tworzenie ich siłom wulkanicznym lub prądom wodnym, zarówno mnie jak i panu nie trafia do przekonania. Bo czemuż, jeżeli ogień wulkaniczny utworzył dyament, nie zamienił na dyamenty wszystkich kamieni wapiennych, śród których się małeńka ta cząsteczka zwykle znajduje?

Jedynem możliwym objaśnieniem historii powstawania dyamentu, wydaje mi się hipoteza nagromadzenia pierwiastków wchodzących w skład dyamentu przez wodę i krystalizacyi tychże w pokładach, mających prawie zawsze jednostajną formę.

Badając tu niejednokrotnie pola dyamen-

towe, zdziwiony byłem tą jednostajnością zarysów, miejsc, gdzie najwięcej kamieni znajdowano. Zarysy owe przypominały olbrzymią, leżącą na boku, płaską butelkę, jakiej zwykle używają myśliwi. Każdy rezerwoar owej butelkowej formy zawiera 30—40 tysięcy kubicznych metrów mieszaniny piasku, gliny, wogóle warstwę aluwialną.

Jeżeli wrzucimy do naczynia z wodą ciała różnej ciężkości, co nastąpi?

Ciała te osadzą się na dnie i po bokach naczynia. Otóż w tych rezerwoarach okazuje się ten sam przebieg.

Dyamenty znajdują się przeważnie na dnie i na krańcu kopalń, następnie na bokach. Kopalnie tak dobrze wiedzą o tem rozmieszczeniu, że kopalnie położone na dnie rezerwoarów dochodzą ceny olbrzymiej, o ile tylko zarys pokładów jest wiadomy.

Przeciw zaś teorii powstawania dyamentów przez działanie prądów, przemawia jednostajny gatunek, kolor i ugrupowanie ich w poszczególnych pokładach, co by miejsca mieć nie mogło przy silnem tarciu i wirze wodnym.

Dochodzę do wniosku mej hipotezy. Przypuszczam, że woda naniósł pierwiastki dyamentów do owych łożysk, a tam, sprzyjające warunki cieplikowe, dopomogły tymże do

skryształizowania się. Nawet widzimy, że większe dyamenty leżą zwykle odosobnione, tak, jak gdyby wszystkie pierwiastki danego pokładu skupiły się razem, kryształizując się w jednym okazie.

W jaki zaś sposób prądy wodne wniknęły w te pokłady, wyjawić nie mogę i na tem prawdopodobnie misyę moją zakończę.

Z większem powodzeniem dokonałem badania skał...

O północy Cypryan zakończył swój długi list i, zgasiwszy lampę, zasnął snem sprawiedliwego człowieka.

Praca łagodzi wszelkie smutki; a do snów Cypryana zakradły się urocze wróżki, które kazały mu nierozpaczać nad dzisiejszym zawodem i nie tracić nadziei w pomyślną przyszłość...

---

#### ROZDZIAŁ IV.

#### Wandergaart-Kopia.

— Muszę stanowczo wyjechać stąd — mówił do siebie następnego ranka Cypryan. — Misyja moja skończona i po odprawie danej mi przez tego gburowatego fermera, straci-



łem nadzieję pozyskania ręki Alicyi. Odwagi zatem, trzeba być mężczyzną i nie dać się poniżyć.

Bez wahania zabrał się Cypryan do zapakowania swoich aparatów w kufry i skrzynie, które mu służyły za stoły i szafki.

Pracował pilnie dwie godziny, gdy w tem przez otwarte okno doleciał go dźwięczny głos Alicyi, śpiewającej jedną z najpiękniejszych piosenek Moora p. t. »Ostatnia Róża«.

Cypryan pospieszył do okna i zobaczył Alicyę, która śpiewała, idąc do swoich ulubionych strusiów.

Zabawnie było patrzeć jak strusie, nie czekając aż wejdzie do nich, już po przez ogrodzenie wyciągały długie szyje, dziobiąc ją po twarzy i rękach. Niedługo zabawiwszy, Alicya wraca, śpiewając znów swą piosenkę z tak przejmującym uczuciem, że Cypryan, który do tej pory z okna jej się przyglądał, pobiegł za nią wzruszony, wołając:

— Panno Alicyo!

— Ach, to pan, panie Méré? Masz mi pan coś do powiedzenia? — przemówiło dziewczę, widząc, że Cypryan milczy.

— Chciałem się z panią pożegnać, panno Alicyo, — mówił drżącym głosem Cypryan.

Alicya zbladła.

— Pan wyjeżdżasz, tak nagle, i dokąd to? — pytała zmieszana.

— Do ojczyzny, do Francji, — odpowiedział Cypryan. — Zadanie moje już skończone, nie mam więcej co robić w Griqualandzie, obowiązkiem moim przeto jest wrócić do kraju.

— Ach! tak, w samej rzeczy, inaczej być nie może, — urywanym głosem, odpowiadała Alicya, nie wiedząc dobrze, co mówi.

Młode dziewczę było tą wieścią, jakby rżone gromem; duże łzy zawisły w jego oczach, zapanowało jednak wkrótce nad sobą i uśmiechając się, przemówiło:

— A więc pan wyjeżdżasz i porzucasz swoją grzeczną uczennicę, zanim ta zdołała ukończyć kurs chemii? Chcesz pan, abym poznawszy własności tlenu, nigdy nie dowiedziała się czem jest azot? To nieładnie, panie Méré.

Pod temi, żartobliwym tonem, wypowiedzianymi słowami, ukrywał się żal tak widoczny z powodu jego wyjazdu, że Cypryan o mało nie zawołał: Prosiłem ojca o rękę twoją i właśnie odmowa jego wypędza mnie stąd. W porę przypomniał sobie przyrzeczenie, dane Watkinsowi i powstrzymał się od wyznania. W każdym razie uważał, iż powzięty zrana projekt natychmiastowego wy-

jazdu jest obecnie niemożliwym do wykonania. Postanowił zostać.

— Jeżeli mówiłem o wyjeździe, nie nastąpi on zupełnie tak prędko. Mam niektóre notatki do uzupełnienia i będę miał jeszcze zaszczyt widzenia pani; pomówimy wówczas o lekcjach chemii, które ją tak zajęły.

Wypowiedziawszy te słowa, odszedł nagle i jak szalony pomknął do swego mieszkania. Rzuciwszy się na krzesło, pograżył się w rozmyślaniach.

Wyrzec się tej miłej, pięknej istoty, dla braku marnego kruszcu, mówił sam do siebie i porzucić walkę przy pierwszej przeszkodzie, nie dowodzi wcale wielkiej odwagi. Czyż nie lepiej pokusić się o przełamanie przeszkód? Ileż to ludzi, jako kopacze, zdobywają od razu majątek. Czyż nie mogę znaleźć dyamentu wagi stu karatów lub odkryć zupełnie nowych pokładów? Bezwątpienia posiadam więcej wiedzy teoretycznej od większości kopaczy, czemu więc wiedza niema pomódz do osiągnięcia tego, co inni zdobywają zapomocą ciężkiej pracy i ślepego trafu?

A zresztą cóż ryzykuję?

Nawet dla misyi mojej, sędzę, nie będzie bez pożytku, gdy sam chwycę za motykę i spróbuję rzemiosła kopacza. A jeżeli mi się uda zdobyć majątek, zobaczymy, czy

Watkins nie zmieni wówczas zdania i nie cofnie swej odmowy. W każdym razie zdobyć warta trudu.

Powziąwszy to postanowienie, Cypryan chwycił za kapelusz i udał się do Wandergaart-Kopii. W godzinę był już na miejscu. W tej chwili właśnie kopacze zbierali się gromadnie na drugie śniadanie. Cypryan przyglądał się uważnie postaciom o cerze spalonej od słońca i zapytywał się w duchu, która z nich mogłaby mu udzielić pożądaney wiadomości. W tem spostrzegł Tomasza Steele, poczciwego górnika z Lancashiru, z którym już parę razy spotkał się od czasu wspólnej podróży. Dzielnemu chłopcu powodziło się widocznie dobrze, poznać to można było po nowym zupełnie ubiorze i dużym skórzanym pasie.

Cypryan postanowił z nim pomówić o swych zamiarach i objaśnił go w kilku słowach, o co mu chodziło.

— Wziąć w dzierżawę claim bardzo łatwo, o ile posiadasz pan odpowiedni fundusz, odpowiedział poczciwy górnik. Właśnie obok mojego jest jeden wolny. Wart około 400 funtów szterlingów (4000 rubli) a ręczę, że przy pomocy sześciu murzynów możesz pan w ciągu tygodnia zarobić 700—800 franków.

— Kiedy nie posiadam 400 funtów ani murzynów.

— W takim razie kup pan ósmą albo dziesiątą część claimu i pracuj w nim sam, na to wystarczy 1000 franków.

— Projekt ten jest możliwy do wykonania, ale pozwól się zapytać jakieś pan sobie poczynił, bo o ile wiem, nie posiadałeś gotówki, gdyś tu przyjechał.

— Tak, przybyłem tu tylko z dziesięcioma palcami i trzema miedziakami w kieszeni. Ale poszczęściło mi się!

Z początku pracowałem jako spółnik na ósemce, której właściciel wolał siedzieć w szynku niż pracować. Umówiliśmy się dzielić zdobyczą i znalazłem kilka większych kamieni, zwłaszcza jeden, wagi 5 karatów, za który nam zapłacono 200 funt. szter. Później znudziło mi się pracować za tego próżniaka i kupiłem szesnastkę na własny rachunek. Ponieważ w niej znajdowałem tylko kamienie drobne, niewielkiej wartości, porzuciłem ją po 10 dniach i obecnie pracuję znowu do spółki z pewnym australczykiem w jego udziale. W pierwszych tygodniach nie zarobiliśmy dużo, ledwie 5 f. szter.

— Gdyby mi się udało kupić niedrogo część dobrej kopalni, czy chciałbyś pan pracować wspólnie zemną?

— Chętnie, ale z zastrzeżeniem, że każdy z nas zatrzyma dla siebie, co znajdzie. Stawiam ten warunek bynajmniej nie z braku zaufania do pana, panie Méré, lecz zauważyłem, że zawsze tracę przy podziale. Jako były górnik znam się na robocie i dwa razy więcej kamieni odbiję aniżeli inni.

— Słusznie, zgadzam się na to.

— Ach! — zawołał nagle Tomasz, — a możebyśmy wydzierżawili jeden z claimów pana Watkinsa, bo on skutkiem podagry nie może wszystkim sam nadzorować i sądzę, że panu wydzierżawiłby na dogodnych warunkach.

— Nie mam ochoty z nim o tem mówić, wolę, abyś pan spisał umowę — odparł Cypryan.

— I owszem, jeżeli pan sobie tego życzysz.

Po upływie trzech godzin umowa była zawartą, mocą której za cenę 90 funt. szterl. pół claimu nr. 942 przechodziło w dzierżawę panów Méré i Steele.

Oprócz opłaty, nowonabywcy zobowiązali się jeszcze dzielić swą zdobycz z panem Watkinsem i oddawać mu podług zwyczajowego prawa, zanego »Royalty«, pierwsze trzy kamienie, wagi przewyższającej 10 karatów. Nie liczono wcale na znalezienie takich kamieni, ale czy wiadomo, co ślepy traf zdziałać może.

W każdym razie był to dobry interes i pan Watkins, popijając dzyn, mówił do Cypryana ze zwykłą swą szczerością:

— Miałeś pan szczęśliwą myśl, biorąc się do tej pracy.

---

## ROZDZIAŁ V.

### Pierwsza próba.

Zrana następnego dnia udali się obaj wspólnicy do pracy. Udział ich znajdował się na samym brzegu Kopii i z tej przyczyny, podług teoryi Cypryana, powinien mieć bogatą zawartość. Szkoda tylko, że był już wyeksploatowany prawie do 50 metrów głębokości.

Zatrudnienie kopacza jest bardzo proste. Odbija on okutym drągiem i motyką niewielką przestrzeń kamienistego gruntu i następnie przy pomocy drucianej liny wyciąga na górę skórzane wiadra, napelnione ziemią.

Wykopany piasek, wspólnicy ładowali na taczki i zwozili do chatki Tomasza, gdzie oczyściwszy z większych kamieni, sypano go na sита o drobnych otworach.

Gdy kurz i piasek zostały odłączone, drobne

kamyczki wysypywano na stół, przy którym zasiedli obaj wspólnicy i przeglądali je starannie. Przysuwali do siebie kamyki blaszaną grabką, po zbadaniu rzucali je pod stół, skąd po nagromadzeniu większej ilości, wynosili gdziekolwiek.

Staranny ten przegląd miał na celu niepominięcie dyamentu, chociażby najmniejszych rozmiarów.

Jakże czuli się szczęśliwi, gdy całodzienna ich praca uwieńczoną została choć małym rezultatem, a ileż razy spotkał ich zawód!

Cypryana zwłaszcza prześladowała fatalność.

Jeżeli pomiędzy przebieranymi kamykami trafił się dyament, to zawsze prawie Tomasz wpierw go spostrzegł i na własność zabierał. Pierwszą zdobyczą Cypryana był mały kamień wagi  $\frac{1}{2}$  karata (karat odpowiada wadze  $\frac{1}{5}$  grama).

Dyament czysty bez koloru, wagi 1 karata ceni się po oszlifowaniu 200 franków, a im większy jest kamień, tem wartość jego wzmagą się w stosunku dziesięciokrotnego powiększenia ceny. Jeżeli zatem kamień jedno-karatowy wart jest 200 fr., to 10 karatowy 20000 fr. czyli sto razy więcej.

Kryształki 10 karatowe, a nawet jedno karatowe, trafiają się bardzo rzadko, dlatego



też są tak cenione. Dodać jeszcze należy, że dyamenty znalezione w Griqualandzie mają odcień żółtawy, co zmniejsza znacznie ich wartość.

Znalezienie kamyka, wagi  $\frac{1}{6}$  karata, jest zaprawdę zbyt małym wynagrodzeniem za całotygodniową pracę, oburzał się w duchu Cypryan; tyleż bym zarobił, uprawiając rolę lub pasąc trzodę. Jednakże nie tracił jeszcze nadziei, tej nieodłącznej towarzyszki każdego kopacza, że dziś, jutro, wreszcie w ciągu miesiąca, znajdzie cenny, duży kamień. Tomasz na nic uwagi nie zwracał i pracował wytrwale jak maszyna raz w ruch puszczonej.

Wspólnicy śniadali razem pod gołym niebem, racząc się chlebem i piwem; do obiadu zasiadali ze wszystkimi kopaczami, a wieczorem, gdy Tomasz udawał się do sali bilardowej, Cypryan odwiedzał pana Watkina.

Na fermie Cypryan często zastawał Jamesa Hilton, dużego chłopca z rudą czupryną i bardzo białą cerą, usianą piegami. Młodzieniec ten cieszył się widocznie względami pana Watkina, bo dzielnie mu dotrzymywał placu, pijąc z nim dżyn i paląc ordynaryjny knaster.

Pannie Alicy musiał się Hilton mniej podobać, bo z widoczną niechęcią słuchała pła-

skich komplementów, jakie jej prawił i płytkiej gawędy, którą prowadził z jej ojcem.

Cypryan zaś wprost znosić nie mógł jego obecności w tem miejscu i, często powstrzymując się od wybuchu, uciekał, żegnając się spiesźnie.

— Francuz jakoś dziś nie w humorze, — mawiał wówczas pan Watkins, mrugając na Hiltona, — widocznie mu dyamenty same do kieszeni wejść nie chcą.

Hilton na ten dowcip wybuchął hałaśliwym, ordynaryjnym śmiechem. Cypryan uciekał wówczas zwykle do starego poczciwego boera, imieniem Jacobus Wandergaart, mieszkającego w pobliżu kopalni.

Starzec ten, którego nazwiskiem ochrzczoneą była kopalnia, posiadał niegdyś koncesyę na grunta zajmowane teraz przez kopalnie Watkinsa, który mu je wydarł przemocą.

Wandergaart zrujnowany obecnie, zamieszkał w glinianej lepiance i zarabiał na życie szlifowaniem kamieni, którego to rzemiosła nauczył się w swoim rodzinnem mieście, Amsterdamie.

Kopacze często przynosili doń dyamenty do oszlifowania, a staremu, który poprzednio był bardzo wprawny w swem rzemiośle, obecnie coraz trudniej przychodziło wywiązywać się godnie ze swego zadania.

Cyprian poznał go wtedy, gdy mu szlifował pierwszy znaleziony dyament dla osadzenia w pierścionek i od razu bardzo go polubił. Chętnie zachodził do staruszka, aby z nim godzinę pogawędzić albo przyglądać się pracy szlifierza.

W swej skromnej pracowni z siwą brodą i łysą czaszką, przykrytą aksamitną czapeczką, wielkimi okularami na długim nosie, pośród dziwaczných narzędzi i flaszeczek o tajemniczych płynach, wyglądał jak alchemik z XV wieku. W przytwierdzonej do okna kopance leżały powierzone mu dyamenty, często znacznej wartości.

Dyamenty podług kształtu, jakiego nabierają po obrobieniu noszą nazwy: dyamentu, rozety, brylantu pojedynczego, podwójnego, brioletty i pendeloque.

Podczas roboty Wandergaart był bardzo rozmowny i opowiadał zajmujące historye o południowej Afryce, w której już od lat czterdziestu przemieszkował. Najczęstszym tematem opowiadań stałego były patryotyczne i osobiste krzywdy przez niego doznane. Anglicy byli w jego oczach największymi złodziejami. Nie można się temu dziwić, powtarzał chętnie, iż amerykanie oderwali się od nich, tak też wkrótce uczynią Indye i Australia.

Bo też który naród chciałby się poddać podobnej tyranii?

— O panie Méré, gdyby świat znał wszystkie bezprawia, które, dumni ze swej morskiej potęgi i bogactw, Anglicy popełnili i popełniają, nie miałyby ludzka mowa dość obelżywych wyrazów, aby nimi cisnąć im w oczy!

Czy chcesz pan dowiedzieć się, co oni mnie zrobili?

Posłuchaj i wówczas osądzisz, jaką jest ich sprawiedliwość!

Po zapewnieniu Cypryana, że chętnie słuchać będzie, stary rozpoczął następującą opowieść:

— Urodziłem się w Amsterdamie w roku 1806; tam też uczyłem się mego rzemiosła. Dziecinne lata przepędziłem na Przylądku Dobrej Nadziei, dokąd rodzice moi wyemigrowali już od dłuższego czasu. Byliśmy Holendrami, dumnymi ze swego pochodzenia, gdy w tem Anglia prowizorycznie, jak to się zdawało, nas zaanektowała.

John Bull jednakże nie puszcza, co raz chwycił w paszczę i kongres, obradujący w 1815 r. w Europie, uznał nas urzędownie jako poddanych Wielkiej Brytanii.

Pytam się pana, jakim prawem Europa miesza się do naszych siedzib w Afryce?

Niech się kłopotcze o swych poddanych angielskich, ale my anglikami być nie chcemy!

W przekonaniu, iż Afryka jest dość dużą, aby nam niepodległą zapewnić ojczyznę, opuściliśmy Przylądek i powędrowaliśmy na północ, w głąb dzikiego kraju. Nazwano nas boerami czyli chłopami, Voortrekkerami t. j. pionierami.

Zaledwieśmy, ciężko pracując, zapewnili sobie niezależne istnienie, już rząd angielski rości pretensye do nas, jakbyśmy byli angielskimi poddanymi.

To było przyczyną wielkiej naszej emigracyi w 1833 r. Na nowo opuściliśmy wszyscy kraj przez nas uprawiany i, zabrawszy na wozy naczynia domowe i narzędzia, puściliśmy się w głąb pustyni.

W owym czasie przestrzeń kraju Natal była prawie bezludną, bo krwiożerczy król tamtejszy Tchaka, prawdziwy Attyła zuluski, wymordował około miliona ludzi. Działo się to pomiędzy rokiem 1812 a 1828. Dziki następca jego Dingaan pozwolił nam jednakże założyć w swym kraju siedziby, w miejscowości, gdzie obecnie wznoszą się miasto Durban i port Natal.

Wiadomo jednak było, że podły Dingaan zamyślał nas złupić, gdy praca nasza przyniesie owoce. Każdy też uzbrajał się jak mógł

i tylko dzięki nadludzkiej odwadze, odpierając setki napaści, przy których żony i dzieci były się przy naszym boku, zostaliśmy w posiadaniu ziemi, zniszczonej krwawym potem.

Zaledwie jednak czarny despota został przez nas obezwładniony, a już gubernator Kapsztadu przysłała wojsko, aby w imieniu królowej angielskiej objąć w posiadanie kraj Natal!

Nie chciano nas wypuścić z angielskiej opieki! Działo się to w roku 1842.

Inni nasi rodacy w tym czasie zdobyli Transwaal, nad rzeką Orange, gdzie po zaciętej walce pokonali despotę, imieniem Moselekatze. I im też Anglicy bez ceremonii, na mocy zwykłego rozkazu dziennego, zabrali nową ojczyznę, kosztem tylu ofiar zdobyłą.

Opuszczę wszelkie szczegóły. Walka trwała lat 20. Cofaliśmy się wciąż na północ, a Anglia systematycznie wyciągała za nami swą chciwą łapę, jakby za niewolnikami, którzy zostają własnością swego pana, chociaż zmienią miejsce pobytu.

Nareszcie, po krwawych utarczkach i niewypowiedzianych trudach, udało nam się pozyskać uznanie niepodległości dla Wolnego Związku Orange. Przez królową Wiktoryę dnia 8 kwietnia roku 1854 podpisana pro-

klamacya zapewniła nam niepodległość naszego kraju i prawo samorządu. Ustanowiliśmy formę rządu republikańską.

Doskonała nauka szkolna, dostępna dla wszystkich warstw ludności, ściśle przestrzegana sprawiedliwość, mogły służyć za wzór dla krajów, które się pod względem cywilizacji miały za daleko wyższe od naszego małego państewka, w południowej Afryce.

Griqualand był częścią naszego kraju.

Tutaj osiedliłem się z żoną i dwojgiem dzieci. Mój kraal, albo obejście, zajmował przestrzeń kopalni, w której pan obecnie pracujesz. W dziesięć lat później osiedlił się tu John Watkins. Wówczas nikt nie podejrzewał jeszcze istnienia dyamentów pod naszymi stopami, dopiero w 1867 r. rozeszła się wieść o tem.

Pewien boer z nad brzegów rzeki Hart znalazł dyamenty w glinianej ścianie swej chaty, a nawet w nawozie strusim<sup>1)</sup>.

Wówczas wierny swemu zwyczajowi, nie szanując umów, ani praw, rząd angielski

---

<sup>1)</sup> Boer ten nazywał się Jacobs. Niejaki Niekirk, kupiec z towarzyszem swym O. Reilly, odpoczywając podczas wędrowki w chacie Jacobsa, zauważył szczególnego rodzaju kamień, którym dzieci się bawiły. Kupił go za kilka sousów, a następnie sprzedał za 12500 fr. sir Philipowi Wodehouse, gubernatorowi

oświadczył, że Griqualand jest jego własnością.

Daremnie republika protestowała, chcieliśmy spór nasz oddać pod sąd mocarstw europejskich, Anglia odrzuciła wszelkie pośrednictwo i po prostu obsadziła kraj nasz wojakiem.

Można było przypuścić, że szlachetni lordowie nie naruszą przynajmniej mienia osób prywatnych, ale i to zawiodło.

W tym czasie zostałem osierocony; straszna epidemia pozbawiła mnie żony i dzieci. Byłem tak złamany tym ciosem, iż brakło mi sił do szukania nowej ojczyzny, siódmej już z rzędu, zostałem tedy w Griqualandzie. Prawie jedyny byłem, który się nie poddał gorączce poszukiwania dyamentów. Uprawiałem nadal ogród warzywny, jakby nie wiedząc o istnieniu kopalni, Du Toits Pan, oddalonej o paręset kroków od mojej posiadłości.

Wyobraź pan sobie zdziwienie moje, gdy pewnego ranka ujrzałem mur z kamieni, otaczający obejście, rozwalony podczas nocy i odsunięty na 300 metrów dalej na wschód.

---

Kapsztadu. Kamień ten po obrobieniu posłany został przez właściciela na wystawę paryską w r. 1867, gdzie znalazł poczesne miejsce wśród innych drogich kamieni; od tej pory wydobywa się z pól Gryqualandu dyamentów rocznie za 32000000 fr.



Na tem zaś miejscu stał płot świeżo postawiony przez Watkinsa, obejmujący moje grunty i łączący je w ten sposób z gruntami jego.

Na moją skargę, rabuś ten odpowiedział śmiechem, a gdy mu zagroziłem sądem, rzekł, abym się do niego jak najprędzej udał.

W tydzień potem zagadka stała się dla mnie zrozumiałą. Grunt wydarty mi przez Watkinsa zawierał pokłady dyamentowe, gdy Anglik to zmiarkował, udał się do Kimberley, aby kopalnię zapisać urzędownie na swoje imię.

Zaskarżyłem go więc. Obyś się panie Méré nigdy nie dowiedział, co to kosztuje skarżyć kogo w Anglii. Powoli traciłem konie, woły, owce, narzędzia i statki; nareszcie ubranie, aby tuczyć te pijawki, które pełnią obowiązki solicytorów, attornejów, szeryfów i t. d. Na koniec, po roku wszelakich matactw, próżnych oczekiwań, sprawa została uregulowaną. Proces przegrałem i zrujnowany byłem do szczętnie!

Wyrok opiewał, że pretensye moje są nieuzasadnione, szczegółowego zaś rozgraniczenia naszych posiadłości sąd na razie nie jest w stanie dokonać; ustanawia zaś na przyszłość linię graniczną pod 25° na zachód od Greenwich.

Przestrzeń położona na zachód tej linii ma należeć do Johna Watkins, a wschodnia do Jakobusa Wandergaart. Kopalnia tem samem przyznaną została Watkinsowi! Jednakże, jakby przez sprawiedliwość Boską, na przekór wyrokom sądów, kopalnię do dnia dzisiejszego zwą Wandergaart-Kopią!

No, przyznaj pan teraz, czyż nie mam słuszności, utrzymując, iż wszyscy anglicy są złodziejami? — kończył swoje niestety, aż nazbyt prawdziwe opowiadanie stary boer.

---

## ROZDZIAŁ VI.

### **Zwyczaje w obozowisku.**

Opowiadanie starego boera nie sprawiło przyjemności inżynierowi. Przywykł on widzieć w Watkinsie przyszłego swego teścia, a z pod charakterystyki Wandergaarta tenże nie wychodził zbyt pochlebnie.

Aby pogodzić te sprzeczności, Cypryan powiedział sobie, iż stary, skutkiem doznanych cierpień, stał się maniakiem i prawdopodobnie przesadza. Watkins zaś, gdy mu inżynier

wspomniął o Wandergaarcie, rozśmiał się głośno i, podnosząc wskazujący palec do czoła, dał do zrozumienia, że stary musi mieć zajączki w głowie. Pod wrażeniem odkrytych pokładów dyamentowych uroił sobie, że są one jego własnością, a przecież i sąd nie oddaliłby jego pretensyi, nie mając ku temu prawnej podstawy!

Tak rozumował Cypryan, szukając usprawiedliwienia, że po wynurzeniach starego szli-fierza obcuje jeszcze z Watkinsem.

Chętnie też odwiedzał Cypryan drugiego sąsiada kopalni, boera, Mathysa Pretorius, gdyż u niego mógł obserwować dawny sposób życia boerów, przez przybyciem kopaczy do tego kraju.

Mathys był powszechnie znanym ludności kopalnianej z powodu swej nadzwyczajnej tuszy. Był on tak otyłym, iż trudno mu było się poruszać, przesiadywał też dnie całe w olbrzymim fotelu, specjalnie dlań zrobionym, a do kantyny przyjeżdżał na trzciny-nym wózku ciągnionym przez olbrzymiego strusia.

Siła mięśni tych ptaków jest ogólnie znaną i struś Mathysa bez trudu prawie wozził swego otyłego pana.

Mathys Pretorius przyjeżdżał zwykle do obozowiska tylko celem sprzedaży jarzyn

i, załatwiwszy się z tem, zaraz powracał do siebie, gdyż prześladowano go w kantine okrutnie, znając jego wielką lękliwość. Kpacze zabawiali się, strasząc biednego tłuszciocha nadzwyczajnymi wieściami jak np. o spodziewanym napadzie Zulusów lub Bosutów, albo czytali w jego obecności gazetę, w której był projekt prawa, aby każdy obywatel, ważący więcej niż 300 funtów, podlegał karze śmierci. Opowiadano wreszcie, że widziano psa wściekłego na drodze do Driesfontein, którą właśnie Mathys miał powracać do domu.

Największą jednak obawę budziła w nim możliwość odkrycia pokładów dyamentowych na jego gruntach!

Widział już w swej wyobraźni, jak chciwi ludzie pustoszą jego zagony warzywne i pozabawiają go ciężko zdobytej posiadłości! Anglicy niewątpliwie znajdą pozory prawne, aby dowieść, że grunty te do nich należą.

Niemógł też jeść ani pić, gdy zobaczył przypadkiem w pobliżu swej fermy »prospecteura«<sup>1)</sup>, a pomimo to, tył coraz bardziej.

Jednym z jego najzacieklejszych przeciw-

---

<sup>1)</sup> Tak nazywają ludzi, którzy zajmują się odszukiwaniem pokładów dyamentowych.

ników stał się Annibal Pantalacci. Włochowi temu widocznie doskonale się powodziło; trzech kafrów pracowało w jego kopalni i on sam paradował z wielkim dyamentem, noszonym zamiast spinki przy koszuli.

W krótkim czasie Annibal odkrył słabą stronę Mathysa i przestraszał go niemało, próbując motyką przynajmniej raz na tydzień zawartość gruntów w okolo fermy.

Grunty fermera znajdowały się na lewym brzegu rzeki Vaal, i na pokładach aluwialnych i prawdopodobnie zawierały dyamenty.

Aby ofierze tem lepiej dokuczyć, Annibal czynił swe udane poszukiwania zawsze w miejscu widzialnem z okien fermy. Często też zabierał paru towarzyszy, których ta komedia również wielce bawiła.

Można było widzieć tłuszciocha, jak siedział ukryty za firanką, na wpół zeszywniały z przerażenia i śledził miny kopaczy, aby w razie jakich podejrzaných zamiarów z ich strony, bezwłocznie uciec. W tym celu trzymał strusia zawsze zaprzęgniętego do biedki, gdzie także umieścił trochę żywności. Niepotrzebnie tylko opowiadał o tych przygotowaniach i pobudzał tem żartownisiów do nowych przesładowań.

— Ucieknę wówczas do buszmenów! — mówił Mathys, — prowadziłem z nimi przed laty handel słoniową kością i zapewniam was, iż stokroć lepiej jest żyć wśród dzikich ludzi, szakali i lwów niż pomiędzy nienasyconymi anglikami.

Drugą ofiarą konceptów neapolitańczyka był chińczyk Li.

Ten także osiedlił się w Wandergaart-Kopii i urządził tam pralnię. Wiadomą jest rzeczą, że synowie Państwa Niebieskiego na praniu znają się doskonale.

Czerwony jego kufer, który podczas wspólnej podróży, tak zaciekał Cypryana, zawierał całe stosy mydła, sody, farbki, i szczotek, a wystarczało to dla inteligentnego chińczyka, aby próbować szczęścia w tym kraju. Cypryan mimowoli się uśmiechał, spotykając go z koszem bielizny, którą odnosił swym klientom. Tak samo, jak dawniej, gniewały go figle, płatanе chińczykowi przez Annibala. Raz wlewał mu atrament do balii, to znów naciągał sznury przed jego drzwiami, aby ten wychodząc przewracał się. Innym razem przygwałdział go do ławki, wbijając gwoździe przez bluzę. Gdzie zaś tylko go spotkał częstował kułakami i wymyślał od przeklętych pogan.

Tak się bawiono w obozowisku. Do uro-

zmaicenia życia obozowego przyczyniały się także zajścia, gdy którego z pracujących kafrow, podejrzywano o kradzież dyamentu. Dziko wrzeszcząc odprowadzali go kopacze całą bandą do sędziego, nie żałując po drodze pięści. Sędziowie rzadko kogo uniewinniali, wydawali przytem wyroki prędzej niż zdołałby kto zjeść ćwiartkę pomarańczy, ob-sypanej solą, ulubiony w tych stronach przy-smak.

Wyroki zwykle były tej treści: 20 dni przymusowej pracy i 20 uderzeń z »cat of mine tails« t. j. kotem o 9 ogonach. Jest to rodzaj dyscypliny z rzemiennymi węzłami, którą się jeszcze w Wielkiej Brytanii posłu-gują dla bicia niewolników.

Ciężej jeszcze karano zbrodnię ukrywaczy. Poznał to na sobie Ward, amerykańin, ten sam, który razem z Cypryanem przyjechał, a obecnie właściciel kantyny. Kupił on pewnego dnia od kafra dyament, nie wiedząc, iż prawo zabrania kafrowi posiadania dyamen-tów oraz dzierżawienia claimu.

Ledwie się wieść o tem rozniosła, gdy tłuszcza rzuciła się na bezbronnoego i byłaby go z pewnością powiesiła, gdyby nie oddział konnej policji, który na szczęście jego właśnie nadjechał.

Dzkie bójki także nie były rzadkością

w tem zbiorowisku, złożonem z przedstawicieli wszelkich ras.

Prawdopodobnie namiętności nie byłyby tak podbudzone, gdyby każdemu z nich udało się urzeczywistnić zamiary, z jakimi przybył.

Tymczasem na jednego szczęśliwca, który znalazł majątek, liczone setki biedaków, tracących zdrowie i przywiezione zasoby.

Walka podobną była do gry w karty, tylko tu zamiast zielonego stolika, była kopalnia, a zamiast złota, rzucono na szalę zdrowie i ciężką pracę.

Szczęśliwych graczy było bardzo mało w Wandergaart-Kopii i Cypryan zaczął przewidywać, iż majątku nie zrobi, jeżeli nie zajdzie jakaś zmiana w jego pracy.

Pewnego dnia spotkał inżynier kafrów, dających do kopalni, szukali oni zajęcia. Biedacy ci pochodzili z górzystego ustronia, właściwego kraju kafrów, graniczącego z krajem Bassutów.

Szli oni przez długie dni wzdłuż rzeki Orange, żywiąc się marnie znajdowanymi po drodze korzonkami, jagodami i szarańczą; byli też więcej podobni do szkieletów niż do postaci ludzkich. Nikt ich nie najmował do pracy i siedzieli biedacy w gromadce nad drogą, nie wiedząc, co począć z sobą.

Cypryana wzruszyła ich nędza. Kazał im



z pobliskiej kantyny przynieść kocioł zupy z mąki kukurydzowej, trochę mięsa suszonego i kilka butelek rumu.

Z prawdziwą przyjemnością patrzył jak się rzucili na to pożywienie i mieli przytem wygląd rozbitków, którzy przez 14 dni nie jedli. Połykali żywność z taką żarłocznością, iż po kwadransie trzeba było im zabrać resztę, bo pewnie by sami jeść nie przestali.

Tylko jeden murzyn, najmłodszy o inteligentnem spojrzeniu jadł umiarkowanie, i on też tylko, podszedłszy do Cypryana, ujął niezgrabnym ruchem jego rękę i położył ją sobie na kędzierzawej głowie, na znak podziękowania. Inni o tem nie pomyśleli.

— Jak się nazywasz? — pytał Cypryan, ujęty postępowaniem chłopaka.

Murzyn, rozumiejący cokolwiek po angielsku, odpowiedział natychmiast.

— Matakiti!

Przyjemna i zaufanie budząca fizyognomia chłopca nasunęła Cypryanowi myśl przyjęcia go w charakterze robotnika do swojej kopalni.

— Czyś przyszedł tutaj szukać roboty? — badał w dalszym ciągu chłopca. Matakiti odpowiedział potakującym ruchem głowy.

— Czy chcesz u mnie pracować? Dam ci

jeść, pić, narzędzia do pracy i 20 szylingów miesięcznie.

Było to zwykle wynagrodzenie, i Cypryan wiedział dobrze, iż więcej Matakitoi obiecać mu niewolno pod grozą ściągnięcia na siebie gniewu całego obozowiska. Postanowił jednak dodać pokryjomu do marnej tej zapłaty ubranie i statki, tak pożądane zazwyczaj przez kafrów.

Matakit zamiast odpowiedzi, rozśmiał się wesoło, przyczem błysnęły dwa rzędy pysznych zębów i położył sobie poraz drugi rękę Cypryana na głowę.

Umowa była zawartą.

Cypryan zaprowadził Matakita do swej chatki i, wyjąwszy z kuferka parę płóciennych spodni, welnianą koszulę i stary kapelusz, ofiarował to wszystko zdumionemu kafrowi.

Otrzymać tak wspaniałe ubranie zaraz po przybyciu do obozowiska, przewyższało o wiele najśmielsze marzenia Matakita, oddał się też cały radości, śmiejąc się i skacząc po pokoju, jak dzieciak z nową zabawką.

— Matakicie, wyglądasz mi na dobrego chłopca i widzę, że rozumiesz nieco po angielsku, czy mówić nie umiesz? — pytał znów Cypryan. Chłopak zaprzeczył ruchem głowy.

— No, jeśli chcesz, mogę cię uczyć po francusku, oświadczył mu Cypryan. Bez straty czasu zabrał się do pierwszej lekcyi ze swym uczniem, wymieniając mu nazwy przedmiotów pierwszej potrzeby i każąc mu je powtarzać.

Matakit okazał zdumiewające zdolności, łatwo pojmował i doskonałą miał pamięć.

Po dwugodzinnej nauce znał już nazwy około stu przedmiotów i nieźle je wymawiał.

Młody kafr musiał pierwszy tydzień poświęcić na odpoczynek po nużącej podróży, aby nabrać sił potrzebnych do pracy. Czas ten został zużytkowany na naukę z takim pożytkiem, iż w końcu tygodnia Matakit mógł już, choć niezbyt poprawnie, wyrażać swe myśli.

Cypryan skłonił go do opowiedzenia historyi swego życia.

Nie była ona długą. Matakit nieznał nazwy swojego rodzinnego kraju, wiedział tylko, że leży po tamtej stronie gór, gdzie słońce wschodzi. Opowiadał też, że rodzice jego wiodą życie bardzo nędzne i z tej przyczyny przyłączył się do gromady, która postanowiła wywędrować, aby szukać szczęścia na polach dyamentowych.

Czego on się tu spodziewał?

Czerwonego płaszcza i dziesięć razy po dziesięć srebrników! Nic nadto.

Co zaś pocznie z tymi skarbami? Ano, kupi ów czerwony płaszcz, fuzyę i naboje; wróci do swego kraalu, tam kupi sobie żonę, aby dlań uprawiała pole kukurydzowe, a on, taki bogacz, zajmie prawdopodobnie wysokie stanowisko pomiędzy rodakami, może zostanie naczelnikiem nawet! Wszyscy mu zazdrościć będą broni, płaszcza i dużego majątku, aż syt chwały, w późnej starości, odejdzie do przodków swoich.

Cypryan, słuchając tych skromnych marzeń, zamyślił się głęboko nad pytaniem, czy zostawić biednego dzikiego w jego szczęśliwej nieświadomości, czy też rozszerzywszy widnokrąg jego myśli, ukazać mu cele godniejsze niż zdobycie czerwonego płaszcza i starej fuzyi.

Pytanie to rozwiązał sam Matakít. Zaledwie bowiem zaczął wysławiać się nieco po francusku, okazał taką ciekawość i chęć do nauki, iż Cypryan miał dużo roboty, aby mu odpowiadać na przeróżne pytania.

Pytał i pytał bowiem bezustannie. Oprócz nazwy pragnął poznać użytek i pochodzenie każdego przedmiotu. Wobec tego zapału, inżynier zdecydował się uczyć go czytać i pisać.

Zdziwiona jego zdolnościami i zapalem panna Alicya chętnie podjęła się przepowiadania z nim zadanych mu lekcyi. Przepowiadał on je sobie zresztą ciągle, mówiąc sam do siebie dzień cały zarówno przy pracy na dnie claimu, jak przy wyciąganiu wiader ze ziemią lub przebieraniu kamieni.

Na skutek jego protekcyi przyjął Cypryan jeszcze jednego kafra, z tego samego szczepu, również zdolnego i pracowitego, nazwiskiem Bardik.

Przyjęcie nowych pracowników przyniosło szczęście inżynierowi. Pewnego dnia znalazł dyament, wagi siedmiu karatów, za który mu kupiec Natan dał 5000 franków.

Był to dobry interes, i gdyby Cypryan pracował w zwykłych warunkach, czułby się zapewne zadowolonym. Ale nim niebył.

— Jeżeli ja co drugi lub trzeci miesiąc znajdę kamień tej wielkości, czy to choć na krok zbliży mnie do celu, do którego dążę? Nie! Nie siedmiu karatowego mnie trzeba, lecz 1000 jemu podobnych, aby pozyskać rękę panny Watkins!

Tak rozmyślając, szedł Cypryan pewnego wieczora drogą wiodącą do mieszkania swojego, gdy wtę cofnął się przestraszony, zauważywszy wiszącego bezwładnie człowieka na dyszlu biedki, stojącej pod ścianą domu.

Straszny to był widok! Gdy pierwsze przeżenie minęło, Cypryan uczuł żywe współczucie dla biednego Liego, on to bowiem wisiał na dyszlu z okręconym w około szyi warkoczem.

Wdrapać się po dyszlu, wziąć w ramiona drobne ciało nieszczęśliwego i znieść je na ziemię, było to dla Cypryana dziełem jednej chwili.

Złożywszy go ostrożnie na ziemi, dotknął się jego piersi, nasłuchując bicia serca.

Żył jeszcze, niebawem otworzył oczy i westchnął lekko.

Rysy twarzy chińczyka pozostały nadal nieruchome i rzecz dziwna, nie wyrażały ani bólu ani przestachu; wyglądał tak, jak gdyby się obudził po krótkiej drzemce.

Cypryan podał mu szklankę wody zmieszanej z octem.

— Możesz pan już mówić? — zapytał go.

Li kiwnął głową.

— Kto pana powiesił?

— Ja sam, — odpowiedział obojętnie chińczyk.

— Jakto sam? A więc chciałeś popełnić samobójstwo? I z jakiej to przyczyny, biedaku?

— Liemu tu było za gorąco, Li nie był w humorze, — odparł chińczyk, zamykając oczy, aby uniknąć dalszego badania.

Wówczas dopiero zauważył Cypryan, iż rozmawiał z chińczykiem po francusku, zapytał go więc, czy znanym mu jest oprócz francuskiego, także i język angielski.

Chińczyk dał odpowiedź potwierdzającą.

— Pańskie powody samobójstwa są niedorzeczne — przemówił poważnie inżynier — ktoś się zabija z powodu upału? Założyłbym się, że Pantalacci tu wchodzi w grę!

— W istocie, chciał mnie pozbawić warkocza — potwierdził chińczyk, — pewnieby w tych dniach zamiar swój wykonał.

Mówiąc to spostrzegł warkocz swój w rękach Cypryana i przekonał się, że straszny cios którego się najbardziej obawiał, już go dosięgnął.

— O panie! co! jak! i pan mi to zrobiłeś! — krzyknął boleśnie.

— Musiałem, aby cię ocalić, biedny przyjacielu, — odpowiedział Cypryan — ależ uspokój się, nie znajdujemy się przecież w Chinach, a w tym kraju brak warkocza nie pozbawi cię bynajmniej szacunku.

Chińczyk tak był przerażony tą amputacją, iż Cypryan obawiał się, aby powtórnie nie targnął się na życie, skłonił go zatem, aby mu towarzyszył do chatki i przenocował u niego.

Li zgodził się. Usiadłszy następnie obok

swego zbawcy, wysłuchał spokojnie długiego kazania Cypryana, a pokrzepiony szklanką gorącej herbaty, zadość uczynił żądaniu inżyniera i opowiedział niektóre szczegóły ze swego życia.

Urodzony w Kantonie, był uczniem w pewnym angielskim domu handlowym, następnie wyemigrował do Ceylonu, stamtąd do Australii, nareszcie do Afryki. Nigdzie mu się nie szczęściło. Pralnia w obozowisku nieopłacała się też lepiej od dwudziestu innych interesów, które prowadził dawniej. Największem jednak nieszczęściem były dlań prześladowania Pantalacciego; gdyby nie on, byłoby mu jako tako w Griqualandzie. Aby raz uniknąć tych prześladowań postanowił pozbawić się życia.

Cypryan nakarmił biedaka, obiecując także obronę przeciwko włochowi i dał mu do pralni tyle bielizny, ile na razie mógł znaleźć. Jednocześnie uleczył go z przesądu co do warkocza, powiedziawszy mu, iż sznur wiśielca przynosi szczęście i tem samym zły los, który go prześladował, odtąd już niema mocy nad nim, gdyż ma swój sznur, t. j. warkocz w kieszeni.

— No, przynajmniej Pantalacci nie będzie mógł mi go uciąć, pocieszał się chińczyk.



To prawdziwe chińskie zdanie ostatecznie uleczyło Liego.

---

## ROZDZIAŁ VII.

### Katastrofa.

Dwa miesiące minęły, a w kopalni Cypryana ani jednego nie znaleziono dyamentu.

Z każdym dniem praca kopacza bardziej wstrętną mu się stawała, uważał ją po prostu za grę hazardową, o ile nie można dzierżawić dużej kopalni i postawić w niej do pracy 12 kafrów.

Pewnego ranka Cyprian wysłał Matakita i Bardika z Tomaszem do kopalni, a sam pozostał w chacie, aby odpisać na list Pharamonda Barthes.

Przyjaciel inżyniera był bardzo zadowolony ze swoich przygód myśliwskich. Zdążył do tej pory zabić 3 lwy, 16 słoni, 7 tygrysów i niezliczoną ilość antylop i żyraf, nie licząc drobnej zwierzyny do użytku kuchni upolowanej. Kończył zaś list wezwaniem, aby Cyprian rzucił wstrętny Griqualand i wziął udział w jego wycieczce do Limpopo, z której sobie obiecywał wiele przyjemności.

Inżynier właśnie odczytywał po raz drugi list ten, gdy rozległ się ogromny huk, a w ślad za nim wrzawa w obozowisku.

— Katastrofa! — wołano ze wszystkich stron.

Cypryan pospieszył do kopalni i na pierwszy rzut oka zrozumiał, co się stało. Olbrzymia ściana jednej z dróg, mającej około 60 m. wysokości i 200 długości zarysowała się przez środek, tworząc niezgłębioną szczelinę. Wszystko co w czasie katastrofy znajdowało się na jej powierzchni, ludzie, taczki i bawoły runęło na dno, przysypane masą ziemi!

Na szczęście większość robotników nie zaczęła jeszcze swej pracy, w przeciwnym razie połowa ludności pogrzebanąby została pod gruzami.

Pierwszem pytaniem Cypryana było, gdzie się znajdują jego współpracownicy, lecz w tejże chwili zoczył Tomasza Steele, który stał w grupie robotników, rozprawiających nad przyczyną katastrofy.

— Gdzie jest Matakít? — zapytał inżynier.

— Biedny chłopak leży na dnie, — odpowiedział Tomasz, wskazując ręką na wzgórek, który się utworzył nad ich kopalnią. — Zaledwie zeszedł, zaczęło się obrywanie ziemi.

— Ależ trzeba go ratować! Może żyje jeszcze, — wołał Cypryan.

Tomasz potrząsał przecząco głową.

— Wątpię, a zresztą 10 ludzi musiałoby przez trzy dni pracować, aby jamę z gruzów oczyścić.

— To nie nie znaczy, — mówił stanowczo Cypryan — nie można zostawić człowieka zakopanego żywcem, bez zrobienia wszystkiego, co leży w naszej mocy dla wyratowania go.

Za pośrednictwem Bardika zwrócił się inżynier do gromady kafrów, obiecując po 5 szylingów dziennie każdemu, kto pracować zechce nad oczyszczeniem kopalni.

30 kafrów zachęconych wysoką zapłatą, nie tracąc czasu, chwyciło za łopaty i taczki, do nich przyłączyło się też kilkunastu białych, powodowanych wniosłem zadaniem odgrzebania zasypanego.

Tomasz i Cypryan kierowali tak energicznie robotą, iż już do południa odrzucono kilka tonn piasku i żwiru.

O godzinie 3-ej Bardik wydał przytłumiony okrzyk, zauważył bowiem pod swą motyką, wystającą czarną nogę.

Podwojono usiłowania i po upływie kilku minut odkopano ciało Matakita.

Nieszczęśliwy kafr leżał na grzbiecie, prawdopodobnie już nie żył.

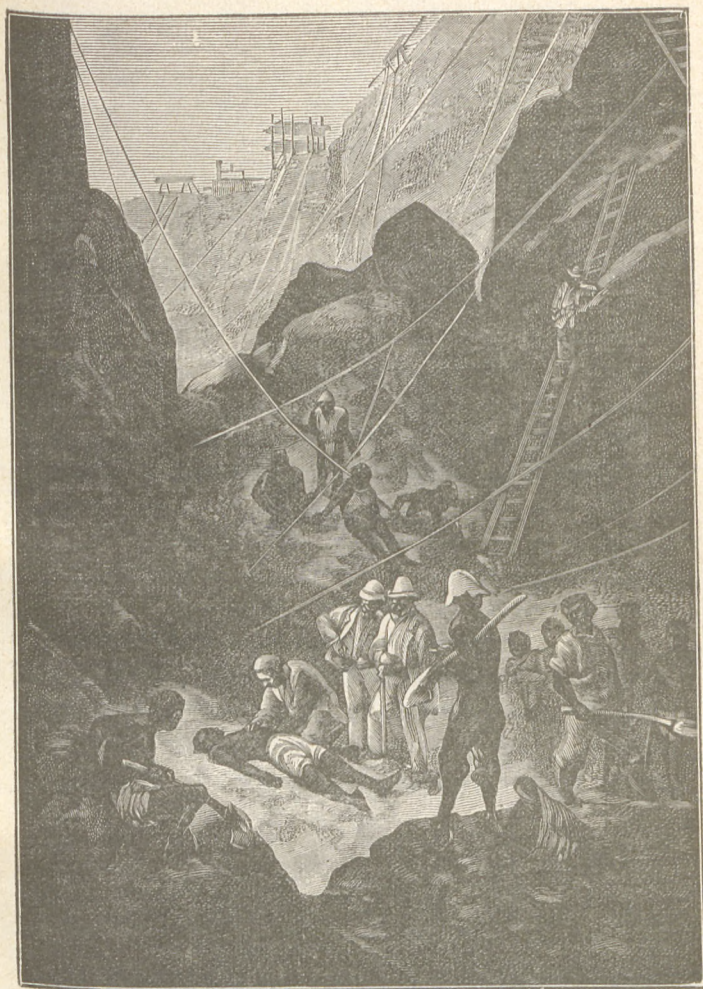
Dziwnym wypadkiem wiadro, które nosił, wsunęło mu się na głowę, na kształt kaptura.

Okoliczność ta zwróciła zaraz uwagę Cypryana i obudziła w nim nadzieję, że dzięki temu Matakít może zostać uratowany; zarządził też bezzwłoczne przeniesienie nieszczęśliwego do chaty, gdzie położono go na stół i silnie rozcierano.

Przez długi czas członki Matakíta pozostały sztywne, twarz sina, a skóra zimna; lecz silne ręce Tomasa tak szczerze go tarły, iż skutek nareszcie został osiągnięty. Temperatura ciała podniosła się, sztywność członków ustąpiła, drżenie przebiegło po czarnej skórze. Niebawem rozległo się silne kichnięcie i Matakít otworzył oczy!

— Hurra, hurra! — potem zlany krzyknął Tomasz, przestając go nacierać, — uratowany, ale zobaczno, panie Méré, jak on ściska w rękę grudkę ziemi, niechcąc jej puścić.

Inżynier miał na razie pilniejsze sprawy, niż zajmowanie się tą bagatelą. Wlał w usta ocalonemu łyżkę rumu, zawinął w koce i paru kafrów zaniósł go do mieszkania, na fermę Watkinsa. Tam położono go na łóżko, gdzie Bardik napoił go jeszcze gorącą herbatą, poczem biedak usnął. Był ocalony!



Nieszczęśliwy kafr leżał na grzbiecie i prawdopodobnie już nie żył.

BIBLIOTEKA  
BN  
NARODOWA

Cyprian uczuł wielkie zadowolenie, jakie zwykle towarzyszy spełnieniu dobrego uczynku i, podczas gdy inni pokrzepiali się w kantine po przebytych strachu i wylewali całe strugi za zdrowie Matakita, on pozostał w chacie, czuwając nad nim jak ojciec nad chorym synem.

Troskliwość ta miała źródło w przywiązaniu, jakie przez czas sześciotygodniowej służby Matakita umiał sobie zaskarbić. Inżynier poprostu uwielbiał inteligencję, pilność i zapał niepohamowany do nauki oraz zdolności wrodzone tego dzikiego dziecka natury.

Przytem Matakita był bezgranicznie oddany Cyprianowi. Jedną tylko wadą szpeciła ten dzielny charakter, mianowicie młody kafr nie znał różnicy pomiędzy mojem a twojem.

Może być, że wada ta pochodziła z pojęć rozpowszechnionych w kraalu, gdzie się wychowywał, wszelako Cyprian ostro go karmił, ile razy spostrzegł, że przywłaszczył sobie jakiś drobiazg.

Wypawszy się, Matakita obudził się rzeźwy, jak gdyby nic nie zaszło.

Opowiedział jak podczas wypadku obsunęło mu się wiadro na głowę, tworząc nad nim rodzaj dachu, który go chwilowo od zasypiania uchronił. Czuł jednakże, iż skutkiem

braku powietrza, wkrótce się udusi i starał się oddychać, jak mógł najpowolniej.

Po kilku minutach popadł w męczący sen, i co się z nim dalej działo, nie wiedział.

Cypryan nie pozwolił mu dużo mówić, kładąc dalej spać i uspokojony co do jego stanu, poszedł w odwiedziny na fermę.

Młody inżynier uczuł nieprzepatą potrzebę podzielenia się z Alicją wypadkami dnia i opowiedzenia o wzrastającym wstręcie do rzemiosła kopacza.

— Narażać życie ludzkie dla pozyskania paru marnych dyamentów, wydaje mi się niegodziwem. A pani, jak się na to zapatruje, panno Alicyo? — pytał się dziewczęcia.

— Mnie to już oddawna wielce dziwi, jak pan, inżynier i uczony, mogłeś się decydować na prowadzenie podobnego życia! Czyż to nie zbrodnia wobec nauki tracić czas na pracę, którą każdy kafr lepiej wykona od pana? Jeżeli już koniecznie zachciało się panu dyamentów, to czemuż ich raczej nie szukasz na dnie swej retorty; toby przynajmniej było godne uczonego chemika!

Alicya mówiła z takim zapalem i wiarą w naukę, że słowa dziewczęcia wywarły na Cypryanie wrażenie.

A może, w istocie byłoby to możebnem? Sposób tworzenia dyamentów uważany przed



wiekem za utopię, jest już dziś naukowo rozwiązany.

Fremy i Peil w Paryżu tworzą rubiny, szmaragdy i szafiry, krystalizując różnie zafarbowaną glinę. Mac Tear w Glasgowie i J. Ballantine Hannay już w roku 1880 otrzymali drogą chemiczną kryształki węgla, które posiadały wszelkie własności dyamentu, tylko tę wadę, iż kosztowały daleko drożej, niż dyamenty naturalne brazylijskie, indyjskie lub afrykańskie.

Jeżeli jednak naukowe rozwiązanie pewnego problemu otrzymanem już zostało, zastosowanie do przemysłu zwykle prędko za niem następuje. Więc czemuż ja nie mam podjąć się tego zadania? Wszyscy uczeni, których usiłowania w tym kierunku okazały się dotychczas daremnymi, byli to teoretycy, mole książkowi, niewytykający nosa z poza swego laboratorium.

Nie badali oni dyamentu w miejscu jego powstania, że tak powiem, w kolebce jego, w pokładzie! Mogę zużytkować ich pracę teoretyczną i połączyć ją z mojem doświadczeniem. Dobywałem dyament własną ręką z pokładu, badałem najstaranniej jego łożysko. Jeżeli ostatnie trudności usunięte być mogą, mnie się to udać powinno!

Przez całą noc ani oka nie zmrużył, odda-

jąc się rozmyślaniami nad powziętym zamiarem, który uważał za możliwy do urzeczywistnienia.

Nareszcie powziął stanowcze postanowienie. Następnego ranka oznajmił Tomaszowi, że nadal pracować w kopalni nie będzie i sprzeda ją przy pierwszej nadarzonej sposobności.

Potem zamknął się w laboratorium, aby obmyśleć plan nowej pracy.

---

## ROZDZIAŁ VIII.

### **Wielka próba.**

Pracując przez rok ostatni nad rozpuszczalnością ciał stałych w gazowe, Cypryan zauważył, iż niektóre ciała nierozpuszczalne w wodzie jak np. krzemionka i glina, rozpuszczają się jednakże w parze wodnej pod silnem ciśnieniem i przy wysokiej temperaturze.

Okoliczność ta nasunęła mu myśl, czyby nie można było otrzymać ciała gazowego, aby w niem rozpuścić węgiel i tym sposobem doprowadzić go do skryształizowania się. Kilko tygodniowe jednakże doświadczenia, prowa-

dzone przez niego, nie wydały niestety po-  
myślnego rezultatu.

Różne analogie doprowadziły Cypryana do  
przypuszczenia możności sztucznego wytwor-  
zenia dyamentu w kopii w sposób podobny,  
jak wytwarzają siarkę w solfatorach <sup>1)</sup>.

Bo widocznie w łożyska te wraz z wodą  
i pokładami alluwialnymi przenika gaz błotny,  
powstały ze związku wodoru z węglanem.  
Czyż zatem nie jest możliwem, aby utlenienie  
się wodoru w połączeniu z częściowem utle-  
nieniem węglanu powodowało skryształizowa-  
nie się tego ostatniego, czyli wytworzenie się  
dyamentu?

Chemik zabrał się do dzieła.

Z dna kopalni wydobył zapas ziemi, którą  
uważał za najwłaściwszą dla swego doświad-  
czenia, pomieszał ją z pewnym tłuszczem  
i napełnił nią stalową rurę, długości  $\frac{1}{2}$  metra,  
o 8-miu ctm. wewnętrznej średnicy. Zatkaw-  
szy tymczasowo jeden koniec rury, wlał w nią  
2 litry wody, wrzucił kilka kawałków miedzi  
a następnie napełnił ją gazem błotnym. Za-

---

<sup>1)</sup> Wiadomo, że w solfatorach siarka powstaje  
przez połowiczne utlenienie się siarkowodu i pod-  
czas gdy część tego ostatniego zamienia się w kwas  
siarczany, reszta osadza się w kryształkach na ścia-  
nach solfatorów. Kto wie, czy łożyska dyamentów nie  
są prawdziwemi karbonatorami.

nitowawszy otwory, kazał hermetycznie zalutować oba końce rury metalowymi korkami.

Aparat był gotowy i należało go teraz poddać bardzo wysokiej temperaturze. W tym celu rura umieszczoną została w glinianym piecu, w którym przez dwa tygodnie silny ogień miał być utrzymanym, aby wytworzyć możliwie najwyższą temperaturę.

Matakit, prawie już zdrowszy zupełnie, śledził z największą ciekawością przygotowania do doświadczenia, i, dowiedziawszy się, iż chodzi o wytworzenie dyamentu, pragnął gorąco przyczynić się do osiągnięcia pomyślnego rezultatu.

Jemu też poruczonym było podtrzymywanie nieustannego ognia pod piecem.

Trudno sobie wyobrazić, ile czasu zajęły przygotowania do tego doświadczenia. W dobrze urządzonej laboratorjum praca ta zajęłaby dwie godziny czasu, lecz w tej pustyni, Cyprian stracił trzy tygodnie, zanim mógł mniej więcej dokładnie wykonać swój pomysł, dzięki okoliczności, iż w Kimberley znalazł przypadkiem stare działo, z którego rurę mu sprzedano i potrzebną ilość węgla kamiennego, bo w całym mieście zapasu nie było więcej nad 3 korce. Nareszcie wszyst-

kie trudności zostały przewyciężone i, gdy po raz pierwszy rozniecono ogień, Matakít ręczył, że nie da mu zagasnąć przed czasem.

Wogóle chłopak był dumny ze swej godności palacza i bardzo poważnie pojmował swe czynności w laboratorium. Towarzysze jego wskutek tych zajęć mieli go za czarnoskóźnika i często zasięgali w chorobach jego porady.

Cypryan śmiał się, patrząc na poważną minę, z jaką Matakít plótl różne głupstwa, lecz kafrowie odchodzili zupełnie zadowoleni z rad im udzielonych. Często znów młody kafr wesołym był jak dziecko, zwłaszcza, gdy znajdował się w towarzystwie Liego. Ścisła przyjaźń połączyła te dwie istoty, tak różne pochodzeniem. Rozmawiali między sobą po francusku i uczuwali żywą wdzięczność dla inżyniera, który każdego z nich uratował od pewnej śmierci. Uwielbienie i usłużność okazywana przez nich »ojczulkowi«, bo tak go Matakít i Li nazywali, była tem przyjemniejszą dla Cypryana wobec przykrości, których w owym czasie doznawał niemało.

Pan Watkins, jak się zdawało, pragnął na seryo wydać córkę za mąż i ferma roila się od kandydatów do ręki Alicyi.

Nietylko James Hilton przybywał obecnie co wieczór, lecz cała młodzież z kopalni, któ-

rej powodzenie upoważniało do współzawodniczenia o rękę panny Watkins.

Niemiec Friedel i włoch Pantalacci należeli także do tych wybranych, uchodzili oni obydwaj za najszcześniejszych kopaczy w Wandergaart-Kopii.

Uznanie, które zwykle towarzyszy powodzeniu, nie zawiodło ich ani w kopalni, ani na fermie.

Niemiec był jeszcze bardziej pewnym siebie, posiadając w kieszeni parę tysięcy funtów szterlingów, a Annibal przeistoczył się w pierwszego eleganta w obozowisku. Mnóstwo pierścionków, łańcuszków i elegancki biały ubiór, zamiast zdobić, uwydatniały jeszcze bardziej brzydotę jego postaci.

Śmieszne były zabiegi jego w celu przypodobania się pannie Alicyi i uchodzenia wobec niej za dowcipnego. Panna Watkins, nie znając całej moralnej szpetności tej figury, traktowała go na równi z innymi, z chłodną uprzejmością, należną gościowi jej ojca.

Duma jednakże Cypryana okrutnie cierpiała, widząc Alicyę w tak marnem otoczeniu.

Uciekał też często już w połowie wieczora do pracowni, a nie będąc pewnym rezultatu swej próby, nie powiadomił o niej swej przyjaciółki.

Panna Watkins wiedziała tylko, iż, stosu-

jąc się do jej rady, zwrócił się na nowo do swych chemicznych badań i była z tego bardzo zadowolona.

---

## ROZDZIAŁ IX.

### Niespodzianka.

Nareszcie nadszedł dzień, w którym rezultat doświadczenia miał być wiadomy. Od dwóch tygodni ogień ugaszono, aby piec ochładzając się stopniowo, wwtworzył odpowiednią temperaturę do skryształizowania się węgla.

Czy jednak dane warunki były odpowiednie? Cyprian należał do ludzi, najmniej ufających własnym siłom. Serce inżyniera uderzało 120 razy na minutę, gdy przystąpiono do odbijania gliny, otaczającej piec. Glina stwardniała nakształt cegły, stawiała silny opór, nareszcie odsłonięto stalową rurę. O nieba! rura była pękniętą! prysły wszystkie marzenia o szczęściu, sławie i bogactwie! Pod silnym naciskiem pary i gazu błotnego rura, chociaż miała ściany grube na 5 ctm., pękła jak szklanka!

Tyle starań, tyle trudów — a taki rezultat!

Cypryan nieczulby się tak upokorzonym, gdyby jego aparat wytrzymał przynajmniej próbę ogniową. Że wewnętrzne cylindra nie zawiera skryształizowanego węgla, o tem obecnie już nie wątpił, ciekawość jednak chemika kazała mu zbadać to wnętrze.

W każdym razie glinika, którą wypełnił rurę, powinna była zamienić się w kamień. Przypuszczenie to było trafnem; dziwiło tylko Cypryana, że kawał skamieniałej gliny kulistego kształtu oderwał się i leżał oddzielnie od reszty, która przywarła do ścianek rury. Inżynier wydobyl z łatwością przez rysę powstałą w rurze, kulę wielkości pomarańczy czarno-czerwonawą i z ciekawością obracał ją w ręku. Przekonał się, że stanowiła rzeczywiście część gliny, którą zapelnił rurę i właśnie chciał ją rzucić w kąć pracowni, gdy zastanowił go jej dźwięk pusty, podobny do garnka. Nadto, coś w niej brzęczało jak kamyk w zamkniętym dzbanie.

Prawdziwa skarbonka, kpił Cypryan, który pod groźbą kary śmierci niemógłby wyjaśnić powstania tej kuli. Ciekawość go zdjęła, co ta skarbonka mogła zawierać i, pochwywszy młot, rozbił ją jednym uderzeniem.

W rzeczy samej była to skarbonka, zawierająca niezmierzone skarby! Nie, nie można było pomylić się co do natury kamie-



nia, który leżał przed oczami zdumionego inżyniera.

Był to niewątpliwie dyament, podobny zupełnie do znajdujących w kopalniach; lecz rozmiarów ogromnych, zapewne dotąd niewidywanych! Bo, proszę osądzić: dyament rozmiarami przewyższał kurze jaje, z pozoru podobny do kartofla, a ważył chyba 300 gramów.

— Dyament!... sztuczny dyament, — powtarzał sobie pocichu zdumiony Cypryan — wykryłem więc sposób wyrobu, pomimo wypadku z rurą.

A więc, jestem bogaty!

Alicya moja!

Po chwili ogarnęło go znowuż zwątpienie.

— Nie, to niemożliwe, to iluzya, uluda, — powtarzał nękany niepewnością.

— Trzeba się przekonać o prawdzie!

Wzburzony, uradowany bez granic, wybiegł Cypryan, jak ongi Archimedes z wanny, gdzie odkrył swój sławny system, bez kapelusza i wpadł do domku Jacobusa Wandergaarta. Zastał starego szlifierza, próbującego wartość kamienia, który mu właśnie przyniósł kupiec Natan.

— Ach, i pan tu jesteś, właśnie mi tego trzeba. Patrzcie panowie, co przyniosłem i powiedzcie, co to jest!

Położył kamień na stole i skrzyżowawszy ramiona, stanął nieruchomy. Natan, pierwszy chwycił kamień i, zbladłszy z wrażenia, podał go Wandergaartowi. Ten obejrzał na wszystkie strony, umieścił pod szkłem powiększajacem, następnie położył na stole, i rzekł spokojnie:

— Jest-to największy dyament z istniejących dotąd na świecie.

— Tak, największy — powtórzył Natan. — Cztery lub pięć razy większy od Koh-i-Noora, zwanego »Górą Światła«, dumy angielskiego skarbcza królewskiego, a ważącego 170 karatów.

— Dwa razy tak duży, jak »Wielki Mogol«, największy ze znanych do tej pory dyamentów, ważący 280 karatów, — dodał szlifierz.

— Cztery lub pięć razy tak duży, jak dyament cesarza ruskiego, który waży tylko 93 karaty — odezwał się znowu Natan.

— Siedem lub osiem razy większy od »Regenta« francuskiego, wagi 136 karatów — dopełnił Jacobus.

— 20—30 razy większy od dyamentu Drezdeńskiego, — który waży 31 karatów — wołał Natan, dodając, iż wedle jego zdania po oszlifowaniu ważyć będzie około 400 karatów, wartość jego wszakże uchyla się od

ohliczenia, któżby potrafił nań cenę oznaczyć!

— Dlaczego — zapytał Jacobus, który nie gorączkował się jak Natan. — Koh-i-Noor ceni się 30 milionów fr. »Wielki Mogoł« 12 milionów fr., dyament rosyjski 8 milionów, a »Regent« 6 milionów. Podług tych szacowań dyament tej wielkości co ten, winien być wart co najmniej 100 milionów franków.

— O, to zależy jeszcze od jego gatunku i koloru — dodał Natan z przezornością kupiecką. — Jeżeli jest czystej wody, bez koloru, to naturalnie niema dlań ceny, jeśli jednakże jest żółtawy, jak wszystkie dyamenty Griqualandu, to cena jego znacznie się zmniejszy. Doprawdy nie wiem jakie zabarwienie byłoby korzystniejszem dla takiego olbrzyma, czy niebieskie jak dyament »Hoges«, czy czerwonawe, jak »Wielkiego Mogoła«, czy szmaragdowe, jak Drezdeńskiego.

— Nie, nigdy — żywo zaprzeczył stary szlifierz. — Ja cenę dyamenty czyste najdrożej. Koh-i-Noor i Regent to prawdziwie drogie kamienie, czystej wody, bez zabarwienia, obok nich inne wyglądają jak kolorowe kamyki.

Cypryan już ich więcej nie słuchał.

— Przebaczcie panowie, muszę was poze-

gnać — rzekł i, chwyciwszy cenny kamień, pobiegł do fermy.

Nie pukając otworzył drzwi bawialnego pokoju, a spotkawszy tam Alicyę, nie zdając sobie sprawy ze swego postępowania, chwycił ją w objęcia i ucałował w oba policzki.

— Hola, cóż to takiego? — zawołał pan Watkins, grający w tym samym pokoju partycję pikietę z Annibalem Pantalaccim.

— Przepraszam pana, panie Watkins — jęknął przerażony swym czynem Cypryan — ale jestem tak szczęśliwy! Patrz pan, co przynoszę — i rzucił na stół kamień pomiędzy grających.

Tak samo, jak Natan i Wandergaart pan Watkins zaraz się domyślił, o co rzecz idzie.

— To pan znalazłeś, pan sam, w pańskim claimie? — zapytał żywo.

— Znalazłem? Nie lecz stworzyłem — odparł tryumfującym tonem Cypryan.

Tak, panie Watkins, zrobiłem go, poznaj pan potęgę chemii!

Śmiał się i ścisnął rączki Alicyi, która uradowana szczęściem przyjaciela również radośnie się uśmiechała.

— Pani, tylko pani, panno Alicyo, zawdzięczam to ważne odkrycie — mówił Cypryan dalej. — Kto mi to radził rzucić się na nowo w objęcia chemii? Kto podał myśl tworzenia

dyamentów? Tak, panie Watkins, oświadczam publicznie, że godnej uwielbienia córeczce pańskiej należy się cała zasługa tego odkrycia. Gdyby nie ona, nie byłbym o niej pomyślał.

Pan Watkins i Pantalacci oglądali milcząc olbrzymi kamień.

— Mówisz pan, panie Méré, iż go pan zrobiłeś — zapytał na nowo pan Watkins — w takim razie jest to kamień sztuczny bez wartości?

— Bez wartości! — krzyknął Cypryan — a tak, sztuczny kamień, a pomimo to ceni go kupiec Natan na 50 do 100 milionów franków.

Pomimo, iż jest to kamień sztuczny, wytworzony sposobem mnie tylko wiadomym, widzisz pan przecie, iż jest on przytem prawdziwym, nawet zwykłej powłoki mu nie brak.

— I pan byś się odważył robić więcej takich? — spytał John Watkins rozgniewany.

— A naturalnie, że się odważę, mogę je panu garściami dostarczyć, i to sto, dwieście razy większe jeszcze, jeśli pan sobie tego życzysz! Mogę panu zrobić ilość dostateczną do wybrukowania pańskiego tarasu, nawet dóg w Griqualandzie! Tylko początek jest trudny. Gdy mi się udało zrobić pierwszy

dyament, następne nie przedstawią żadnej trudności.

— Jeżeli tak jest w rzeczywistości — ciągnął fermer blady jak kreda — będzie to ruiną wszystkich właścicieli kopalń, tak mojej, jak i innych w całym Griqualandzie.

— Zapewne — odpowiedział Cypryan — któżby chciał ryc się we wnętrzu ziemi dla odszukania kilku drobnych kamyków, kiedy je można tak łatwo zrobić jak bochenek chleba.

— Ależ to haniebne, — wybuchnął fermer — to wstrętne, podłe! Jeżeli to prawda, co pan powiadasz i jeżeli tylko pan posiadasz tę tajemnicę... — zamilkł tchu pozbawiony.

— Że nie mówię bez podstawy, może przekonać pana ta pierwsza próba, leżąca na stole przed nim — przemówił chłodnym tonem Cypryan.

— A więc dobrze — odpowiedział uspokojony nieco Watkins — jeżeli to zatem prawda, mojem zdaniem powinni pana podług prawa rozstrzelać na głównej ulicy obozowiska.

— Takie i moje zdanie — pospieszył dodać Pantalacci, z groźnym giestem.

Alicya zbladła.

— Mnie rozstrzelać dlatego, iż udało mi

się rozwiązać zagadnienie, postawione przez chemików od lat 50-ciu? — zaśmiał się Cyprian. — No, uważam, iż byłoby to nie bardzo logiczne!

— Niema tu się z czego śmiać, — krzyknął wściekły z gniewu fermer. — Czyś pan pomyślał o następstwach swojego odkrycia? O zaprzestaniu robót w kopalniach, o zniszczeniu najważniejszego przemysłu w Griqualandzie, o mnie, który z tej przyczyny, doprowadzony będę do kija żebraczego!

— Przyznam się, że mi to nawet przez myśl nie przeszło — wyznał szczerze Cyprian. — To są zresztą zwykłe skutki postępu w przemyśle i nauce. Co się jednakże oświadczyć panu tyczy, to bądź spokojnym, pan wiesz, co mnie skłoniło do szukania bogactwa, a co zdobędę, to i do pana należeć będzie.

John Watkins pojął nagle, jaką korzyść mógł osiągnąć z wynalazku Cypriana i, nie troszcząc się o to, co Pantalacci o tak nagłym zwrocie pomysłu może, zmienił ton swej mowy.

— Dobrze pomyślawszy — przemówił fermer — może i masz pan słusność. Znam pana przecież jako porządnego, dzielnego młodzieńca, który, zastanowiwszy się, nie zechce unieszczęśliwić tylu ludzi. Poco pu-

blicznem odkryciem tajemnicy swej, pozba-  
wić się jej korzyści? Czy nie lepiej fabryko-  
wać dla siebie ograniczoną ilość dyamentów,  
albo nawet poprzestać na tym jednym, który  
i tam uczyni z pana największego bogacza  
w kraju. W ten sposób wilk będzie syty  
i owca cała.

Cypryan na razie nie wiedział, co ma po-  
cząć, czy wyzyskać tajemnicę swą dla wła-  
snego wzbogacenia się, czy też, wyjawivszy  
ją publicznie, jednym uderzeniem, zniszczyć  
wszystkich kopaczy Griqualandu, Brazylii  
i Indyi.

Inżynier zawahał się na chwilę, widział  
jasno, że gdy postąpi bezinteresownie, utraci  
na zawsze względy fermera, a te wszakże  
były pobudką jego poszukiwań.

Jakże przykrą była rzeczywistość wobec  
pięknych jego marzeń!

— Nie, panie Watkins — przemówił po-  
ważnym głosem — odkrycie, zrobione przez  
uczonego, nie jest jego własnością, lecz wła-  
snością ogółu, zatrzymać tak ważny wynala-  
zek dla celów osobistych, byłoby haniebnem,  
niegodnem człowieka honoru! Nie postąpię  
w ten sposób, nie, nigdy! Ani dnia jednego  
zwlekać nie będę z oddaniem mego odkrycia  
do publicznego użytku!

Mojem prawem jest tylko zrobić wyjątek



dla ojczyzny mojej, Francyi, Akademii Nauk, która mi dała środki do służenia nauce, jej pierwszej muszę zakomunikować rezultat odkrycia!

Dziękuję ci, panie Watkins, żeś mi przypomniał o obowiązku moim, na chwilę o nim zapomniałem. Adieu, panie Watkins, marzyłem pięknie, szkoda, że urzeczywistnić tego marzenia nie mogę. — I nie czekając, aż Alicya zdobędzie się na jakąkolwiek odpowiedź, zabrawszy leżący na stole dyament, pożegnał ją i Watkinsa grzecznym ukłonem i wybiegł z pokoju.

---

## ROZDZIAŁ X.

### John Watkins rozmyśla.

Ze złamanem sercem opuścił Cyprian fermę, pomimo to był zdecydowanym postąpić tak, jak mu nakazywał obowiązek. Udał się do Wandergaarta i zastał go samego w domu, Natanowi bowiem pilno było znaleźć się w obozowisku, aby tę zdumiewającą nowinę puścić między ludzi. Zdumienie było ogromne, a spotęgowało się jeszcze, gdy dowiedziano się o pochodzeniu dyamentu.

— Mój kochany Jacobusie — prosił Cypryan szlifierza — bądź pan tak dobrym i zrób facettę na tym kamieniu, chciałbym się przekonać, co się ukrywa pod jego powłoką.

— Owszem, bardzo chętnie — odrzekł stary, biorąc kamień od Cypryana — ale uzbrój się pan w cierpliwość.

Szlifierz zabrał się do roboty, a wzięwszy ze swoich zapasów kamień 5 karatowy również nieobrobiony, obsadził je w pewnego rodzaju kleszcze i począł silnie trzeć jeden o drugi.

— Łatwiej byłoby odłupać uderzeniem młota rudę go pokrywającą, ale naraziłbym kamień na pęknięcie — objaśniał Cypryana.

Dwie godziny trwała ta robota, następnie tyleż czasu użyto na polerowanie ścianki, narreszcie Jacobus drżącą ręką zbliżył kamień do okna.

Piękna facetta, czarna, nieporównanego blasku, olśniła wzrok patrzących.

Dyament był czarny!

— Jest to najpiękniejszy z cennych kamieni, które kiedykolwiek odbijały światło dzienne — zawołał stary szlifierz, — a jakże on będzie promieniał, gdy wszystkie facetty będą zrobione.

— Może się pan tem zajmiesz — proponował Cypryan.

— Zapewne, kochany synu, byłoby to moją sławą, koroną mojego długiego życia, ale może powierzysz go pan młodszemu, pewniejszemu rękom, niż moje?

— Nie, sędzę, że pan najlepiej wywiążesz się z tego zadania — zapewniał go Cypryan. — Zatrzymaj pan kamień, jestem pewny, iż stworzysz arcydzieło!

Starzec obracał kamień w dłoni, jakby zakłopotany tem, co miał uczynić.

— Jedno tylko mnie niepokoi — przemówił — czy to bezpiecznie będzie mieć w moim lichym domku taki skarb. Złych ludzi w naszej okolicy nie brak.

— Jeżeli pan się obawiasz, to nie mów nikomu o tem — rzekł Cypryan — ja również przyrzekam zachować ściśle milczenie.

Jacobus namyślał się.

— Nie, tutaj nie mogę podjąć się tej roboty, nie spałbym spokojnie ani jednej nocy. Znając jednak zaufanie pańskie do mnie, ośmielam się zrobić mu propozycję następującą. Udam się do miejsca, gdzie mnie nie znają, wynajmę sobie izdebkę i tam pracować będę w ciszy, lecz doprawdy wstydzę się przedłożyć panu taki projekt.

— Obawy pańskie uważam za zupełnie

uzasadnione, pomysł mi się wogóle podoba i proszę wykonać go, nie tracąc ani chwili czasu.

— Licz pan także na to, że robota ta potrwa co najmniej z miesiąc czasu, a o przypadek w drodze również nie trudno.

— Mniejsza oto, jeżeli pan uważasz, iż jest to najlepszy sposób, a gdyby brylant zginął, szkoda też nie wielka.

Jacobus Wandergaart spojrział zdumiony na inżyniera. Czy mu ten szczęśliwy traf czasem zmysłów nie pomieszał — pytał sam siebie.

Cypryan zrozumiał myśl starego i, uśmiechnąwszy się, opowiedział mu historię powstania dyamentu i dodał, że może ich mieć ile zapragnie.

Niewiadomo, czy szlifierza opowiadanie to przekonało zupełnie, w każdym razie postanowił w tej chwili jeszcze opuścić swój domek.

Zapakował do skórzanego worka niezbędne narzędzia, zamknął drzwi i wywiesiwszy kartkę z napisem »W podróży za interesami« schował dyament pod kamizelkę i puścił się niebawem w drogę.

Cypryan odprowadził go 2 mile i późną nocą wrócił na fermę, myśląc podczas drogi więcej o pannie Watkins niż o zrobionem odkryciu.

Nie tknąwszy kolacyi przygotowanej przez Matakita, zasiadł do biurka, aby napisać sprawozdanie do sekretarza Akademii Nauk. Sprawozdanie zawierało opis doświadczenia i udatne bardzo objaśnienie teoryi reakcyi, za pomocą której dokonana się krystalizacya węgla, dzięki czemu powstał ten pierwszy kamień.

Najdziwniejszem zjawiskiem, pisał pomiędzy innymi, jest okoliczność, iż sztuczny ten produkt jest tak podobnym do naturalnego, że nawet posiada rudę zupełnie identyczną z tą, jaką mają dyamenty znajduwane w kopalni.

Jednego tylko inżynier zrozumieć nie mógł, jakim sposobem odłączyła się część zawartości rury, aby utworzyć rodzaj łupiny, pokrywającej dyament. Ale nie tracił nadziei, że dojdzie tej tajemnicy przy dalszych doświadczeniach.

Do tej pory postanowił Cypryan czekać z wysłaniem sprawozdania, i zaadresowawszy je pozostawił na biurku. Następnie posilił się trochę i udał na spoczynek, niebawem też zasnął spokojnie.

Nie tak spokojnie przepędził noc pan Watkins. Dyament wytworzony przez inżyniera nie schodził mu z oczu. Widział w myśli cały ich szereg, wartości niezliczonej ilo-

ści milionów, ba, miliardów. Jeżeli wynalazek inżyniera psuł plany Pantalacciemu i jego towarzyszą, to o ileż większą byłaby strata Watkina. Kopalnie swoje, pozbawione wartości, mógł wprawdzie zamienić na pola uprawne, lecz komuż sprzeda plody tychże, gdy Griqualand opustoszeje po zamknięciu głównego źródła swych dochodów.

Nie, stanowczo trzeba się podzielić przynajmniej milionami inżyniera wszakże posiada na to wyborny sposób! Dam mu, lub przyrzeknę tymczasem rękę Alicyi, myślał stary egoista, ale czy Alicya znajdzie szczęście w tym związku, o to nie zatroszczył się ani na chwilę.

Rezultatem tych nocnych rozmyślań Watkina było oddanie następnego ranka wizyty swemu lokatorowi.

— No, mój młody przyjacielu — odezwał się żartobliwie — jakże się spało po tak ważnem odkryciu?

— O, bardzo dobrze, wyśmienicie! — odparł Cypryan oschle.

— Jakto, mogłeś pan spać?

— A jakże, jak zwykle!

— To dziwne, a więc miliony, które na pana przez piec ten spłynęły, nawet mu snu nie zakłóciły?

— Ani odrobiny. Nie zapominaj panie Wat-

kins, że miliony owe otrzymalibyśmy tylko w razie, gdyby dyament ten był dziełem natury, a nie tworem chemika.

— A tak... tak — potwierdził Watkins. — Czyż jednak jesteś pan tego pewnym, iż możesz ich więcej zrobić? Możesz mi pan za to ręczyć?

Cypryan zawahał się z odpowiedzią.

— Otóż widzi pan! — ciągnął dalej pan Watkins — nie ufasz pan sobie, czy i następne próby dadzą tak pomyślny rezultat! Na razie dyament posiada ogromną wartość, pocóż więc mówić każdemu, iż jest on sztucznym?

— Powtarzam panu — odpowiedział Cypryan — iż tak ważnej naukowej tajemnicy, utaić nie mogę.

— Tak... tak, już rozumiem — dodał Watkins — powrócimy jeszcze do tego przedmiotu, a tymczasem bądź pan przekonany, że mnie i moją córkę powodzenie jego bardzo cieszy. A czy niemógłbym się temu olbrzymowi raz jeszcze przyjrzeć?

— Niestety, nie posiadam go więcej — powiedział Cypryan.

— Posłałeś go pan już do Francji? — krzyknął przestraszony farmer.

— Nie, jeszcze nie, lecz dałem go Wan-

dergaartowi do oszlifowania, a nie wiem dokąd go ze sobą zabrał.

— Temu staremu głupcowi pan go dałeś!? Ależ to szaleństwo, dyament takiej ceny!

— Cóżby z nim począł? — spokojnie zauważył Cypryan — czy pan sądzisz, że na dyament tej ceny znajdzie się tak prędko amatora?

Ta uwaga nieco stropiła Watkinsa, w każdym razie zły był, że klejnot oddany w ręce Wandergaarta i że ten kazał aż miesiąc czasu czekać na jego zwrócenie.

Musiał jednak czekać, nie zaniedbał tylko przez dni następne srogo wymyślać na starego boera przed Annibalem i kupcem Nataniem.

Włoch wogóle wąpił o powrocie Wandergaarta, on i Friedel utrzymywali stanowczo, iż chytry starzec dlatego wymówił sobie miesiąc czasu, aby tem swobodniej mógł klejnot sprzedać w całości lub połupany na części dla niepoznaki.

Mylili się jednakże ci, co podawali w podejrzenie uczciwość szlifierza.

27-go dnia stanął on w izdebce Cypryana i, postawiwszy drewniane pudełko przed nim, przemówił spokojnie:

— Oto jest kamień!

Cypryan otworzył pudełko i milczał olśniony.



Na podkładce z białej bawełny, w formie 12° ściankowego romboidu leżał ogromny czarny kryształ, wydzielając snopy światła; zdawało się, że całe laboratorium oświetla swym blaskiem.

Ten sztuczny twór, atramentowo-czarny, przezroczystości niezrównanej, wywoływał wrażenie olbrzymie, oszalamiające!

Był to widok nieporównany, cud natury, który, nie licząc wcale jego wartości, więził zmysły swym blaskiem przepięknym.

— Nie jest to tylko największy lecz i najpiękniejszy klejnot na kuli ziemskiej, — przemówił z ojcowską prawie czułością stary szlifierz — waży zaś 432 karaty; możesz pan być dumnym, iż za pierwszą próbą stworzyłeś jednocześnie i arcydzieło.

Cyprian na te pochwały nic nie odpowiedział. Poczytywał się tylko za badacza, któremu się udało ciekawe doświadczenie i był zadowolony, że jemu właśnie powiodło się rozwiązać zagadnienie, nad którym mozoliło się dotąd bezskutecznie tylu pracowników chemii nieorganicznej. Lecz jakąż właściwie korzyść dla społeczeństwa z możliwości fabrykacyi sztucznych dyamentów? Nikogo ona nie wzbogaci a zrujnuje pracowników, którzy dotychczas tym przemysłem się trudnili.

Myśl ta lotem błyskawicy mignęła w mózgu inżyniera w chwili, gdy przyglądał się klejnotowi. Nie rzekłszy słowa, pochwycił pudełko i, uściskawszy serdecznie rękę Wandergaarta udał się najbliższą drogą do fermy Watkinsa.

Fermer siedział przed swym biurkiem, zaniepokojony usłyszaną wieścią o powrocie szlifierza. Alicya daremnie siła się uspokoić go.

Zaledwie Cypryan drzwi otworzył, Watkins zapytał go:

— A! no?

— A, no rzetelny Wandergaart powrócił.

— Z dyamentem?

— Mistrzowsko oszlifowanym, który jeszcze waży 432 karaty.

— Czterysta trzydzieści dwa karaty? — zaledwie wykrztusił Watkins — a przyniosłeś go pan?

— Oto jest!

Fermer porwał pudełko i, otworzywszy je, oniemiał z podziwu. Mieć w ręku klejnot takiej wartości, tak pięknej formy, rozczulało go prawie. Miał też łzy w oczach, gdy mówić począł do dyamentu, jak do żywego stworzenia.

— O ty piękny, dumny, wspaniały kamieniu!... jak cudownie wyglądasz... jakiś ty ciężki,

ile to za ciebie dzwicznych gwinei dostać można!... A jakież twoje przeznaczenie, mój ty skarbie?... Czy posłać cię do Londynu, aby cię podziwiano?... A kto tam będzie dość bogatym, aby cię mógł kupić? Królowa nawet nie może sobie na taki zbytek pozwolić!... to zjadłoby jej dochody trzyletniel!... trzeba by na to oddzielnego prawa parlamentu, nakazującego ogólną narodową subskrypcyę! No, bądź spokojnym, tak się też stanie, a wówczas odpoczniesz w Towerze, w Londynie, przy boku Koh-i-Noora, który wobec ciebie będzie wyglądał jak dziecko! Jaka też może być twoja wartość, pieścidełko ty moje?

I zaczął wyliczać.

— Dyament cesarza kupiony był za milion franków gotówki i rentę dożywotnią w ilości 96 tysięcy franków, w takim razie na ciebie najmniej wziąć należy milion funtów szterlingów i 500000 franków renty!

Nagle przerwał te obliczenia, inny bowiem szczegół zajął jego uwagę.

— Jak pan sądzisz, panie Méré, czyż właściciel tego kamienia nie powinien być podniesiony do godności para? Każda zasługa ma swego przedstawiciela w parlamencie, a chyba to zasługa nie mała posiadać taki klejnot! Spójrzj-no Alicyo, otwórz dobrze oczy, aby podziwiać taki cud!

Po raz pierwszy w życiu Alicya przyglądała się ze szczerem zajęciem dyamentowi.

— Ach, jaki piękny, lśni jak kawał węgla! Czem też jest on w istocie, ale błyszczy jak węgiel płonący! — mówiła panna Watkins, wyjmując klejnot z pudełka.

Poczem ruchem instynktownym, właściwym młodym dziewczętom, zbliżyła się do lustra, umieszczając dyament nad czołem w gęstwinie blond włosów.

— Gwiazda w złotej oprawie! — wygłosił wbrew swojemu zwyczajowi, komplement inżynier.

— Ach tak, można go nazwać gwiazdą, — ucieszyła się Alicya, klaszcząc w dłonie. — Wybornie, takie miano jest dlań zupełnie właściwe. Czyż nie jest tak czarnym, jak krajowe piękności, tak błyszczącym jak gwiazdy tego południowego nieba?

— A zatem »Gwiazda Południa« — zakończył pan Watkins, nie przywiązujący do nazwy dyamentu wielkiej wagi. — Ale bądź ostrożną córko, nie upuść go, bo pęknie jak szkło!

— Czyż jest on w istocie tak kruchym — dziwiła się Alicya i, rzucając go pogardliwie do pudełka, dodała: — A więc jesteś gwiazdą szlaną, tej wartości, co korek szklany.

— Szklany korek — mruczał pan Wat-

kins — ta dziatwa przed niczem niezna uszanowania.

— Panno Alicyo — rzekł Cypryan, — pani mnie zachęciła do tworzenia sztucznych dyamentów, pani jedynie kamień ten zawdzięcza swe istnienie. W moich oczach jest on tylko zabawką bez wartości, jeśli więc ojciec pani pozwoli, ofiaruję go jej na pamiątkę wspólnie spędzonych dni.

— Co pan mówisz? — wybąkał pan Watkins, nie mogąc utaić radości.

— Panno Alicyo — powtórzył Cypryan — dyament należy do pani, jest jej własnością, daruję go pani!

Zamiast odpowiedzi Alicya podała dłoń swą Cypryanowi, którą tenże serdecznie uściśnął.

## ROZDZIAŁ XI.

### »Gwiazda Południa«.

Wiść o powrocie Jacobusa Wandergaarta rozbiegła się po okolicy. Każdy naturalnie był ciekaw zobaczyć ten cudowny kamień. Wiadomem również było, że »Gwiazda południa« została przez inżyniera darowaną Ali-

cyi, lecz że ojciec jej uważa się za właściciela dyamentu.

Że klejnot ten był dziełem rąk ludzkich, a nie cudem natury, wiedziała zaledwie bardzo mała liczba osób, bo Cypryan niechciał rozpowszechniać tej wieści, po części z obawy przed zemstą kopaczy, a także przed czasem, zanim się nie przekona, czy doświadczenie uda mu się poraz drugi.

Ogólne zaciekawienie było tak wielkie, iż całe procesy ludności wędrowały do fermy Watkinsa, aby podziwiać sławny dyament.

Dla wygody prezentowania go, Watkins umieścił klejnot na małej kolumnie z białego marmuru, stojącej na gzemście kominka, a sam siedział w swoim fotelu naprzeciw niego, pilnując i prezentując go gościom.

James Hilton zapytał pewnego dnia Watkinsa, czy nie obawia się napadu, mając w domu klejnot tej ceny, czem tegoż tak przeraził, iż fermer nie uspokoił się, dopóki 12 konnych policyantów, wezwanych z Kapsztadu, nie przybyło celem strzeżenia fermy.

Napływ ciekawych wzmagał się z dniem każdym. Poczta i telegraf wzięły też udział w rozpowszechnieniu sławy »Gwiazdy Południa«; szczegóły o niej po przez Zanzibar i Kapsztad powędrowały aż do Europy. Rysownicy pism ilustrowanych delegowani zo-

stali celem odrysowania jej, fotografowie błagali o zaszczyt odfotografowania przepysznego dyamentu.

Fantazyja ludu również nie próżnowała. Poczęły krążyć legendy, podług których czarny ten kamień sprowadzi nieszczęście posiadaczowi.

Dla zadowolenia ogólnej ciekawości i ukrócenia niemiłych sobie prorocत्व, postanowił Watkins wydać wielki bankiet na cześć »Gwiazdy Południa«.

Tak silnym jest wpływ żołądka na ludzi, że zapowiedź o uczcie zmieniła w ciągu dnia nieprzychylne usposobienie całej ludności Wandergaart-Kopii.

Bankiet w rzeczy samej był wspaniały. »Baron royal«, olbrzymia pieczeń wołowa zajmowała środek stołu, pieczone jagnięta i wszelkiego rodzaju zwierzyna otaczały ją, w towarzystwie całych gór jarzyn i owoców.

Liczne beczki wina i piwa ustawione w koło pokoju dopełniały tej obfitej uczty.

Na kolumnie, otoczonej wieńcem jarzących się świec, poza plecami Watkina »Gwiazda Południa« rozlewała swój czarowny blask.

Dwudziestu czterech kafrów, pod wodzą Matakita usługiwało przy stole. Ucztowała cała ferma, nawet bawoły i psy, nawet strusie

panny Alicyi podchodziły do stołu, domagając się okruszyn.

Alicya siedziała obok ojca, robiąc ze zwykłą sobie gracyą honory pani domu. W duszy jej jednak ukrytym był smutek z powodu, iż Cypryan uchylił się od udziału w bankiecie, nie chcąc przebywać w towarzystwie Pantalacciego i jemu podobnych. Nie przyjął też zaproszenia stary Wandergaart.

Uczta dobiegała do końca w dość dobrym porządku, bo obecność Alicyi nakładała pęty najswawolniejszym gościom.

Annibal Pantalacci tylko niezaniebdał swoim zwyczajem dokuczać Matysowi Pretorius, straszając go, iż sztuczne ognie wybuchną z pod stołu i, że po odejściu panny Watkins, najbardziej otyły z obecnych zmuszony będzie do wypicia dwunastu flaszek dżynu, lub, że bankiet zakończy ogólna walka na rewolwery.

Uderzenie noża o szklankę dało znać, że gospodarz chce mówić.

Pan Watkins wstał, oparł dłonie na stole i ocieężałym już nieco językiem rozpoczął swą mowę.

Przebiegłszy w krótkich słowach dzieje młodości swojej i wspominając o ciężkiej pracy, jako pioniera, cieszył się, że siedzi obecnie jako zamożny fermer w gronie 80-ciu



przyjaciół w bogatym Griqualandzie. Życzył każdemu z nich, aby doszedł do również szczęśliwych rezultatów i znalazł jeszcze większy kamień od »Gwiazdy Południa«.

— To przecież możliwe w tej właśnie możliwości leży właśnie cała poezja życia kopaacza! — zakończył swą mowę, pijąc za pomyślność Griqualandu, utrzymania wysokich cen dyamentów i za szczęśliwą podróż »Gwiazdy Południa«, która miała wyruszyć przez Kapstadt do Londynu, aby tam olśniewać swym blaskiem.

Po tem zakończeniu oczy współbiesiadników zwróciły się jednomyślnie ku miejscu, gdzie jaśniał klejnot, lecz o nieba! Zdumienie odbite na twarzach obecnych było tak wyraźne, że Watkins w tej chwili odwrócił się, aby zbadać przyczynę ogólnego zdziwienia. Spojrzał na kominek i padł zemdlony!

Dyament znikł!

Rzucono się do cucenia Watkina, rozwiązano mu krawatkę, bryzgano wodą i nareszcie przywrócono do przytomności.

— Mój dyament, gdzie mój dyament? — krzyczał — kto mi go zabrał!

Biesiadnicy spoglądali po sobie przełękli, a oficer straży, również należący do grona uczujących, wydał rozkaz obsadzenia wszystkich drzwi w całym domu.

— Żądam, aby wszystkich zrewidowano — zaproponował ze zwykłą sobie otwartością Tomasz Steele.

— Tak, tak! — powtórzono jednomyślnie.

Oficer policyi dokonał drobiazgowego przeglądu ubrania obecnych. Nie doprowadziło to do żadnego rezultatu.

— No, teraz pozostali tylko usługujący kafrowie — rzekł oficer.

— Tak, tak, obszukaj pan kafrów — wołano ze wszystkich stron. — Rzecz jasna, że oni to ziobili.

Biedni kafrowie opuścili salę jeszcze przed mową Watkina, obecnie siedzieli w koło ogniska, zajadając resztki uczyty.

Kafrowie nie rozumieli o co chodzi, gdy jednak poczęto ich rewidować, pojęli, iż chodziło o jakiś dyament, który został skradzionym. I ta rewizya pozostała bez skutku.

— Złodziej miał już czas ukryć łup swój — zauważył jeden z gości.

— Zapewne — odparł oficer — jest tylko jeden środek odszukania złoczyńcy, trzeba sprowadzić wróżbiarza!

— Jeżeli pan pozwoli, jak się tem zajmę — zaproponował Matakít.

Zgodzono się na to i obecni otoczyli wróżbitę i kafrów.

Matakít przyniósł pęk trzciny, pokrajał ją

na równe kawałki, długości 12 cali, i, wręczając każdemu z kafrów jedną, pozostawił też jedną dla siebie poczem przemówił do nich.

— Oddalcie się teraz na kwadrans, a kto dopuścił się kradzieży dyamentu, tego trzcina przez ten czas urośnie na szerokość trzech palców.

Kafry rozproszyli się niemile dotknięci tą mową, wiedzieli oni, że najmniejsze podejrzenie wystarczy, aby przystąpiono bez ceremonii do natychmiastowej egzekucyi.

— Złodziej będzie się strzegł powrócić — szepnął ktoś z obecnych.

— Ba, będzie dowcipniejszy od Matakita i nie zaniedba skrócić na szerokość 3 palcy swojej trzcinki — żartował drugi.

— Może też właśnie tego oczekuje wróżbiarz, aby tem skróceniem trzciny złodziej sam się wydał.

Na dany znak zeszli się kafrowie. Makit wziął od nich trzciny i związał je w wiązkę. Były równej długości. A więc jego współbracia byli niewinni. W tem przyszła mu myśl sprawdzenia, czy też zachowały porzednią miarę 12 cali. O dziwo, wszystkie były skrócone na 3 palce szerokości!

Biedacy w ten sposób chcieli się upewnić

przeciw sile wróżby, w którą święcie wierzyli.

Ogólny wybuch śmiechu towarzyszył nieoczekiwanemu rezultatowi tej wróżby. Matakít zaś głęboko był zawstydzony, że sposób, którego używał z takim powodzeniem w swoim kraalu, tu, wobec ludzi cywilizowanych, odmówił mu swej skuteczności.

— Panie Watkins — rzekł oficer, wróciwszy do pokoju, w którym fermer w rozpacz pozostał nieruchomy — może dzień jutrzejszy będzie pomyślniejszym dla naszych poszukiwań. A może wyznaczysz pan nagrodę za odszukanie złodzieja?

— Sądzę, że złodziejem jest ten — zawołał Pantalacci — który się podjął roli sędziego nad swymi towarzyszami.

— Jak to pan rozumiesz? — zapytał oficer.

— A no, ów Matakít, biorąc na siebie rolę wróżbiarza, może chciał tym sposobem oddać podejrzenie od siebie.

W ogólnej wrzawie nie zauważono, że Matakít stał w kącie sali, a usłyszawszy rzuczone nań podejrzenie, wysunął się spiesźnie w stronę swej chaty.

— Tak — powtarzał neapolitańczyk — Matakít należał do obsługi stołu, jest to filut, a nie rozumiem dlaczego pan Méré tak go ceni.

— Matakit jest rzetelnym — wstawiła się za sługą przyjaciela panna Alicya.

— Skąd ty to możesz wiedzieć — zaprzeczył jej ojciec. — Kto wie, czy nie on wyciągnął rękę po »Gwiazdę Południa«.

— Możemy się o tem przekonać zaraz — rzekł oficer — chyba znajduje się on stąd nie daleko.

A gdyby dyament u niego znaleziono dostanie tyle razów, ile ten waży, a jeśli przy 432 uderzeniu żył jeszcze będzie, to pójdzie na szubienicę.

Panna Alicya zadrżała. Otaczający ją na wpół dzicy ludzie cieszyli się głośno z tej zapowiedzi oficera. W jaki sposób ułagodzić tę dzicz?

Niebawem pan Watkins i jego goście stanęli przed chatą Matakitą. Drzwi były nie zamknięte, Matakitą jednak nie było i szukano go daremnie noc całą.

Następnego ranka również go nie znaleziono i można było przypuścić, iż opuścił Wandergaart-Kopię.

## ROZDZIAŁ XII.

### Przygotowania do pościgu.

Gdy Cypryan dowiedział się o tem, że podejrzywano Matakita o kradzież kamienia, starał się uniewinnić swego służącego. Myślał, iż raczej posądzić należy o to przestępstwo Annibala Pantalacci, Fridela lub Natana. Przypominając sobie jednak częste kradzieże różnych drobiazgów przez Matakita dokonane i próżne usiłowania odzwyczajenia go od tego nałogu, doszedł do przekonania, że natura kafra może przewyciężyła nad siłą woli młodego chłopca.

Prawdą też było, że Matakita znajdował się w sali wtedy, gdy dyament zginął, wreszcie jego ucieczka i zabranie z domu drobnych ruchomości, jak worka z ubraniami i narzędziami, mogły tylko świadczyć na jego niekorzyść.

Nadzieja inżyniera, że Matakita może wrócić jeszcze, nie sprawdzila się i w południe udał się na fermę Watkina. Został tam, oprócz Watkina, Jamesa Hilton i Friedla, naradzających się nad sposobem odzyskania dyamentu.

Z nadejściem Cypryana weszła również do pokoju Alicya.

— Musimy ścigać tego podłego Matakita — wołał Watkins — a jeśli przy nim klejnotu nie znajdziemy, każę mu brzuch rozplatać, bo może go połknął.

— Ależ panie Watkins, nie unosi się pan tak — starał się go uspokoić Cypryan — aby połknąć kamień tak duży, musiałby mieć żołądek strusia!

— Pomiedzy żołądkiem kafra a strusim niema wielkiej różnicy. Wogóle dziwię się jak pan możesz żartować w tak ważnej chwili!

— Nie żartuję, ale wyznaję, że mnie więcej martwi postępowanie Matakita niż strata kamienia.

Wszyscy obecni spojrzeli na Cypryana jak na waryata.

— A tak — kończył Cypryan spokojnie — niezapominajcie panowie, że gdy zrobiłem jeden kamień, mogę tę szkodę naprawić i zrobić drugi.

— Panie inżynierze — rzekł Annibal Pantalacci groźnym tonem — radzę panu nie powtarzać swych doświadczeń, zarówno dla dobra Griqualandu, jak i dla własnego.

— Mój panie — odparł Cypryan — nie

mam zamiar pytać pana o radę i pozwolenie!

— Ach, dajcież pokój sprzeczkom, nie pora na to — zawołał pan Watkins.

Przyznaj się, panie Méré, że nie możesz ręczyć, że uda ci się zrobić dyament tej samej wielkości, koloru i kształtu, przypuściwszy nawet, że szczęśliwym trafem i drugie doświadczenie będzie udatnem.

Słowa pana Watkinsa były dość rozsądne. Bezwątpienia doświadczenie oparte było na zasadach nowoczesnej chemii, ale zachodziło pytanie, o ile traf nie przyczynił się do tak pomysłnego rozwiązania. Absolutnej pewności co do powtórnego udania się próby — mieć nie mógł.

W tych warunkach odszukanie złodzieja stawało się sprawą nagłą.

— Nie odkryto żadnych śladów zbiega? — zapytał Watkins.

— Żadnych — odparł Cypryan.

— Czy obszukano okolicę, obozowisko?

— Z największą ścisłością — zapewnił Friedel. — Złodziej prawdopodobnie już w nocy uciekł, a dokąd, tego stanowczo orzec nie można.

— Czy oficer policyi przeszukał jego chatę? — pytał dalej fermer.

— Tak, ale żadnego śladu nie znalazł.



— Ach — zawołał Watkins — dałbym 500, nawet 1000 funtów szterlingów, gdyby go schwytano!

— Rozumiem to, — rzekł Pantalacci — lecz wątpię, czy kiedykolwiek zobaczysz diament, albo tego, co go skradł!

— A to dlaczego?

— Bo Matakiti nie będzie tak głupi, aby się w drodze zatrzymywał. Skieruje się on zapewne przez Limpopo, w pustynię, do Zambezi albo do jeziora Tanganyka, a może do Buszmanów się zapędzi!

Czy podstępny włoch mówił to, co myślał, czy też chciał innych zniechęcić do ścigania Matakita, aby samemu podjąć tę wyprawę?

Myśl ta nasunęła się Cypryanowi, gdy przysłuchiwał się mowie Pantalacciego.

Fermer nie należał jednak do ludzi, których można prędko zniechęcić.

Zniecierpliwiony spoglądał przez okno na zielone brzegi Vaal, jakby się spodziewał ujrzeć zbiega na jego wybrzeżu.

— Nie — zawołał — tak łatwo nie dam za wygraną! Muszę odzyskać klejnot! Muszę też tego łotra zdybać! Ach, gdyby mnie tylko ta podagra nie męczyła, — dopiąłbym celu w krótkim czasie.

— Kochany ojcie, uspokój się — zawołała Alicya.

— No, któż staje na ochotnika? — pytał Watkins, oglądając się wokoło. — Kto ma chęć puścić się w pogoń za kafrem? Nagroda będzie warta trudu, moje słowo na to!

Nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, mówił dalej:

— Moi panowie, jest was tu czterech, starających się o rękę mojej córki; a więc, kto dostawi złodzieja z dyamentem, słowo honoru na to, córkę mu oddam!

— Zgoda! — zawołał James Hilton.

— Należę do wyprawy, — zapewnił Friedel. — Ktoby niechciał zdobyć takiej nagrody! — ze złośliwym uśmiechem dodał Pantalacci.

Alicya zadrżała z oburzenia i wstydu na słowa ojca, i ledwie zdołała powstrzymać się od płaczu.

— Panno Watkins — mówił cicho Cypryan do niej — przyjąłbym chętnie udział w wyprawie, ale czy upoważniasz mnie pani do tego?

— Upoważniam pana wraz z najserdeczniejszym życzeniem powodzenia, panie Cypryane — odpowiedziała z żywością.

— W takim razie pójdę choćby na koniec świata! — zawołał Cypryan, zwróciwszy się do pana Watkina.

— No, czeka nas trud nie mały — zauważył Pantalacci — ten Matakít każe nam dobrze biegać. On zapewne jutro już dosięgnie Potchstrom i okolicznych gór, zanim my chaty opuścimy.

— Kto wam przeszkadza dziś puścić się w drogę? — zauważył Cypryan.

— Panu nikt, jeśli mu tak pilno.

— Co się mnie tyczy, nie myślę wyruszyć bez prowiantu, dobrego wozu, tuzina bawołów i dwóch koni pod wierzch. A to wszystko znajdziemy dopiero w Potchstromie.

Czy Annibal mówił seryo, czy też chciał się odłączyć od innych, było to pytanie, na które trudno odpowiedzieć.

Ale miał też odrobinę słuszności; bez środków lokomocyi i zapasu żywności, byłoby nierozsądnie zapuszczać się na północną stronę Griqualandu.

Koszt wozu i bawołów wynosił conajmniej od ośmiu do dziesięciu tysięcy franków; wiedział o tem Cypryan, a posiadał wszystkiego zaledwie cztery tysiące.

— Mam myśl! — zawołał nagle Tomasz Steele — czemu nie mamy wyprawy tej odbyć wspólnie; koszt się znacznie zmniejszy, a cel będzie tak samo dla każdego dostępny.

— Wydaje mi się to słusznem — zauważył Friedel.

— I ja się zgadzam na ten projekt — nie wahając się rzekł Cyprian.

— Dobrze — rzekł ostatni Pantalacci — ale pod warunkiem, że możemy się rozłączyć, w razie, gdyby kto sobie życzył ścigać zbiega na własną rękę.

— Zgoda i na to — odpowiedział Hilton. — Kupujemy na wspólny koszt wóz, bawoły i żywność, a każdy może się odłączyć, jeżeli przyjdzie stanowcza chwila.

— Zgadzamy się zatem — potwierdzili Cyprian, Friedel i Pantalacci.

— Kiedy panowie wyruszacie? — pytał Watkins, któremu wyprawa ta dawała nadzieję odzyskania dokumentu.

— Jutro omnibusem do Potchstromu — odpowiedział Friedel — innego sposobu dostania się tam niema.

— Przystajemy!

W trakcie tej rozmowy Alicya odciągnęła na stronę Cypriana i zapytała go, czy sądzi na prawdę, iż Matakitt jest winnym?

— Panno Alicyo — odpowiedział inżynier — muszę przyznać, iż wszystko przemawia przeciwko niemu, zdaje mi się jednak, że i włos w tej sprawie odgrywa pewną rolę. Cóż to za mina wisielca! I takiego człowieka mieć

za współzawodnika! Ale cóż robić, dobrze, że będzie go można trochę nadzorować, gorzej byłoby, gdyby działał na własną rękę.

Czwórka starających się wkrótce pożegnała pana Watkinsa i jego córkę. Pożegnanie było krótkie i serdeczne. Pozorna zgoda łączyła tych rywali, którzy razem wyruszyć mieli, a w duszy jeden drugiego odsyłał do czarta.

Wróciwszy do domu zastał Cypryan na progu siedzących Bardika i Liego.

Bardik od czasu przyjęcia służby okazywał wielką przychylność dla swego pana.

Gdy im Cypryan powiedział o swoim postanowieniu, Bardik i Li odezwali się jednocześnie:

— Zabierz nas ojczulku, prosimy cię o to bardzo!

— Was zabrać, po co?

— Aby ci kawę gotować i obiad przyrządzać — odpowiedział Bardik.

— Utrzymywać bieliznę w porządku — odezwał się Li.

— I aby cię strzedz od złoczyńców — zakończyli razem.

— Dobrze, zabieram was, kiedy sobie tego życzyacie — rzekł rozczulony ich przywiązaniem Cypryan.

Następnego ranka udał się Cypryan wraz

ze swoimi sługami do obozowiska w Wandergaart, aby zająć miejsce w omnibusie idącym do Potchstromu.

Mijając fermę Watkinsa, uspioną o tej porze, zdawało mu się, że z poza firanek jednego okna ujrzał postać dziewczęcia, szlącego mu ostatnie pożegnanie.

### ROZDZIAŁ XIII.

#### Poprzez Transwaal.

W Potchstromie dowiedzieli się nasi podróżni, że młody kafr, którego rysopis zgadzał się zupełnie z Matakitem, przeszedł wczoraj przez miasto.

Wiadomość tę uważali za dobrą wróżbę, cel jednak podróży usuwał się w dal, bo powiadomiono ich jednocześnie, że Matakit kupił sobie dwukołową biedkę, ciągnioną przez strusia, a jak wiadomo im było, jest to najszybszy i najwytrwalszy zaprząg w Griqualandzie.

Tresowanie strusi, jako zwierząt pociągowych, jest dość trudnem i drugiego takiego zaprzęgu w Potchstrom na razie dostać nie było można.

Wobec tak pomyślnych warunków ucieczki Matakita, należało nie tracić chwili czasu i niezwłocznie udać się w pogoń.

Można też było liczyć, że siła strusia się wyczerpie i Matakita będzie zmuszony częściej popasać, a wówczas przestrzeń, leżąca pomiędzy nim a czterema rywalami, zmniejszy się. Ostatecznie liczone na ujęcie go u kresu jego podróży.

Cypryan wkrótce przekonał się, iż dobrze zrobił, zabierając z sobą Liego i Bardika. Okazało się, że znajomość rachunków integralnych i różniczkowych bardzo mało może się przydać w podróży przez stepy, a żadna książkowa nauka nie zastąpi doświadczenia takiego dziecka stepu, jakim był Bardik.

James Hilton zajął się kupnem wozu, bawołów i prowiantu dla wszystkich, każdy z nich oprócz tego zakupił rzeczy dla własnego użytku.

Cypryan na targu dobierał wierzchowca i gotów już był płacić za trzyletniego ońia, którego żywość mu się podobała, gdy go Bardik pociągnął za rękaw, pytając po cichu:

— Tego konia chcesz kupić, ojczulku?

— A tak, jest on najładniejszy i najtańszy, którego widziałem na targu.

— Nie bierz go, ojczulku, ten koń nie wy-

trzyma ośmiu dni podróży przez step, bo on »nie solony«.

— Co? »nie solony«, czy chcesz abym na-  
był wędzonego konia?

— Nie, ojczulku, »nie solony«, to znaczy,  
że nie przeszedł choroby stepu.

— Ach tak, a jakaż to choroba?

— Jest to kaszel w połączeniu z gorączką.  
Koń, który raz przebył tę chorobę, już jej  
nie dostanie i łatwo go poznać można. Ta-  
kiego trzeba nam kupić.

Cypryan zastosował się do tej rady i z po-  
mocą miejscowego weterynarza kupił siwka,  
nie bardzo pokaźnego, lecz pełnego zalet, jak  
go zapewniano. Że był »solony«, łatwo było  
poznać po sterczących żebrach i wypełzłym  
ogonie. Na imię mu było Templar.

Bardik był zadowolonym z tego nabytku.  
On i Li mieli powozić bawołami, Cypryan  
zatem nie był zmuszony do kupna dla nich  
koni; bardzo temu był rad, bo pieniędzy już  
niewiele mu zostało.

Wybór broni też był ważny. Cypryan ku-  
pił sztuciec Martini Henry i karabin systemu  
Remingtona, używane, lecz dobrze bijące.  
Zdziwiony był bardzo, gdy Li zwrócił jego  
uwagę, iż, oprócz prochu i kul, nieźle jest  
mieć także zapas eksplodujących kul. Dwie-  
ście sztuk nieuważał za wiele na podróż po-



dobną, gdzie nieraz trzeba się będzie potykać z dzikimi zwierzętami. Należało więc kupić dwa rewolwery do tychże kul, dobry nóż myśliwski, który przeszło pięć lat oczekiwał na amatora, leżąc na wystawie kupca broni w Potchstrom.

Li zapewnił Cypryana, że właśnie ten nóż będzie najużyteczniejszym w podróży i czystość, z jaką utrzymywał szeroką a krótką klingę jego, dowodziła, iż znał się na białej broni tak, jak prawie wszyscy chińczycy.

Zabrał też Li swój sławny kuferek czerwony. Oprócz masy drobnych pudełek z różną zawartością, przechowywał on tam 60 metrów cienkiego lecz mocnego sznura.

W przeciągu kilku godzin wszystkie sprawunki zostały załatwione.

Nieprzemakalne pledy, wełniane dery, statki kuchenne, suty zapas żywności w dobrze zamkniętych puszkach, jarzma, łańcuchy i uprząż na zmianę i t. d. wypełniały tylną część wozu, a przednia napełniona słomą miała służyć za miejsce spoczynku dla Cypryana i towarzyszy.

Hilton dumnym był ze swej znajomości zwyczajów życia stepowego i opowiadał o jego szczegółach, co znów gniewało Pantalacciego.

— Po cóż zaznajamiasz pan francuza z temi

szczegółami? — pytał się na stronie Hiltona — czy panu tak bardzo zależy na tem, aby on zdobył nagrodę? Jabym go tam nie uczył!

Hilton spojrział ze zdziwieniem na neapolitańczyka.

— A, masz pan słusność, mnieby to nigdy na myśl nie przyszło!

Cypryan znowuż pouczał Friedla o tem, co się dowiedział o koniach i kraju, ale ten puścił mimo uszu uwagi jego; był bowiem wówczas zajęty wyrobem wędek i utrzymywał, że trzeba mieć odmianę w pożywieniu, wrazie, gdy im zwierzyna się sprzykrzy.

Po ukończeniu przygotowań puszczono się niezwłocznie w drogę — 12 czerwonych i czarnych bawołów ciągnęło duży wóz, a Bardik z wysokiego kozła z rozkoszą kierował niemi, dopomagając sobie długim biczem. Za wozem postępowali w szeregu konno czterej jeźdźcy, czasem tylko oddalając się dla upolowania kuropatw.

W tym porządku przez długi szereg dni postępowala mała karawana.

Po krótkim namyśle postanowiono obrać drogę w kierunku Limpopo.

Kraj Transwaalu, przez który szła droga zajmuje 30 milionów hektarów obszaru, pomiędzy Waal i Limpopo, na zachód sięga

Drakenbergu, angielskiej kolonii Natal, kraju Zulusów i posiadłości portugalskich.

Ludność stanowią wyłącznie boerowie, dawni mieszkańcy Przylądka Dobrej Nadziei, którzy tu się osiedlili przed 20 laty i obecnie liczba ich dochodzi do 100000. Jest to zakątek najpiękniejszy w Afryce, żyzny i zdrowy; aminy złota, niedawno odkryte przyczyniły się do wzbudzenia chęci przywłaszczenia sobie tego kraju przez chciwych anglików, co też uskutecznił w roku 1877. Ciągłe jednak powstania boerów i ich zacięta walka o niepodległość, czynią panowanie Anglii w tym kraju niepewnym.

Pod względem geograficznym kraj ten dzieli się na trzy części: Hooge-Veld, Banken-Veld i Bush-Veld.

Hooge-Veld, górzysty, leży na południu, tu znajdują się miny złota, klimat ma suchy i zimny; Banken-Veld jest krajem rolniczym. Piękny klimat, liczne rzeki, doliny ocienione drzewami, o zawsze zielonych liściach; mieszka tu najlichniesz kolonia wychodźców holenderskich. Bush-Veld, równina, ciągnąca się na północ aż do brzegów Limpopo, na zachodzie graniczy z krajem kafrów. Moc tu niesłychana różnej zwierzyny i tam też wybierają się myśliwi amatorowie i zawodowi.

Z Potchstromu, leżącego w Banken-Veld,

podróżni nasi udali się w poprzek równiny, aby dotrzeć do brzegu Limpopo.

Pierwsza ta część podróży była najłatwiejszą do przebycia; kraj dość ucywilizowany, a polowanie dostarczało obficie żywności; dzikie kaczki i kuropatwy znajdowano na każdym kroku. Nocowano zaś zwykle w fermach, których właściciele, odcięci od świata, radzi byli niezmiernie trafiającym się podróżnym.

Gościnni, uprzejmi i bezinteresowni, okazali się wszędzie boerowie. Podług zwyczajów tu przjętych, ofiarowano im zwykle zapłatę za nocleg, lecz stale jej odmawiali, przyjmując za ledwie jaki podarunek, w postaci bicia, prochu i t. p. a za to, zaopatrywali jeszcze podróżnych na dalszą drogę w mąkę, pomarańcze i konfitury z brzoskwiń.

Poczcivi ci ludzie żyją na swych obszernych równinach z patryarchalną prostotą. Liczne stada żywią ich bez wielkich zachodów, żyzne grunta, które uprawiają przy pomocy kafrów i hotentotów, dostarczają im przy niewielkim wysiłku stęty zboża i jarzyn.

Domy są z gliny, pokryte słomianym dachem, umeblowanie stanowią proste drewniane stoły i stolki. Dorośli śpią na łóżkach, dzieci

zaś na posłaniu ze skór owczych. Jednakże i sztuka tu znalazła swój kącik; boerowie są bardzo muzykalni, każdy z nich gra na flecie lub skrzypcach. Jeszcze z większym zapalem oddają się tańcom. Niema dla nich przeszkód, ani zmęczenia, gdy chodzi o tę ulubioną zabawę, tak, że schodzą się z obrębu 20 mil na zabawy taneczne. Dziewczęta są bardzo surowych obyczajów, noszą zręczny strój holenderskich chłopek, i są bardzo urodziwe. Wcześnie wychodzą zamaż, otrzymując w posagu tuzin wołów lub kóz, wóz i t. p. skarby. Do męża należy zbudowanie domu i wykarczowanie kilku mórg ziemi i w ten sposób nowe gospodarstwo już zaprowadzone.

Boerowie żyją bardzo długo i nigdzie w świecie nie spotyka się tylu starców 100 letnich, jak tutaj. Dziwną i niewyjaśnioną dotąd okolicznością jest niezwykłych rozmiarów otyłość, jaką się tu w późniejszym wieku odznaczają wszyscy, holendrzy, francuzi i niemcy.

Podróż szła bardzo pomyślnie, po dobrym śladzie, bo na fermach uwiadomiono ich, że Matakít, ciągniony przez swego strusia, przejeżdżał przed paru dniami.

Dosięgnąć go zatem wydało się naszym podróżnym tylko kwestyą czasu i nie tro-

szcząc się wiele o to, oddawali się każdy swemu ulubionemu zajęciu.

Inżynier zbierał próbki kamieni, Friedel botanizował i pysznił się, że pozna własność każdej rośliny z jej zewnętrznego wyglądu.

Pantalacci kpił i stroił żarty kosztem Bardika i Liego. Hilton podjął się zaopatrywania kuchni w zwierzyinę i każdego dnia przynosił tuziny kuropatw, przepiórek lub nawet antylopy.

Z etapu na etap dojechano tym sposobem do Bush-Veld. Fermy spotykano już rzadziej i widok całego kraju stawał się coraz dzikszym.

Kraniec Bush-Veld nazywa się też Lion-Veld, od dużej ilości spotykanych tam lwów. Nie widząc ich jednak przez pierwsze cztery dni podróży, Cypryan kpił z tej nazwy.

— Nazwa ta stała się już tradycyjną, lwy cofnęły się zapewne do pustyni — zauważył pewnego dnia, rozmawiając z Hiltonem.

— Sądzisz pan, iż niema tu już lwów? — odpowiedział tenże — to tylko dowodzi, iż nie umiesz ich pan rozpoznać.

— Co za myśl! Lwa na środku równiny nie rozpoznać — roześmiał się Cypryan.

— No, zakładam się o 10 funtów — rzekł Hilton — że przed upływem godziny pokażę panu jednego, którego pan nie zauważy.

— Nie zakładam się z zasady, ale ucieszy mnie możliwość zrobienia tej ciekawej obserwacji.

Jechano dalej, zapomniawszy o tej rozmowie, gdy po upływie 20 minut, Hilton nagle zawołał:

— Moi panowie, zwróćcie uwagę na to duże mrowisko, które się wznosi tam na prawo.

— Toś się pan wybrał! — kpił Friedel — toż od trzech dni spotykamy je na każdym kroku!

W samej rzeczy Bush-Veld usiany jest mrowiskami, budowanymi z żółtej gliny, zaludnionymi przez olbrzymie kolonie dużych mrówek. Jest to prawie jedyne urozmaicenie tej nagiej płaszczyny.

Hilton śmiał się po cichu.

— Panie Méré, popędź pan konia i przyjrzyj się zblizka temu mrowisku, zobaczysz coś ciekawego, ręczę za to! Tylko nie zbliżaj się zbyt, bo może być źle!

Cypryan dał koniowi ostrogę i popędził do mrowiska, wskazanego przez Hiltona.

— Tam gnieździ się rodzina lwów — rzekł ten ostatni po oddaleniu się Cypryana. — Stawiam 10 przeciw 1, że ten żółty pagórek nie jest mrowiskiem.

— Per Bacco! a toś go pan urządził —

śmiał się neapolitańczyk — francuz zje dobrego stracha.

Włoch się mylił, Cypryan nie był tchórzem.

Dwieście kroków przed wskazanym celem już rozpoznał jakie to straszne mrowisko. Był to bowiem olbrzymi lew, lwica i 3 małe lwiątko, leżące na ziemi i śpiące spokojnie na słońcu, jak zwykle koty.

Huk kopyt Templara obudził lwa. Podniósł głowę, ziewnął i ukazał przytem dwa rzędy straszliwych zębów i gardziel, w którym 10 letnie dziecko wygodnie mogłoby się pomieścić. Na szczęście, zwierzę prawdopodobnie nie było głodne, bo pozostało nieruchome, patrząc obojętnie na jeźdźca, który się doń zbliżył na dwieście kroków.

Cypryan położył rękę na cynglu karabina i czekał 3 minuty, co jego ekscelencya lew postanowi. Przekonawszy się, iż tenże nie miał złych zamiarów, inżynier postanowił nie naruszać spokoju tej szanownej rodziny i skierowawszy konia, wrócił galopem do towarzyszy.

Ci, pomimo woli podziwiać musieli odwagę i zimną krew francuza, przyjęli go też z głośnymi okrzykami uznania.

— Byłbym przegrał zakład, panie Hilton — powiedział Cypryan.



Tegoż wieczora dotarli do brzegu Limpopo i rozłożono się tam obozem.

Pomimo przestrogi Hiltona, Friedel uparł się nałowić miskę ryb na wieczerzę.

— Nie czyn tego, towarzyszu, zapewniam cię, iż w Bush-Veld nie zdrowo przebywać nad brzegiem rzeki, ani też...

— Ba, ba, już nieraz widziałem takich śmiałków — przerwał mu niemiec z uporem właściwym tej rasie.

— Oho, a cóż w tem może być złego — rzekł Pantalacci — czy polując na dzikie kaczki, nie stałem godzinami w wodzie?

— To nie to samo — odpowiedział Hilton.

— Ach, to wszystko jedno — utrzymywał neapolitańczyk — mój kochany Hiltonie lepiej byś się zajął przyniesieniem puszki z serem do mego makaronu, jak odmawianiem towarzysza od łowienia ryb; będzie to miłą odmianą w naszym pożywieniu.

Bez namysłu poszedł Friedel na połów i wrócił dopiero do obozu wieczorem.

Uparty rybak jadł wieczerzę z dobrym apetytem, lecz w nocy napadły go silne dreszcze. Nad ranem, gdy szykowano się do dalszej drogi, miał tak silną gorączkę, iż nie mógł dosiąść konia. Kazał się położyć na słomie, wyścielającej wewnątrz wozu i prosił, aby podróży nie przerywano.

Zastosowano się do jego życzenia. W południe bredził i był zupełnie nieprzytomny. O 3-ej po południu zakończył życie.

Zmarł na malaryę.

Wobec tego nagłego zgonu, Cypryan nie mógł się opędzić myśli, iż Pantalacci przyczynił się do tego swemi radami.

— A widzicie, iż miałem słuszość, utrzymując, że niezdrowo jest nad wieczorem łowić ryby — rzekł z filozoficznym spokojem Hilton.

Zrobiono krótki przystanek, aby pochować towarzysza.

Był to wprawdzie rywał, nieprzyjaciel prawie, lecz Cypryan dziwnie był wzruszony tym pogrzebem wśród pustyni. Myślał sobie, że gdyby jego przypadek podobny trafił, to pochowają go też pośród tych piasków i ani lży rodziny, ani żał przyjaciela, towarzyszyć mu nie będą na tej ostatniej drodze.

Następnego dnia koń biednego Friedla, który szedł uwiązany za wozem, dostał również malaryi i zakończył dni swoje; nie długo więc biedne zwierzę przeżyło swego pana.

---

## ROZDZIAŁ XIV.

### Na północ od Limpopo.

Przez trzy dni daremnie nasi podróżni szukali brodu do przeprawienia się przez rzekę. Włóczący się kafrowie, podjęli się ich przeprowadzić.

Kafrowie w tej stronie są to biedacy, których panująca tu rasa Betchuanów zmusza do niewolniczej pracy bez jakiegokolwiek wynagrodzenia; w dodatku obchodzą się z nimi srogo i zakazują pod karą śmierci jadać mięso. Jeżeli Macalacca (tak ich nazywają) spotka zwierzynę, wolno mu ją zabić, pod warunkiem, że przyniesie ją swemu panu, który mu zato ofiaruje wnętrzności, tak jak europejski strzelec swemu psu.

Macalacca nie posiada zatem żadnej własności, ani chaty, ani nawet butelki zrobionej z dyni. Chodzi po świecie bez ubrania, okręcony w pasie kiszkami bawolemi, które zawierają zapas wody i mają wygląd kiełbasy.

Dzięki sprytowi kupieckiemu, Bardik prędko dowiedział się, że Macalacca, pomimo swego ubóstwa, posiadają zapas strusich piór, zapro-

ponował im więc kupno. Zgodzili się natychmiast, obiecując przynieść wieczorem.

— A masz ty pieniądze? — zapytał się Cypryan Bardika.

Bardik uśmiechnął się i pokazał garść guzików miedzianych, które uzbierał podczas swego pobytu w kopalni.

— Ależ to nie pieniądze, jakże ty możesz tak oszukiwać biedaków! — gniewał się nań inżynier.

Bardik niemógł zrozumieć dlaczego zamiary jego są nieuczciwe.

— Jeżeli Macalacca wezmą moje guziki wzamian za pióra, to cóż w tem złego? Przecież pióra nic ich niekosztują, bo je znaleźli, nawet niewolno im ich posiadać. A guzik jest użyteczniejszym od pióra. Czemuż taka zamiana ma być wzbronioną?

Rozumowanie to było dość dziwnem, Cypryan jednak przekonawszy się, że na wpół dziki służący nie rozumie niemoralności swoich zamiarów, zostawił go w spokoju.

Wieczorem, przy blasku pochodni interes został ubitym. Macalacca z obawy, aby ich nie oszukano, przynieśli kosze z kukurydzą i, zagłębiwszy je w ziemię, podpalili, co oświetlało cały obóz. Następnie wyjęli z ukrycia strusie pióra i zaczęli oglądać guziki Bardika.

Targ był długi i głośny. Dzicy podnieśli wrzawę i twarze im się zaogniły ze wzruszenia. Wtem wrzawa ucichła. Wysoki negr, udrapowany w czerwony płaszcz z bawełnianej materyi, (zwykła oznaka naczelników pokolenia), wyszedł z gąszczu prosto do targujących się.

Silnemi uderzeniami kija okładał złapanych na gorącym uczynku Macalacca.

— Lopepe!... Lopepe! — krzyczeli biedni dzicy, pierzchając jak stado szczurów na wszystkie strony.

Oddział wojaków, wyszedłszy z zasadzki, zastąpił im drogę.

Lopepe kazał sobie natychmiast wręczyć guziki i, obejrzawszy je przy świetle, włożył do skórzanej torby, którą był opasany. Potem zbliżył się do Bardika, odebrał trzymane w ręku pióra i schował je również.

Biali widzowie zachowali się spokojnie i nie wiedzieli jak postąpić, gdy sytuację rozwiązał Lopepe, zbliżając się do nich i prawiąc im długą przemowę, z której ani słowa nie rozumieli.

Tylko Hilton, który rozumiał parę słów z mowy Betchuanów, pojął jej sens. Naczelnik skarżył się, że pozwolili Bardikowi handlować z jego poddanymi. Towary zabrane

uważał za kontrabandę i pytał, co ma z nimi zrobić.

Pantalacci chciał mu je zostawić, ale Hilton i Cypryan obawiali się, że gdy odrazu okażą taką zgodność, naczelnik posądzi ich o obawę i stanie się wymagającym. Oświadczyli więc, że guziki może zatrzymać, a pióra ma oddać.

Lopepe wahał się, lecz błyszczące w ciemności lufy fuzyi i rewolwerów zaimponowały mu i radziły ustąpić. Oddał więc pióra. Odtąd inteligentny ten dziki naczelnik okazał się bardzo przyjacielskim, usiadł przy ognisku, wyjął tabakierkę i poczęstował tabaką europejczyków a także Lięgo i Bardika. Szklanka wódki, którą go poczęstował neapolitańczyk wprawiła go w doskonały humor i, gdy po godzinie milczącego siedzenia, żegnał się, zaprosił wszystkich do odwiedzenia go w jego kraalu.

Po jego odejściu udano się na spoczynek, tylko Cypryan owinięty kocem wpatrywał się w gwiaździste niebo. Inżynier myślał o swojej rodzinie, która nie przeczuwała jakie przygody zapędziły go w pustynie afrykańskie. Myślał też o Alicyi, spoglądającej może również w tej chwili na gwiazdy.

Dumał tak słodko, a cisza zupełna na równinie dodawała poezyi jego marzeniom.

Wtem doleciały go dziwne stąpania i niepokój zamkniętych w ogrodzeniu bawołów.

Nie namyślając się długo, pochwycił leżący obok bat i udał się do legowiska zwierząt.

Nie mylił się, obce jakieś zwierzę zbudziło ze snu bawoły. Na wpół jeszcze senny ciał Cypryan bez namysłu batem przez łeb przybłądę. Strasznym rykiem odpowiedziano na tę obelgę. Był to bowiem lew, a Cypryan uderzył go, jakby zwykłego królika.

Zaledwie zdążył inżynier wyjąć rewolwer, który nosił za pasem i odskoczył w bok, gdy zwierzę nań się rzuciło. Silne pazury szarpały go za ramię i powalił się wraz z lwem na piasek. Rozległ się strzał; król pustyni w konwulsyjnych drganiach tarzał się czas jakiś, aż nareszcie wyciągnął się nieruchomy. Cypryan, nie tracąc zimnej krwi, drugą swobodną ręką przyłożył rewolwer do samego ucha lwa i wystrzałem strzaskał mu łeb.

Rozbudzeni hałasem, nadbiegli towarzysze Cypryana i uwolnili go z leżącego na nim zwierzęcia. Rany jego były nieznaczne. Li mu je obandażował płótnem zwilżonem wódką. Zaniesiono go na wóz i Bardik stanął na straży, na resztę nocy. Zaledwie świtało, gdy rozległ się głos Hiltona, wołający ratunku. Nowe jakieś nieszczęście!

Hilton leżał zupełnie ubrany na wozie i urywanym od przerażenia głosem mówił, nie czyniąc najmniejszego poruszenia.

— Wąż owinał się o moje prawe kolano, pod spodniami, na litość Boską, nie mówcie głośno, bo mnie zgubicie, postarajcie się coś zrobić, aby mnie uratować.

Oczy jego od strachu rozszerzyły się, a twarz śmiertelna okryła bladość.

W okóło prawego kolana rzeczywiście zauważyć było można lekkie wzdęcie ubrania. Położenie było groźne.

Hilton utrzymywał, że przy pierwszym poruszeniu, wąż może go ugryść.

W tem zamieszaniu i ogólnem przerażeniu, Bardik podjął się oswobodzić Hiltona od napastnika. Zaopatrzył się niebawem w nóż myśliwski swego pana, zbliżył się cicho do Hiltona i oczami badał przez kilka sekund położenie gada. Oczywiście szukał położenia głowy węża. Nagle wyprostował się i silnem uderzeniem zanurzył ostrą stal w kolano Hiltona.

— Możesz pan gada strząsnąć, już nie żyje — rzekł Bardik, pokazując w uśmiechu swe białe zęby.

Hilton usłuchał machinalnie i potrząsł nogą, wąż spadł u stóp jego.

Była to czarna żmija, zaledwie pół cala



szeroka, lecz której najmniejsze ukłócie byłoby śmiertelne. Młody kafr z nadzwyczajną zręcznością pozbawił ją głowy.

Ubranie Hiltona przebite było zaledwie na 6 ctm. a naskórek nietknięty!

Cypryan był bardzo oburzony na Hiltona, który nie uważał za właściwe podziękować swemu wybawcy. Wydawało mu się widać rzeczą bardzo zwyczajną, że kafr go od niechybnej śmierci uratował.

— Pański nóż posiada rzeczywiście dobre ostrze — zauważył tylko Hilton, podczas gdy Bardik był zajęty oczyszczaniem noża.

Śniadanie zatarło nieco wrażenia tej pełnej przygód nocy. Składało się ono wprawdzie tylko z jednego strusiego jaja smażonego w maśle, ale wystarczyło zupełnie do nasycenia 5 ludzi.

Lekka gorączka wprawdzie dokuczała Cypryanowi skutkiem ran zadanych mu przez lwie pazury, lecz upierał się odwiedzić wraz z towarzyszymi Lopepa. Obóz zostawiono pod opieką Liego i Bardika, poruczono im również zdjąć skórę ze lwa, i konno udano się z wizytą.

Betchuan oczekiwał gości, otoczony swoją gwardyą, u wejścia do kraalu. Poza nim stały dwa rzędy kobiet i dzieci, patrząc ciekawie na przybyłych.

Ogólny wygląd kraalu był dość nędzny, pomimo niezłej budowy półokrągłych chat. Chata Lopepa znacznie większa od innych, w środku wybitą była słomianymi matami. Tu Lopepe zaprowadził swoich gości, wskazał im trzy drewniane stołki i usiadł sam, podczas gdy jego wojownicy uformowali półkole poza nim.

Po wyrzeczeniu powitalnych słów, gospodarz poczęstował gości szklanką napoju, dotknąwszy się jej poprzednio ustami, aby gości przekonać, że napój nie jest zatrutym. Po tak uprzejmych zaprosinach trzeba było pić to piwo betchuańskiego wyrobu, choć było wstrętne.

Pantalacci nie zaniedbał skrzywić się za każdym łykiem, zapewniając, że szklanka Lacrymae Christi lepiejby mu smakowała.

Następnie przyszła kolej na interesy. Lopepe gorąco pożył nabycia fuzyi; ofiarował za nią dobrego konia i 150 funtów kości słoniowej. Pomimo szczerej ochoty, nie można mu było dogodzić, bo prawa kolonialne srogo zabraniają europejczykom sprzedaży broni palnej kafrom. Wyjątkowego pozwolenia może udzielić gubernator. Na pocieszenie ofiarowano gospodarzowi koszulę flanelową, łańcuszek stalowy i flaszkę rumu. Były to znaczne podarunki dla czar-

nego i głośno wyraził swoje zadowolenie z otrzymanych darów.

Chętnie też służył ze wszelkimi objaśnieniami, których za pośrednictwem Hiltona od niego żądano.

Dowiedziano się tedy, że młody kafr podobny z opisu do Matakita, przechodził przez kraal przed pięciu dniami. Szukał on przejścia przez Limpopo i udał się na północ, w góry.

Lopepe zapewnił ich również, że jego dobry przyjaciel, władca tego kraju, wielki, niezwyciężony wojownik Tonaia, nie uczyni im nic złego.

Wiadomość ta ucieszyła naszych podróżnych. Widocznie byli oni na dobrym śladzie; Matakita już wolniej ucieka, nie może więc zbyt daleko od nich się znajdować.

Wróciwszy do obozu, zastali Liego i Bardika wielce zaniepokojonych.

Opowiadali oni, że oddział wojowników okrążył ich i groźnie badał powody przebywania w kraju Betchuanów, domagając się odpowiedzi, czy nie są szpiegami, chcącymi dowiedzieć się o liczbie wojowników wielkiego króla Tonaia; gdyby tak wistocie było, oświadczyli, że jak tylko przestąpią granice jego państwa, nie będą robili sobie z nimi ceremonii.

Zwykle tak odważny Bardik był temi groźbami ogromnie przerażony i zapewniał, że wielki Tonaia lubi bardzo skracać ludzi o długość głowy.

Co robić? Czy nie zwracać uwagi na te groźby? Trudne to pytanie. Wojownicy, chociaż ich było trzydziestu, nie zrobili im nic złego, ani też nic nie ukradli. Był to szczegół ważny. A może udać się wprost do Tonaia, wyjawić mu cel podróży i ująć go podarkami? Po krótkim namyśle zdecydowano się na ten ostatni projekt i ruszono w drogę.

Chęć osiągnięcia celu, była silniejszą nad wszelkie obawy.

---

## ROZDZIAŁ XV.

### Spisek.

Po tygodniowej podróży przybyła ekspedycja do kraju, który w niczem nie był podobny do przebitego poprzednio. Zbliżano się do pasma gór, według wszelkiego prawdopodobieństwa, celu ucieczki Matakita. Okolica skutkiem obfitości rzek miała bogatą roślinność i zwierzozan.

Pierwsza dolina, która się otworzyła dla

podróżnych, była tak rozkoszną, że sam widok jej pokrzepił zwątlone ich siły. Pomiedzy dwiema, szmaragdowej zieleni łąkami, płynął strumień tak kryształowo przejrzysty, iż dno jego wszędzie było widocznem. Liczne drzewa owocowe rosły na pagórkach, na oświetlonej słońcem równinie roily się całe stada czarnych antylop i bawołów, w niewielkiej odległości biały rhinoceros włókl się ciężkim krokiem do rzeczki, aby w niej swe cielsko zanurzyć. Ukryte w gąszczu ziewały dzikie zwierzęta, a leśny osioł podnosił swój brzydki głos. Po drzewach zaś tyśiące małp goniło się zawzięcie. Cypryan i towarzysze jego stanęli na pagórku, podziwiając ten obraz. Byli nareszcie w tej dziewiczej Afryce, gdzie królami są krwiożercze zwierzęta, nieznające niebezpieczeństwa broni palnej.

Również dziwiło ich nagromadzenie licznych odmian zwierząt jak na obrazie malarza, któryby chciał skupić wszelkie ich rasy na płótnie. Mieszkańców ta piękna okolica posiadała bardzo mało, tak, że porównać ją można do pustyni.

— Jeszcze słoni brakuje, aby obraz ten uzupełnić — zawołał zachwycony Cypryan.

Usłyszawszy te słowa, Li wskazał mu, wyciągając ramię w stronę łąki graniczącej

z lasem, szarą masę, którąby można wziąć za skały; było to stado słońi. Zdawało się, że jest ich tam tysiące.

— Ty znasz się zatem ze słoniami? — pytał Cypryan Liego, gdy ustawiał namioty na nocleg.

Li błysnął kosemi oczami.

— Byłem przez dwa lata pomocnikiem strzelca na wyspie Ceylon — odpowiedział skromnie Li.

— Ach, gdyby to można ze dwa upolować — zauważył Hilton — jakażby to przyjemność była!

— A tak, jest to zwierzyna warta prochu — dodał Pantalacci — dwa kły słonia są dobrą zdobyczą, a nasz wóz pomieściłby ich cztery tuziny. Wiecie towarzysze, że toby nam wróciło koszta podróży.

— Pyszna myśl! — zapalił się Hilton. — Czemu nie spróbować tego przed wyruszeniem w dalszą drogę?

Postanowiono zatem zapolować na słonie o świcie, poczem zjedzono z apetytem kolację i udano się na spoczynek, wyjąwszy Hiltona, który został na straży dla pilnowania ognia.

Dwie godziny siedział tak przy ogniu i sen kleił mu powieki, gdy nagle uczył lekkie szturgnięcie w łokieć.

Ocknął się niebawem i ujrzał przed sobą Pantalacciego.

— Nie mogę spać, przyszedłem, aby tu z panem posiedzieć — rzekł i usiadł koło ognia.

— Ach, to dobrze, zamienimy się, pan popilnujesz ognia, a ja pójdę się przespać na wozie.

— Nie, poczekaj pan, mam z nim do pomówienia.

Pantalacci obejrzał się wokoło, czy kto nie podsłuchuje, przyciszonym głosem zaczął mówić.

— Czy polowałeś już kiedyś na słonie?

— Tak, — odpowiedział Hilton — dwa razy.

— A więc wiesz, jakie polowanie to przedstawia niebezpieczeństwo. Słoń jest tak przeczorny, tak mądry, że człowiek rzadko kiedy wychodzi zwyciężcą w walce z nim.

— Prawda, jeśli polują niezręczni strzelcy — przyznał Hilton — lecz dobry strzelec, uzbrojony w eksplodujące naboje, niema się znów czego obawiać.

— Wiem o tem — odpowiedział neapolitańczyk — jeżeliby jednak jakiś przypadek zdarzył się jutro francuzowi, byłaby to niepowetowana szkoda dla nauki!

— Prawdziwe nieszczęście — potwierdził Hilton, śmiejąc się złośliwie.

— Dla nas nieszczęście to nie byłoby tak wielkiem — począł znów Pantalacci, zachęcony śmiechem towarzysza.

— Gdybyśmy we dwóch odnaleźli Mata-kita z dyamentem, możnaby się wówczas ułożyć...

Dwaj ci ludzie zamilkli snując w myśli zbrodnicze zamiary.

— Tak, we dwóch łatwiej się porozumieć, niż we trzech — powtórzył neapolitańczyk i nagle zamilkł, oglądając się wokoło z obawą.

— Nie widzisz pan tam cienia jakiegoś? — zapytał.

Hilton, pomimo doskonałego wzroku, nic nie zauważył w okolicy obozowiska.

— To nic, może to cień pada od bielizny, którą chińczyk rozpostarł na rosie.

Po chwili milczenia Pantalacci znówuż rzecz swą ciągnął dalej, mówiąc przyciszonym głosem.

— Gdybym tak mógł mu wyjąć naboje ze sztucea, żeby nie zauważył; podczas polowania stojąc za nim, strzeliłbym do słonia, któryby rzucił się na niego, i rezultat byłby osiągnięty!

— Jest to jednak bardzo ryzykowne — odparł Hilton.



— Ba, już ja to urządzę, poprowadzę tak, jak gdyby stało się to samo z siebie.

Po upływie godziny, gdy włoch wrócił do obozu, zastał Cypryana, Bardika i Liego zagrożonych w śnie głębokim. Tak mu się przynajmniej zdawało; gdyby jednak był przebieglejszym, zauważyłby, iż głośnie chrapanie chińczyka mogło być udaniem.

O świcie wszyscy obudzili się. Pantalacci skorzystał z chwili, gdy Cypryan udał się do strugi dla umycia się, aby mu z broni wyciągnąć naboje.

Bardik przyrządzał wówczas kawę, a chińczyk zbierał bieliznę, rozwieszoną podczas nocy na swoim sławnym sznurze, rozciągniętym pomiędzy dwoma olbrzymiami baobabami.

Po wypiciu kawy dosiedli koni, zostawiając obóz i bawoły pod opieką Bardika.

Li prosił o pozwolenie towarzyszenia swemu panu i uzbroił się tylko w nóż myśliwski.

Po półgodzinnym marszu dosięgli miejsca, gdzie wczoraj zauważono słonie.

Powietrze było łagodne i przeźroczyste. Na olbrzymiej łące, której trawa jeszcze błyszczała kroplami rosy, śniadało właśnie około 300 słoni. Działwa podskakiwała wokoło swych matek i ssala swoją ranną porcyę; starsi nurzali głowy w soczystej trawie, poruszając olbrzymimi uszami.

Cisza i spokój tego widoku miały w sobie coś podniosłego, i Cypryan wzruszony, proponował swym towarzyszom zaniechanie projektowanych mordów.

— Po co zabijać te nieszkodliwe zwierzęta — mówił — czyż nielepiej zostawić je w spokoju wśród tego zacisza?

Pantalacciemu zamiar ten z różnych przyczyn nie przypadął do gustu.

— Po co zabijać? — kpił z Cypryana — aby zdobyć kilka cetnarów kości słoniowej, a może, panie Méré, boisz się tych dużych zwierząt?

Cypryan wzruszył ramionami, nie odpowiadając na bezwstydną zaczepkę, a widząc, że towarzysze jego idą dalej w las, przyłączył się do nich.

Znajdowano się wówczas już tylko o 200 metrów od zwierząt. Dzięki okoliczności, iż zbliżano się pod wiatr i w cieniu wielkich drzew, obdarzone czułym słuchem słonie nie zauważyły jeszcze konnych strzelców.

— Teraz musimy się rozdzielić — rzekł Pantalacci — każdy niech celuje do innej sztuki, ognia dać na komendę, bo słonie pewnie po pierwszym strzale, rozpierzną się.

Projekt ten wykonano. Pantalacci poszedł na prawo, Hilton na lewo, Cypryan znalazł

się w pośrodku i każdy z nich ostrożnie podkładał się coraz bliżej.

Ku największemu zdziwieniu uczuł nagle Cypryan obejmujące go ramiona, i Li szepnął:

— To ja, panie, nie mów nic, zaraz dowiesz się dlaczego. Twoja broń jest bez naboju, lecz nie lękaj się, wszystko pójdzie dobrze.

W tej chwili rozległ się ostry gwizd, hasło umówione do ataku, jednocześnie padł strzał, jeden jedyny poza plecami Cypryana. Gdy tenże odwrócił się ujrzał Pantalacciego, usiłującego ukryć się za drzewami. W tej chwili jednak coś ważniejszego zajęło jego uwagę.

Słoń, raniony strzałem, wpadł z wściekłością na niego. Reszta, jak to przewidział neapolitańczyk, rzuciła się do ucieczki z tupotem, od którego zadrżała ziemia na 2000 metrów w około.

— Uwaga — krzyknął Li, czepiając się wciąż jeszcze Cypryana. — Jak słoń rzuci się na pana, zwróć Templara na bok, uciekaj w ten gąszcz, niechaj cię słoń ściga, a ja za resztę odpowiadam.

Cypryan usłuchał machinalnie.

Z podniesioną trąbą, zakrwawionemi ślepiami, wyszczerzając groźne kły, z niepo-

jętą szybkością rzucił się nań gruboskóry olbrzym.

Templar okazał swe zdolności, posłuszny naciskowi cugli, popędził jak strzała na prawo, słoń za nim.

Chińczyk z nożem w ręku wślizgnął się pod krzew, który ukazał poprzednio swemu panu.

— Tam, tam, pod ten krzew, daj się pan ścigać — wołał raz jeszcze.

Cypryan, nie zdając sobie sprawy z zamiarów chińczyka, nasłuchiwał jednakże, okrążając krzew. Słoń wściekły daremnym dwukrotnym atakiem, ku wielkiemu zdziwieniu Cypryana, ukląkł na prawe kolano.

Z nieporównaną zręcznością Li, leżąc na wysokiej trawie, w stosownej chwili wślizgnął się między nogi zwierzęcia i jednym uderzeniem noża, przebił ścięgno pod piętą jego w miejscu, które u człowieka nazywa się ścięgnem Achillesowem.

Tak postępują hindusi, polując na słonie i Li, zapewne podczas pobytu swego na wyspie Ceylon, nieraz musiał się ćwiczyć, aby z tak zimną krwią i pewnością niezrównaną wykonywać ten manewr.

Powalony, bezwładny, leżał słoń na trawie, ruszając tylko głową potężną; krew, uchodząca z rany, pozbawiała go sił z każdą chwilą.

— Hurra! brawo — wołali jednocześnie

Pantalacci i Hilton, którzy się do miejsca walki zbliżyli.

— Trzeba strzałem w oko koniec z nim zrobić — rzekł Hilton uczuwając nieprzeparte pragnienie przyjęcia czynnego udziału w tym dramacie.

Rozległ się strzał i kula strzaskała łeb czworonogiego olbrzyma. Drgnął raz jeszcze i legł na murawie nieruchomy, podobny do szarego zrębu skały.

— Już skończył — zawołał Hilton, zbliżając się konno ku słoniowi, aby mu się zbliżka przyjrzeć.

— Czekaj, nie zbliżaj się — mówił wzrokiem chińczyk do swego pana.

Straszne, nieuniknione następstwo tej walki, nie dało na siebie długo czekać.

Zaledwie Hilton zbliżył się do słonia i nachylił się, aby go żartem wziąć za olbrzymie ucho, olbrzym podniósł trąbę i w mgnieniu oka objął nią zbyt ciekawego strzelca, miażdżąc mu kolumnę pacierzową i mózg z taką błyskawiczną szybkością, że przerażeni widzowie nie mieli czasu przyskoczyć z pomocą.

Hilton krzyknął raz tylko. Po upływie trzech sekund została z niego tylko krwawa masa, na którą powalił się szary olbrzym, aby więcej nie powstać.

— Widziałem, że idzie o jego życie —  
rzekł chińczyk — żaden słoń nie zaniedba  
przy sposobności, w ostatnich konwulsyach,  
zemścić się na wrogu.

Słowa te były jedyną mową pogrzebową  
nad resztkami Hiltona.

Cypryan pod wrażeniem świeżej zdrady,  
widział w tym wypadku słuszne zadosyć  
uczynienie dane mu przez opatrność i łotr,  
który go chciał oddać na pastwę dzikiego  
zwierzęcia, sam przez nie zginął!

Co myślał o całym tym wypadku Pan-  
talacci, naturalnie przed nikim się nie zwie-  
rzył.

Chińczyk tymczasem nożem wykopał dół  
i przy pomocy Cypryana pochował szczątki  
towarzysza wyprawy.

Praca ta zajęła sporo czasu; słońce już  
zbliżało się ku południowi, gdy myśliwi wró-  
cili do obozu.

Jakże się zdziwili, nie zastawszy Bardika  
przy wozie.

Bardik zniknął!...

---



Olbrzym podniósł trąbę i w mgnieniu oka objął nią  
zbyt ciekawego strzelca.

BIBLIOTEKA  
BN  
NARODOWA



## ROZDZIAŁ XVI.

### Zdrada.

Co się stać mogło z Bardikiem? Śniadanie w polowie przyrządzone stało przy wygasłym ognisku, a rzeczy leżały w porządku, nienaruszone.

Usuwało to możliwe przypuszczenie napaści zwierząt lub ludzi.

Może zabłądził, ścigając zwierzynę? Postanowiono czekać 24 godzin na możliwy powrót.

Dzień przeszedł cicho, smutnie, wieczór również. Cypryan, któremu Li opowiedział historię wyjęcia nabojów przez Annibala Pantalacciego, z przykrością myślał o niebezpiecznym wrogu, którego strzedz się będzie musiał we dnie i w nocy.

Pantalacci rozważał stratę dwóch przyjaciół, choć rywali. Pozostał mu teraz jeden tylko, lecz najnienawistniejszy, bo posiadał sympatyę Alicyi.

Milcząc, siedzieli naprzeciw siebie przy ognisku, paląc fajki i również milcząc, bez życzenia sobie dobrej nocy, udali się na spoczynek.

Li pilnował ognia.

Następnego dnia Bardik też nie powrócił. Chętnie Cypryan byłby jeszcze dzień jeden czekał na swego sługę, lecz Pantalacci sprzeciwił się temu.

— Bardik pewnie umknął do swojej ojczyzny, damy sobie radę bez niego, a czekając tu dłużej, chybiamy celu naszej wyprawy.

Chcąc niechcąc Cypryan musiał się zgodzić i Li zabrał się do odszukania bawołów.

Nowe rozczarowanie. Bawoły też zniknęły! jeszcze nad wieczorem widziano jak pasły się w pobliżu, a obecnie ani jednego odnaleźć nie było można!

Teraz dopiero oceniono stratę inteligentnego sługi. Gdyby był obecnym, znając zwyczaje bawołów, nie omieszkałby przywiązać ich do pali.

Pierwszego dnia popasu ostrożność ta nie była konieczną, gdyż zwierzęta zmęczone nie myślały o oddaleniu się od wozu. Dopiero następnego ranka, szukając smaczniejszej paszy, widocznie oddaliły się w głąb łąki.

Było to prawdziwe nieszczęście dla ekspedycyi. Strata bawołów pociągała za sobą stratę wozu, który był jednocześnie mieszkaniem i fortecą w razie potrzeby.

Położenie stawało się krytycznem; po naradzie zdecydowano się zostawić wóz i za-

brać na konie tyle żywności, ile tylko mogli. Może się uda kupić bawoły u którego z władców kafrów, ofiarując w zamian sztuciec i naboje.

Li miał się na konia Hiltona.

Zabrano się do roboty. Wóz ukryto pod stosem gałęzi, a każdy umieścił w kieszeniach i w workach tyle żywności i nabołów, ile tylko pomieścić zdołał.

Li mocno strapiiony, że swój czerwony kuferek musi porzucić (za ciężki był bowiem), zabrał przynajmniej sznur, którym się opasał, na kształt pasa.

Ukończywszy przygotowania, trzech jeźdźcy objęli jeszcze wzrokiem dolinę, która im tyle strat przyczyniła i udali się w dalszą drogę. Droga ta, jak i poprzednia, stanowiła wązką ścieżkę wydeptaną przez zwierzęta, szukające źródeł do picia.

Dwa dni podróży minęły i nasi podróżni przywykli do obchodzenia się bez wozu. Pod wieczór drugiego dnia, gdy Li przygotowywał wieczerę pod grupą drzew, gdzie zamierzano przenocować, jakiś odległy punkt zwrócił jego uwagę i ukazał go Cypryanowi.

— To jest podróżny — zawołał Pantalacci, przyjrząwszy się cieniowi.

— To Matakít we własnej osobie — uzupełnił Cypryan, pochwycawszy lunetę — po-

znaję wyraźnie wózek zaprzęgnięty w strusia! To on, na pewno!

Pantalacci, przyjrząwszy się przez lunetę, potwierdził spostrzeżenie inżyniera.

— Jaka przestrzeń rozdziela go od nas? — zapytał Cypryan Pantalacciego.

— Siedem do ośmiu mil, a może i dziesięć — odpowiedział włos.

— W każdym razie dziś już nie warto go ścigać?

— A nie warto — odparł Pantalacci — bo za pół godziny ściemni się, i możemy zbłądzić po nieznannej drodze.

— Zostawmy to więc do jutra; wyruszywszy wcześniej, możemy mieć nadzieję, iż go jutro doścignemy.

— Takie i moje zdanie.

Wieczerzę spożyto w wesołym usposobieniu i wcześniej udano się na spoczynek, aby jutro podwójnym marszem osiągnąć cel wyprawy.

Cypryan i chińczyk, zwinawszy się w kołdry prędko zasnęli. Na to tylko czekał Pantalacci, aby wykonać ułożony plan.

Nizkie jego instynkty nie dawały mu spokoju, wciąż przemyślał jak się pozbyć towarzyszków i samemu zdobyć dyament. Bliskość Matakita przyspieszyło wykonanie jego zamiarów.

Po cichu odwiązał konia swego, zarówno jak Templara i konia chińczyka, poczem zabrał broń, trochę żywności i, prowadząc konie za cugle, porzucił bez miłosierdzia swych towarzyszy na pustyni, bez środków lokomocyi.

Wysoka trawa głużyła jego kroki; zmęczone całodziennym marszem konie nie stawiały oporu, nie też nie przerywało snu pozostałym.

O trzeciej zrana Li przebudził się i, spoglądając na błędzące gwiazdy, pomyślał sobie, że już pora przyrządzić kawę. Nie tracąc więc czasu, zabrał się do robienia toalety, której i w pustyni nie zaniedbywał.

— A gdzie ten włosz się podział — zapytał nagle sam siebie — i koni także jakoś nie widać, — prowadził dalej swe spostrzeżenia chińczyk — czyżby ten poczciwy kolega?... — Z temi słowy pobiegł do palików, gdzie konie na noc były przywiązane. Naturalnie, nie zastał ich, zauważył też zniknięcie bagaży neapolitańczyka.

Ucieczka była zatem widoczną.

Człowiek, pochodzący z białej rasy, niezaniebąłby w takim wypadku czempredziej obudzić Cypryana i uwiadomić go o klęsce wydarzonej.

Chińczyk należał jednakże do żółtej rasy,

która sądzi, że z wieścią o nieszczęściu, nigdy nie należy się spieszyć, zajmował się więc dalej przyrządzaniem kawy.

— Jak to grzecznie ze strony tego łotra, że choć nas nie pozbawił żywności — kończył swój monolog.

Gdy kawa się ustalała, nalał ją we dwie filiżanki, jeżeli tak nazwać można przepołowione łupiny strusiego jaja i zbliżył się do Cypryana, który jeszcze spał mocno.

— Ojczulku, kawa gotowa — rzekł grzecznie, trącając go zlekka w ramię.

Cypryan otworzył oczy, przeciągnął się, powitał chińczyka uśmiechem i, nie podnosząc się, oparł się na łokciu i wypił kawę.

— Gdzie się podział Pantalacci? — zapytał, zauważywszy puste jego miejsce.

— Czmychnął — odpowiedział obojętnym głosem chińczyk, jakby to było rzeczą naturalną.

— Jak to, porzucił nas?

— Tak, ojczulku, uciekł i w dodatku zabrał nam konie.

Cypryan porwał się z ziemi, odrzucił koldrę, którą jeszcze był owinięty i, obejrawszy się dookoła, zrozumiał rzecz całą.

Duma jednakże nie pozwoliła mu wyjawic głośno swego oburzenia i niepokoju.

— Ależ to zachwycające, niech tylko szu-

brawiec nie wmawia sobie, iż już wygrał sprawę.

Na chwilę Cypryan się zamyślił, poczem rzekł:

— Nie traćmy czasu; siodła i uprząż zostawimy, weźmiemy tylko broń i żywność. Idąc pieszo, będziemy mogli obrać krótszą drogę i może tym sposobem Pantalacci nie wiele nas wyprzedzi.

Liemu nie trzeba było dwa razy powtarzać rozkazu. W kilka minut wszystko było przygotowane i dwaj mężczyźni ruszyli w drogę.

Inżynier miał słuszność, mówiąc, iż pieszo czasem prędzej zajść można.

Szli prosto przed siebie, nie omijając stromych urwisk, niedostępnych dla jadących konno. W południe przeszli pasmo gór do doliny, gdzie przedstawił im się niezwykle piękny widok. Pasło się tam około 20 żyraf, o długich szyjach sterczących, jak maszty do 4 metrów w górę, zabawny i wdzięczny tworząc obrazek.

— Trzeba złapać dwie, aby nam konie zastąpiły — rzekł Li.

— Jakto, jeździć na żyrafie? Czy kto słyszał o czemś podobnem? — zawołał Cypryan.

— Nie wiem czy kto już widział, ale pan zobaczysz, jeżeli pozwolisz mi działać.

Cypryan nigdy nie uważał rzeczy za niemożliwą dlatego, że jemu była nie znana, przyrzekł zatem swą pomoc Liemu.

— Znajdujemy się pod wiatrem od nich, co jest dla nas okolicznością bardzo korzystną, bo żyrafy mają czuły węch i byłyby nas spostrzegły. Udaj się pan w stronę przeciwną, przestrasz je wystrzałem, aby uciekły w moją stronę. Resztę już ja załatwię.

Cypryan oddalił się we wskazanym kierunku.

Li u wejścia do doliny pośpiesznie odwiązał swój nieodstępny sznur, przeciął go na dwie połowy, długości 30 metrów. Na jednym końcu przywiązał dość ciężki kamień, a drugi koniec przytwierdził do gałęzi, następnie owinął wolnymi końcami sznura lewą rękę i stanął za drzewem, czekając wypadków.

Po 5 minutach rozległ się strzał. Zaraz po nim szybki tętent, jak gdyby oddział zbliżającej się kawaleryi, i jak to Li przewidział żyrafy nadbiegły do wąskiego przejścia w górach, nie czując pod wiatrem wroga.

Przepuściwszy koło siebie kilka pierwszych zwierząt, rzucił swe lasso na jedno z największych. Sznur świsnął w powietrzu



i okręcił się parę razy o szyję zwierzęcia, które na wpeł uduszone stanęło z przerażenia nieruchomo.

Li, nie zwlekając, powtórzył swój manewr po raz drugi i również z dobrym skutkiem.

— Proszę spojrzeć — zawołał do zbliżającego się Cypryana, który, nawiasem powiedziawszy, nie bardzo wierzył w powodzenie zamiarów chińczyka. Widok, który go czekał, nie pozwalał już wątpić, że Liemu się udało. Dwa piękne, silne i duże zwierzęta, z cienkimi nogami i błyszczącą sierścią, stały przed nim.

O ile jednakże zachwycił się wyglądem żyraf, myśl zużytkowania ich pod wierzch, wydawała mu się niewykonalną.

— Powiedz, mój przyjacielu — rzekł do Liego — jakże się utrzymać na ich grzbiecie, który ma spadek do 60 ctm. i w dodatku bez uzdy?

— Zostaw to mnie ojczulku — odrzekł Li — do jutra będzie i uzda i siodło.

Przemysłny i na wszystko mający sposoby Li, przygotował Cypryanowi obiad, a potem zajął się tresowaniem łagodnych zresztą zwierząt.

Zapomocą zwiniętego płaszcza siadł na grzbiet jednej z żyraf i popędził na miej-

sce, gdzie zostawił poprzednio swe siodła i uzdy.

Nieocenionym swym sznurem nadał uzdom odpowiednią długość, siodła przystosował do grzbietu żyraf i, zapomocą bata i różnych sposobów, uczynił je na tyle posłusznymi, aby można użyć pod wierzch.

---

## ROZDZIAŁ XVII.

### Afrykański steeple-chase.

Zaiste był to dziwny widok, gdy następnego ranka Cypryan z Liem dosiedli swoich zaimprovizowanych wierzchońców; bardzo wątpimy, czy inżynier zechciałby przejechać się w ten sposób przed oczami miss Watkins, na głównej ulicy w Wandergaart-Kopii.

Tu jednak, nie mając wyboru, rad był wynalazczości chińczyka, który postarał się o konia w pustyni, coś na kształt wielbłąda.

Chód żyraf w rzeczy samej przypominał wielbłądy, a skutki kołysania się przyprawiły jeźdźców przez pierwsze parę godzin o nudności, podobne do objawów morskiej choroby.

Pominąwszy tę małą niedogodność, ru-

maki były wyborne. Chód miały szybki, a po poskromieniu pewnych objawów oporu, okazywały pojętność i podróż szła doskonale.

Starali się też pośpiechem odzyskać czas stracony. Po trzech dniach podróży, żyrafy zanosły jeźdźców w równinę, przeciętą dość dużą rzeką, prawdopodobnie był to dopływ Zambesi. Jej brzegów Cypryan postanowił się trzymać, aby podług niejasnych wskazówek Lopepa dostać się do kraju króla Tonaia.

Wkrótce też uprawne pola manioku i taro, drogi dobrze utrzymane, chaty podobne budową do uli i masy ptactwa wskazywały, iż dojechali do kraju zaludnionego, choć rzadka.

Liczne stada drapieżnych zwierząt, przeżuwaczy i prawdziwe chmary mniejszych i olbrzymich ptaków dowodziły, że pustynia znajduje się nieopodal.

Zachwycony różnaitością krajobrazu, Cypryan zapomniał prawie o celu podróży, gdy wjeżdżając na nieduży pagórek nagle stanął jak wryty wskutek niespodzianego widoku.

Ni mniej ni więcej tylko Pantalacci we własnej osobie pędził galopem, ścigając Matakita. Odległość milowa rozdzielała tylko przeciwników.

Matakit widocznie już spostrzegł włocho i widząc, że tenże go bez namysłu poczęstuje kulą, popędzał co sił strusia. Swego dawnego pana z powodu zbyt wielkiej odległości widocznie nie zauważył.

Li i Cypryan, widząc ten wyścig z głośnem hurra, puścili się za nimi.

Wtem biedka kafra uderzyła o kamień i dyszel pękł przy samej osadzie. Bez namysłu wyprzągnął strusia i wskoczywszy zwinnie na grzbiet jego, popędził dalej.

Teraz zaczął się karkołomny steeple-chase, jaki zapewne nie odbywał się od czasu igrzysk rzymskich. Struś Matakit pędził z wyjątkową chyżością, za nim wyteżał swe siły w galopie wierzchowiec Pantalacciego, a żyrafy nagłone biczem nieodstawały od nich.

Żaden zwycięzca na wyścigach w Londynie lub Paryżu nie dorównałby w chyżości strusowi i Matakit wkrótce znacznie wyprzedził Pantalacciego.

Dopadł niebawem gąszczu, złożonego z drzew fig indyjskich i zniknął z przed oczów.

W tej samej chwili dopędzający go prawie Annibal został zrzucony przez konia, który uciekł potem w pole.

— Matakit nam się wyśliźnie! — zawołał Li.

— Tak, ale ten podły włoch jest w naszej mocy — odpowiedział Cypryan.

Po upływie pół godziny dojechali do miejsca, gdzie upadł Pantalacci.

Łotr był jeszcze w tem samym miejscu. Cypryan przybliżył się na 100 kroków i zrozumiał przyczynę upadku jego.

W zapale gonitwy Pantalacci nie zauważył rozciągniętej na niskich krzewach olbrzymiej sieci, założonej przez kafrów w celu tępienia ptactwa, niszczącego im zbiory. W tę sieć zaplątał się Annibal Pantalacci.

A była to sieć niemała. Miała co najmniej po 5 metrów z każdej strony i kilka tysięcy różnego ptactwa już się w niej zaplątało. Między niemi też z tuzin olbrzymich sępów, których rozpostarte skrzydła mają rozmiar  $1\frac{1}{2}$  metra.

Nagły upadek neapolitańczyka w świat ptasi, wprawił te ostatnie w niesłychany niepokój.

W pierwszej chwili oszołomiony swym upadkiem Pantalacci, odzyskał wnet przytomność i zaczął się wydobywać z sieci. Nie łatwe to było zadanie. Ręce i nogi uwięzły w oczka sieci i ani sposób ich wyciągnąć.

Z wściekłością szarpał siecią na wszystkie strony, odrywając ją z pali, któremi była do ziemi przymocowaną.

Ptaki również były skrzydłami, starając się wydobyć na wolność.

Nie małe było upokorzenie Pantalacciego, gdy Li zbliżył się na żyrafie i z ironicznym śmiechem począł przyglądać się jego wysiłkom. Złośliwy chińczyk nie miał nic pilniejszego do roboty, jak zejść pośpiesznie z żyrafy, odjąć część sieci z palików i okręcić nią szamoczącego się włocha. W tej chwili natura dopomogła zemście chińczyka, silny wiatr, zerwawszy się, dął z niesłychaną siłą i szamotał siecią na wszystkie strony.

Nagle stał się wypadek nieoczekiwany. Wicher, ptactwo i rzucanie się Pantalacciego, oderwały sieć z przytrzymujących ją pali i uniosły w powietrze na 30 metrów w górę.

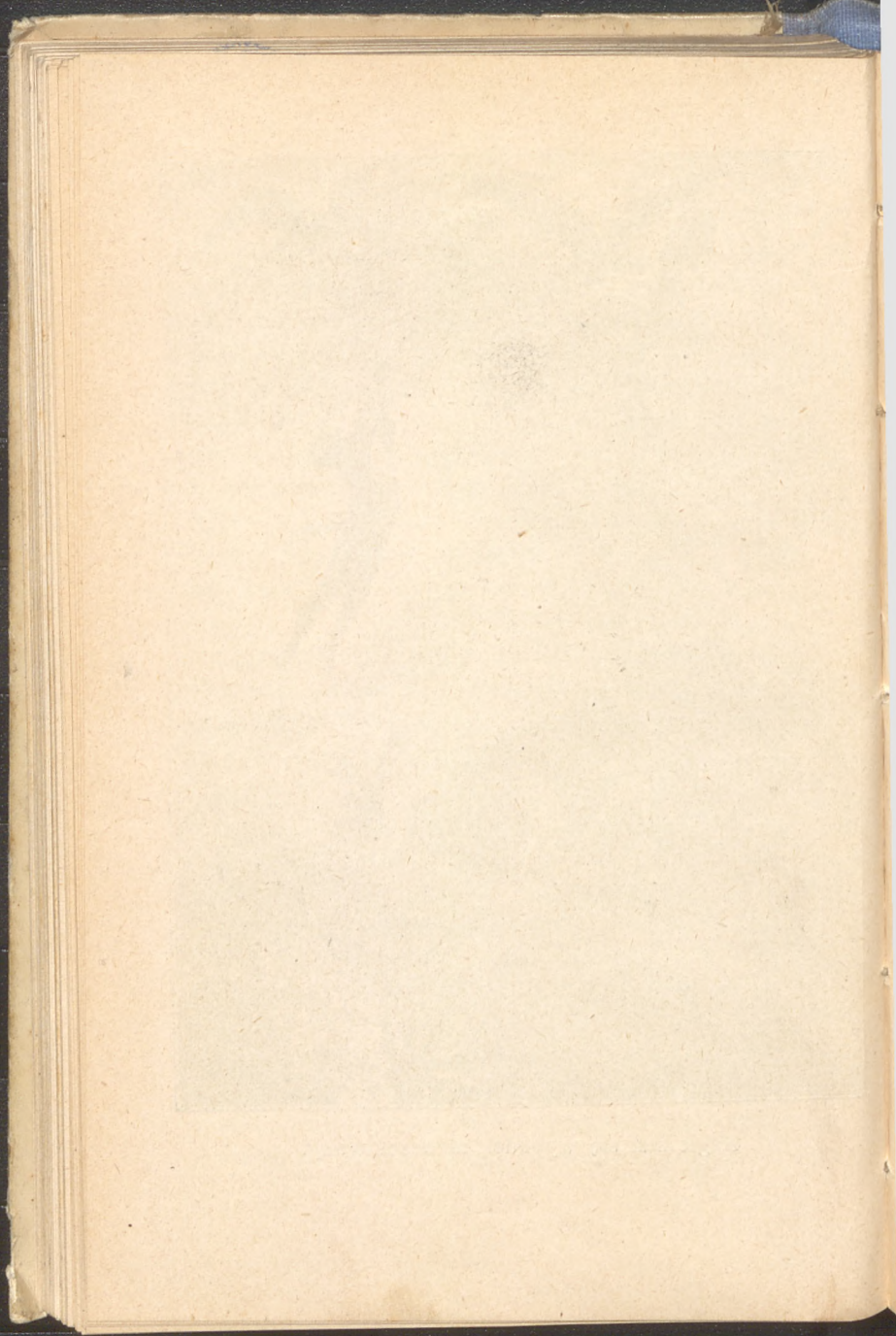
Siła wiatru i ptaków była tak znaczną, że 100 kilogramowy ciężar ciała Pantalacciego nie mógł stawić oporu.

Z ogłuszającym wrzaskiem, drobne ptactwo umknęło z więzów; duże, zaplątawszy swe pazury w oczka sieci, nie tak łatwo mogły się uwolnić.

Zmęczone sępy okazały nagle ochotę opuszczenia się na ziemię. Poplątana, miejscami rozerwana, sieć opuściła się wraz z niemi na krzewy skąd, spoczawszy parę se-



Nagle stał się wypadek nieoczekiwany.





kund, z większą jeszcze siłą uniosły się na powrót w powietrze.

Ze drżeniem widział Cypryan jak nieszczęśliwy Pantalacci, porwany wichrem i wysiłkiem olbrzymich ptaków, został uniesiony na 150 stóp w górę.

Naraz pękło kilka oczek pod ciężarem włocha. Nieszczęśliwy uczepił się sznurów i zawisnął na rękach.

Po kilku minutach ręce jego rozwarły się i runął na ziemię jak bezwładny ciężar.

Pozbawiona ciężaru sieć podniosła się jeszcze na kilka metrów w górę; następnie spadła, gdy sępy, uwolniwszy swe pazury, uniosły się w górę.

Gdy Cypryan nadbiegł z pomocą, nieprzyjaciel jego już nie żył. Zginął w tak marny sposób!

Pozostał więc Cypryan sam jeden z czterech rywali, którzy udali się do Transwaalu w jednakowym celu.

---

## ROZDZIAŁ XVIII.

### Gadający struś.

Po strasznej katastrofie, jaka spotkała neapolitańczyka, Cypryan i Li oddalili się

czempędzej od miejsca przykrego wypadku. Zdecydowali się udać na północ, wzdłuż zaroi. Po upływie godziny dosięgli łożyska wyschniętej rzeki i puścili się jej korytem, jako dogodniejszym od nieprzetrzebionych zaroi.

Czekała ich jednak niemała niespodzianka. Koryto rzeki prowadziło na brzeg dość dużego stawu.

Cypryan miał ochotę wrócić się, lecz w takim razie trzeba się było wyrzec złapania Matakita. Li doradzał okrążenie stawu, co też przedsięwzięto. Stracono prawie trzy godziny, aby dojść do przeciwległego brzegu przebytej drogi.

Zmęczeni i zgłodniali postanowili rozłożyć się na nocleg u stóp łańcucha niewielkich wzgórz.

Li zabrał się do przyrządzenia wieczerzy i, podając ją, rzekł:

— Ojczulku — mówił swym pieścizotliwym głosem — widzę, że jesteś bardzo znużony, a przytem prowiant nasz jest na wyčerpaniu, pozwól mi więc udać się do najbliższej wsi, gdzie zasięgnę potrzebnych nam wiadomości i kupię żywności.

— Chcesz mnie samego zostawić? — zapytał zaniepokojony nieco w pierwszej chwili Cypryan.

— To konieczne, ojczulku — odpowiedział chińczyk. — Wsiądę na żyrafę i udam się na północ. Stolica Tonaia, o której mówił Lopepe, nie może już być bardzo stąd odległą. Przygotuję panu tam dobre przyjęcie i potem wrócimy do Griqualandu, gdzie nie będziesz się miał powodu obawiać więcej tych łajdaków, którzy wszyscy marnie wśród drogi zginęli.

Inżynier rozważał projekt Liego. W samej rzeczy, jeżeli miano ująć Matakita, nierozsądnie byłoby opuścić okolicę, gdzie go widziano; po drugie konieczne było trzeba odnowić zapasy żywności. Zdecydował się też, choć przykro mu było, rozstać się z chińczykiem, i pozostać 48 godzin na tem samym miejscu, oczekując jego powrotu.

Przez dwa dni można na szybko niosącej żyrafie przejechać spory kawał drogi. Li, nie tracąc chwili czasu, pożegnał Cypryana pocałowaniem w rękę, dosiadł żyrafy i zniknął w ciemnościach nocy.

Po raz pierwszy od czasu opuszczenia Wandergaart-Kopii, Cypryan pozostał sam jeden na niezmierzonej pustyni. Smutno mu się zrobiło i posępne myśli go opanowały. Osamotniony, bez zapasu prochu i żywności, co pocznie w tem miejscu, oddalonem o kilkaset mil od cywilizowanych krajów. Ująć Ma-

takita sprawa także niełatwa. Chociażby się znajdował o pół kilometra od niego, skądże to przewidzi?

Stanowczo wyprawie niepowodziło się. Prawie każde 100 mil przebytych przyplącał jeden z uczestników życia. On tylko pozostał. On sam. Może i jemu los przeznaczył zginąć tak marnie?

Tego rodzaju myśli trapiły Cypryana przed zaśnięciem.

Świeżość poranka i odpoczynek nocny nadały jego myślom po przebudzeniu się więcej pogodny charakter. W oczekiwaniu powrotu chińczyka postanowił wdrzeć się na szczyt najwyższej góry, aby z jej wierzchołka zbadać kawał okolicy. Przypuszczał też, iż może mu się uda zapomocą lunety odkryć ślad Matakita. Aby to wykonać, musiał rozstać się ze swą żyrafą, bo jeszcze żaden naturalista nie odkrył u tego zwierzęcia zdolności wspinania się na strome szczyty. Cypryan rozpoczął swe przygotowania od zdjęcia uprząży z żyrafy. Przymocował sznur do szyi jej i uwiązał mocno do drzewa, stojącego wśród gęstej trawy. Długość sznura zapewniała zwierzęciu swobodę poruszania się.

Po ukończeniu tej czynności wziął Cypryan broń na jedno ramię, koc swój na

drugie, i pogłaskawszy na pożegnanie żyrafę, począł się wspinać na górę.

Wchodzenie pod górę było bardzo uciążliwe. Cały dzień mijał na wdrapywaniu się po stromych urwiskach, gładkich skałach, na okrążaniu niedostępnych cyplów. Nad wieczorem Cypryan znajdował się w połowie góry. Trzeba było odłożyć do następnego dnia dalsze wspinanie się.

O świcie, spojrzawszy poprzednio na dół przez lunetę, czy Li jeszcze nie wrócił, zabrał się Cypryan do dalszej wędrówki i w południe stanął nareszcie na szczycie góry.

Srogie rozczarowanie było jego udziałem. Gęste chmury otaczały widnokrąg i zasłaniały widok okolicznych równin. Cypryan, nie zrażając się niepowodzeniem, postanowił czekać rozejścia się chmur; niestety chmury gęstniały i pod wieczór silny deszcz zaczął padać. Zwyczajne to zjawisko niepogody, było jednakże wysoce niemiłym na nagiej przestrzeni, bez drzewa, lub skały, gdzieby się schronić można i Cypryan w krótkim czasie przez koc i ubranie zmoczony był do suchej nitki.

Położenie jego stawało się krytycznym. W tych warunkach zacząć schodzić byłoby czystem szaleństwem. Nie było rady i Cypryan

pocieszał się tylko, że nazajutrz słońce wysuszy mu mokrą odzież.

Znalazł nawet pociechę w tym deszczu po tak długotrwałej suszy.

O roznieceniu ognia marzyć nie było można, ani nawet o zapaleniu zapalki; Cypryan przeto zjadł suszone mięso w stanie, w jakim je ze sobą przyniósł, poczem starał się zasnąć, przytulając głowę do mokrego kamienia.

Z blaskiem zorzy porannej został opanowany przez malaryę.

Przekonany, że zginie, jeśli nadal pozostanie na łasce zimnej wody, bo deszcz lał w dalszym ciągu, podniósł się Cypryan z wysiłkiem i opierając się na sztuccu, jak na kiju, począł schodzić z góry.

W jaki sposób dostał się na dół, nie umiałby opowiedzieć. Ślizgając się po mokrych kamieniach, staczając się po gruncie, potłuczony, bez tchu, na wpół oślepy i dręczony gorączką, znalazł się na miejscu, gdzie uwiązał żyrafę.

Żyrafy nie było. Prawdopodobnie głodna, bo trawa koło drzewa była zjedzoną, przegryzła przytrzymujący ją sznur, i uwolniona w ten sposób, uciekła.

Nowy ten cios Cypryan uczułby bardzo, gdyby się znajdował w warunkach normal-

nych. Nadmierne jednakże zmęczenie robiło go nieczułym. Miał tylko tyle siły, że zmienił prędko ubranie, na szczęście jego worek podróżny nie przepuszczał deszczu, i padł u stóp drzewa, które ocieniało równinę. Zaczął się dla niego okres na wpół sennych majaczeń, w których przestrzeń, czas i odległość mieszały się ze sobą.

Czy był dzień, czy noc? Deszcz padał czy słońce świeciło? Czy umarł już, czy żyje jeszcze? Podobne pytania zadawał sobie nieustannie, nie umiejąc jednakże znaleźć dostatecznej odpowiedzi.

Przyjemne i szkaradne sny nasuwały się jego wyobraźni.

Paryż, szkoła górnicza, ognisko domowe, ferma Wandergaart, miss Watkins, Pantalacci, Hilton, Friedel, stada słoni, Matakít, i chmury ptactwa, zakrywające horyzont.

Wszystko, co lubiał lub czego nienawidził, walczyło i mieszało się w jego mózgu. Do tych majaczeń, rzeczywistość dodawała też swoje wrażenia.

Prawdziwie okropnym jest stan chorego w pustyni, wśród wrzasku szczekających szakali, krzyku tygrysów, wycia hyen. Zdawało mu się też, że słyszy huk wystrzału, po którym dziwna zapanowała cisza, po poprzedniej wrzawie.

Wkrótce ten piekielny koncert rozpoczął się na nowo i trwał aż do świtu.

Wśród tych majaceń przeszedłby inżynier bez świadomości w stan wiecznego spoczynku, gdyby nie nadzwyczajne okoliczności, wstrzymujące naturalny bieg wypadków.

Deszcz ustał i słońce stało już dość wysoko na niebie, gdy Cypryan, otworzywszy oczy, ze zdziwieniem spostrzegł, iż zbliżył się ku niemu duży struś.

— Czy to struś Matakita — pytał sam siebie.

Długonogi ptak wyreczył go w odpowiedzi, i co dziwniejsze wyrażał się po francusku.

— Nie myłę się! Cypryan Méré! mój biedny towarzyszu, co ty tu do licha porabiasz?

Struś, mówiący jego rodzinnym językiem, struś, który znał jego imię, byłby niewątpliwie niezmiernie zadziwił człowieka przy zdrowych zmysłach; Cypryan przyjął jednakże jako rzecz zupełnie naturalną to nadzwyczajne zjawisko. W swych gorączkowych marzeniach widział jeszcze większe cuda.

— Nie bardzo jesteś uprzejmym, panie strusiu — odpowiedział mu, — jakież masz prawo mnie tykać? — mówił Cypryan głosem przerywanym, po którym tak łatwo po-



znać gorączkujących. Spostrzeżenie to zdawało się bardzo martwić strusia.

— Cypryanie! stary druhu! chorym jesteś i samotnym w tej pustyni — zawołał ptak i padł do stóp jego.

Było to również niezwykłym zdarzeniem, bo strus tak samo jak mówić tak i uklęknąć nie może.

Cypryan się i temu nie dziwił i znajdował też bardzo naturalnem, iż ptak, wyjąwszy z pod lewego skrzydła skórzaną flaszkę ze świeżą wodą zmieszaną z koniakiem, przytknął mu szyjkę tejże do ust.

Zadziwił go dopiero ptak, gdy odrzucił swoje opierzenie oraz długą szyję i stanął przed nim silny mężczyzna, nikt inny, tylko jego przyjaciel Pharamond Barthes.

— No tak, to ja — zawołał Pharamond — czyś ty mnie nie poznał przy pierwszych słowach? Dziwisz się mojemu przebraniu? To podstęp wojenny, którego nauczyli mnie kafrowie, pozwalający bezpiecznie zbliżyć się do strusi. Lecz mówmy o tobie, biedny przyjacielu. Skąd się tu wzięłeś, sam jeden i chory, nie przypuszczałem wcale, że jesteś w tym kraju i czysty przypadek pozwolił mi cię spotkać.

Cypryan zaledwie mógł mówić i nie wiele też objaśnił swego przyjaciela.

Ten zaś widząc w jakim stanie się znajduje, nie pytając go więcej, wziął się do ratowania chorego.

Śmiały strzelec nabrał dużo doświadczenia podczas swych wycieczek w pustyni i znalazł też skuteczny środek jakiego kafrowie używają przeciw gorączce.

Pharamond Barthes wykopał dół w ziemi, napełnił go drzewem, wydrążył gałąź nakształt rury, aby zostawić dostęp powietrzu i podpalił drzewo. Po wypaleniu, w dół rozgrzany jak piec w piekarni, włożył Cypryana, pozostawiając mu tylko głowę na wierzchu. Nie upłynęło 10 minut, gdy pot obfity wystąpił, a improwizowany doktor wzmocnił jeszcze jego działanie parą filiżankami gorącego napoju, sporządzonego ze znanych mu ziół leczniczych.

Cypryan niebawem zasnął mocno.

Słońce zniżało się ku zachodowi, gdy chory obudził się i dość silnym głosem zażądał jeść. Jego przyjaciel czekał tylko na to wezwanie, aby mu ofiarować zupełną ziół i zwierzyny, pieczone kuropatwy i kieliszek koniaku.

Cypryan po tym posiłku uczuł się znacznie lepiej i mgła osłaniająca jego mózg rozpierzchła się.

W godzinę później, Barthes również posi-

liwszy się upolowaną zwierzyną, opowiadał Cypryanowi w jaki sposób znalazł się w tych stronach.

— Wiesz dobrze — mówił — do czego jestem zdolny, gdy chodzi o nowy, a nieznanym mi rodzaj polowania. Od tyłu tygodni tropiłem słonie, żyrafy, lwy, dziki i ptactwo, że znudzony potrosze postanowiłem zmienić rodzaj polowania. Do tej okolicy zawędrowałem z moimi 30 bassutami, którym płacę miesięcznie po woreczku szkiełek; w ogień poszliby za mną.

Od kilku tygodni korzystam z gościnności panującego nad tym krajem Tonaia i, chcąc uzyskać od niego prawo polowania na obszarach będących w posiadaniu jego, pożyczyłem mu moich bassutów i 4 sztucce na wyprawę przeciw wrogowi. Naturalnie broń palna zapewniła mu zwycięstwo.

Radość z tego powodu Tonaia była wielką i zawiązaliśmy ścisłą przyjaźń pomiędzy sobą, umocniwszy ją zamianą krwi, t. j. zrobiliśmy sobie nawzajem małe ukłócia na ramieniu. Od tej pory jesteśmy związani na śmierć i życie. W jego kraju jestem obecnie zupełnie pewnym i wyruszyłem na polowanie na strusie i tygrysy.

Tygrysa zabiłem zeszłej nocy i chyba słyszałeś piekielną wrzawę, jaka temu towarzy-

szyla. Wyobraź sobie, że zbudowaliśmy sobie szałas i położyliśmy przed nim zabitego bawołu w nadziei, iż tygrysy znęcą się do niego podczas nocy.

Tygrys nie dał na siebie długo czekać, znęcony zapachem świeżego mięsa.

Na nieszczęście również przybiegło za węchem padliny 200—300 szakali, z tego to powstał ten koncert, który chyba i do ciebie doleciał.

— A tak, słyszałem — odpowiedział Cyprian — przypuszczałem nawet, że dany był na cześć moją.

— Otóż nie, dzielny przyjacielu — zawołał Barthes — brzmiał on na cześć zabitego bawołu, tam w dolinie, która się otwiera po prawej stronie.

Z nastaniem dnia z olbrzymiego przeżuwacza zostały tylko kości. Pokażę ci je, ładny to preparat anatomiczny! Pokażę ci również mego tygrysa, najpiękniejsze zwierzę, jakie upolowałem dotąd w Afryce. Skórę już zdjąłem z niego i powiesiłem na drzewie do suszenia.

— W jakim zaś celu tak dziwnie się przebrałeś? — zapytał go Cyprian.

— Jak ci już mówiłem używają tego przebrania kafiowie, bo struś jest bardzo pierzchliwym i nie łatwo daje się podejść.

Powiesz może, że mając sztuciec mogłem strzelać do nich, ale właśnie przyszła mi ochota polować jak kafry i to mi pomogło znaleźć cię w samą porę, nieprawdaż?

— Prawdziwie w samą porę, przyjacielu. Myślę, że bez twojej pomocy, byłbym już na tamtym świecie — odpowiedział Cypryan, ścisnąc rękę Barthesa.

Inżynier nie leżał już obecnie w piecu, lecz na łożu z liści, które mu troskliwy przyjaciel ustał.

— Opowiedz mi teraz swoje przygody — prosił Pharamond.

Cypryan dość już silny zgodził się na prośbę przyjaciela i opowiedział mu w krótkich zarysach wypadki zaszłe w Griqualandzie i dlatego podjął się ścigać Matakita. Nie pominął również ważniejszych zdarzeń podczas podróży zaszłych; potrójnej śmierci: Pantalacciego, Friedla i Hiltona, zagadkowego zniknięcia Bardika i wycieczki Liego, na którego powrót tutaj oczekiwali.

Barthes słuchał mocno zaciekawiony. Na pytanie, czy nie spotkał kafra podobnego do Bardika, odpowiedział przecząco.

— Ująłem luźno biegającego konia, może to twój? — i opowiedział jednym tchem w jaki sposób koń mu wpadł w ręce.

— Przed dwoma dniami — mówił — po-

lowałem z moimi bassutami, i na południowej stronie gór nagle wybiegł ku nam piękny siwek, ciągnąc za sobą zerwaną uzdiennicę. Biedne zwierzę widocznie nie wiedziało, co z sobą zrobić. Zawołałem na nie, pokazując rękę pełną cukru.

Zbliżyło się ku mnie. Tak też je ująłem. Pyszny koń, pełen ognia i »solony«, jak najlepsza szynka.

— To mój — zawołał radośnie Cyprian — to mój Templar.

— Naturalnie, weźmiesz go sobie — odpowiedział Barthes — i to mi sprawi wielką radość, że mogę ci go oddać. A teraz, dobranoc! Wyśpij się porządnie, jutro ze świtem ruszymy w drogę.

Następnego ranka chińczyk powrócił punktualnie do obozowiska, przywożąc trochę żywności. Uwiadomiony o tem co zaszło przez Barthesa, porучzył jego opiece swego pana i wrócił po Templara, którego utratę Cyprian tak oplakiwał.

---

## ROZDZIAŁ XIX.

### Cudowna grotka.

Był to w samej rzeczy Templar, którego Cypryan ujrzał po przebudzeniu, następnego ranka. Powitanie było czułe. Można było zauważyć wielką radość, jaką koń odczuwał na równi z jeźdźcem, odzyskującym swego wiernego towarzysza.

Cypryan po śniadaniu wsiadł o własnych siłach na rumaka, Pharamond prowadził za cugle Templara i ruszono do stolicy Tonaia.

Po drodze Cypryan opowiadał w dalszym ciągu przygody wyprawy, a gdy mówiąc o zniknięciu Matakita, mniej więcej opisał jego wygląd, Barthes zaczął się śmiać głośno.

— Aha, zdaje mi się, że będę mógł ci coś opowiedzieć o tym złodzieju, chociaż o dyamencie nie wiem.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytał Cypryan.

— A no, że moi bassutowie złapali wczoraj błakającego się po okolicy kafra i, zwiąawszy mu ręce i nogi, oddali do rozporządzenia Tonaia.

Zdaje mi się, że Tonaia nie będzie się

pieścił z nim, gdyż bardzo obawia się szpiegów, a kafr obcego pochodzenia musi w nim budzić podejrzenie.

Dotąd biedaka oszczędzano, bo na szczęście posiada zręczność kuglarza i może pretendować do godności wróżbity.

— Teraz nie wątpię ani chwili, że to Matakít — zawołał Cypryan.

— Tonaia ma ułożoną niemałą listę kar dla swoich wrogów, lecz powtarzam ci — rzekł Barthes — że możesz być spokojnym, co do losu twego sługi. Jego godność wróżbity ochrania go i ręczę ci, że zastaniemy go zdrowym za naszym powrotem.

Wiadomość ta uspokoiła Cypryana, cel jego był zatem osiągniętym.

Nie wątpił też ani na chwilę, że Matakít ma przy sobie dyament pana Watkina i że wyda go bez oporu.

Tak rozmawiali dwaj przyjaciele, przebywając równinę, którą Cypryan poprzednio przejeżdżał na grzbiecie żyrafy. Pod wieczór dojechano do stolicy Tonaia, rozłożonej w półkole na niewielkiem wzgórzu.

Było to prawdziwe miasto, liczące 10—15 tysięcy mieszkańców, z pięknymi ulicami, obszernymi chatami, dobrze prezentującemi się na zewnątrz, a wewnętrzne ich urządzenie wskazywało dobrobyt. Za ukazaniem się Bar-



thesa odsunęły się wszystkie baryery przez liczne podwórze aż do sali przyjęć ceremonialnych, gdzie zwykle przebywał Tonaia »niezwyciężony zwycięzca« w otoczeniu licznej świty oficerów i straży.

Tonaia liczył lat 40. Wzrostu był wysokiego i silnie zbudowany, ubranie jego stanowił czerwony płaszcz bez rękawów i bogato haftowany fartuch ze szklanych pereł. Na głowie miał dyadem z zębów dzika, na ramionach i stopach liczne bransolety z błyszczącej miedzi. Wyraz twarzy jego był inteligentny, lecz twardy i despotyczny. Barthes, nie widziany od paru dni, został bardzo uroczysto przyjęty zarówno jak towarzyszący mu przyjaciel.

— Przyjaciele naszych przyjaciół są naszymi przyjaciółmi — rzekł Tonaia, jak najzwyczajniejszy mieszczanin.

Usłyszawszy, że nowy jego gość jest cierpiącym, wyznaczył mu jedną z najpiękniejszych komnat swego zamku i kazał podać sutą wieczerzę.

Według rady Barthesa pozostawiono sprawę z Matakitem do następnego dnia.

Zdrowie Cypryana nie pozostawiało nic do życzenia, gdy następnego dnia razem z przyjacielem udał się do króla. Cały dwór był zebrany w wielkiej sali i obaj cudzo-

ziemcy przyłączyli się do orszaku. Pharamond dość wprawnie mówił krajowym językiem i on też prowadził pertraktacje.

— Moi Bassutowie — mówił do króla — ujeli niedawno młodego kafa, którego oddali do twego rozporządzenia. Otóż, okazuje się, że jest to służący mego przyjaciela, wielkiego uczonego, Cypryana Méré, który liczy na twoją wspaniałomyślność, że mu go wydasz. W imieniu więc jego i mojem, jako przyjaciel twój, udaję się do ciebie z tą prośbą.

Tonaia zrobił dyplomatyczną minę.

— Witam u siebie wielkiego uczonego — odpowiedział — lecz co on mnie ofiaruje w zamian za więźnia?

— Doskonały sztuciec, 10 razy po 10 nabojów i woreczek ze szklannymi perłami — oświadczył Barthes.

Przychylny szmer pośród obecnych był odpowiedzią na to hojne wynagrodzenie; jeden tylko Tonaia nie zdawał się być zbyt rozczulonym.

— Tonaia jest wielkim władcą — przemówił królik, prostując się w swym fotelu — i bogowie się nim opiekują. Przed miesiącem przysłali oni Barthesa z dzielnymi wojakami i bronią, aby mu pomogli zwyciężyć wrogów.

Dlatego więc, jeżeli Pharamondowi Barthes zależy na tem, wrócimy służącego zdrowym i całym jego przyjacielowi.

— A gdzie on się teraz znajduje? — zapytał strzelec.

— W świętej grocie, gdzie go strzegą we dnie i w nocy — odpowiedział Tonaia uroczyście.

Pharamond Barthes przetłómaczył tę odpowiedź Cypryanowi i prosił króla o pozwolenie odwiedzenia więźnia wraz z przyjacielem.

Przy tych słowach nieprzyjazny szmer przebiegł wśród zebranych. Nie, żądania tych białych są bezwstydne! Nikt obcy jeszcze nie przekroczył progu świętej groty. Krążyła przepowiednia, że gdy biały człowiek pozna jej tajemnicę, państwo Tonaia rozpadnie się.

Despotyczny król nie lubiał, gdy poddani jego wyrażali swoją opinię i dlatego może postanowił postąpić wręcz przeciwnie, aby im pokazać, że nie pozwoli narzucić sobie zdania.

— Tonaia zamienił krew ze swoim sprzymierzeńcem — rzekł wyniośle i niema przed nim tajemnic. Czy ty i twój przyjaciel umiecie dotrzymać przysięgi?

Pharamond Barthes odpowiedział twierdząco.

— Dobrze zatem — ciągnął dalej król — przysięgnijcie mi nie dotknąć nic z tego, co w grocie zobaczycie i przysięgnijcie, iż po opuszczeniu groty, wykreślicie ją z pamięci waszej! Przysięgnijcie nigdy nie próbować wtargnąć do niej, ani starać się odkryć jej wejścia! Nareszcie, przysięgnijcie nigdy nikomu nie powiedzieć ani słowa o tem, co tam zobaczycie!

Z ręką podniesioną powtarzali Cypryan i Barthes słowa tej przysięgi.

Tonaia wydał wówczas kilka rozkazów. Dwór powstał, wojownicy uszykowali się w dwa szeregi. Kilku służących przyniosło dwa kawałki płótna dla zawiązania oczu cudzoziemcom, król siadł w palankin i kazawszy im aby usiedli obok niego, ruszył w drogę, niesiony przez 12 kafrów w otoczeniu całego orszaku dworskiego. Droga była dość długą, trwała blisko dwie godziny. Po uderzeniach, które czuli nawet w palankinie, Cypryan i Pharamond wnosili, że są niesieni pod górę. Z dziwnego ochłodzenia się powietrza i odgłosu kroków orszaku można było wnosić, że wstępowano do podziemi. Wreszcie dym z łuczywa niewątpliwie pochodził od pochodni, któremi oświetlano drogę. Jeszcze pół godziny trwał pochód, poczem palankin ustawiono na ziemi. Tonaia wy-

siadł i rozkazał swym gościom zdjąć opaskę z oczu.

W pierwszej chwili rażeni blaskiem światła, jak to zwykle bywa, gdy funkcyje wzrokowe przez czas jakiś przerwane były, Cypryan i Pharamond przypuszczali, że są ofiarą halucynacyi, tak świetne i nieoczekiwane zjawisko przedstawiło się ich oczom.

Stali oni w pośrodku olbrzymiej groty, na podłodze usianej piaskiem złotym. Sklepienie podobne do gotyckich świątyń, gubiło się w zmroku. Ściany tej podziemnej budowli wyłożone były stalaktytami o nieporównanem bogactwie tonów; światło pochodni odbijało się tęczowymi kolorami. Błyskotliwe kolory, różnorodność kształtów i załamań charakteryzowały tę dziwną krystalizacyę.

Nie widziano tu, jak w innych grotach, jednostajnego nagromadzenia kwarcowych kolumn. Natura puściła tu wodze fantazyi i ani razu się nie powtórzyła w swych tworach. Skały ametystowe, mury z sardoniksu, ławy z rubinów, igły ze szmaragdów, kolumnady z szafirów, niezmierzonej długości, góry z akwamarinów, żyrandole z turkusów, lustra z opali, ganki z różowego gipsu i lapislazuli; wszystkiego co państwo minerałów posiada przejrzystego, świeżącego, wyjątkowego

i kosztownego, użyto jako materiału do tej cudownej budowli.

Ze świata roślinnego wybrano takie twory, na jakie się tylko mogła zdobyć najbujniejsza fantazyja ludzka. Osłony z mineralnego mchu, miękkości aksamitu, przezroczyste plecionki z wierzby, zawierające kwiaty i owoce z drogich kamieni zrobione, przypominały czarodziejskie ogrody.

W głębi połyskiwała tafla jeziora, utworzona z pogrążonego w piasku jednego dyamentu, długości 20 metrów. Lekkiej budowy zamki z chalcedonu, kioski i wieżyczki z berylu i topazu, unosiły się tak wysoko, iż oko, zmęczone blaskiem, nie śledziło ich końca. Snopy światła, odbite w tysiącnych pryzmach, załamujące i krzyżujące się ze wszech stron, tworzyły taką symfonię barw i blasków, że wystarczyło aż nadto do zupełnego rażenia oka ludzkiego.

Cypryan nie wątpił dłużej. Widział się przeniesionym do jednego z tych tajemniczych zagłębień, których istnienie już dawno przeczuł, a gdzie natura nagromadza i krystalizuje najdroższe kamienie, z których kopacze w najbogatszych kopalniach znajdują tylko małe odłamki.

Z początku wątpił o prawdziwości tego, co widział, przekonał się jednak, krając

pierścionkiem olbrzymią ławkę z kryształów, że są to kamienie naturalne, nie pozostawiały bowiem najmniejszego śladu porysowania.

Były to zatem dyamenty, rubiny i szafiry, nagromadzone w tak olbrzymich ilościach, że oceny ich możnaby dokonać tylko liczbami astronomicznymi. Leżały tu przedmioty wartości trilionów, kwadrilionów.

Czy Tonaia wiedział o posiadaniem przez się olbrzymiem bogactwie, możnaby wątpić, bo i Barthes zdawał się nie przypuszczać, aby te kryształy były drogocennymi kamieniami.

Król negrów sądził się bezwątpienia tylko panem i posiadaczem dość osobliwej groty, której sekretu kazała mu strzedz prorocza przepowiednia. Potwierdzać to przypuszczenie zdawały się stosy kości ludzkich, które leżały po kątach. Czy było to miejsce grzebania plemienia, lub może służyła ta grotka, co jest bardzo możliwe, do obchodu straszliwych uroczystości, gdzie krew ludzka płynęła obficie przy ucztach kannibalicznych?

Barthesowi nasunęły się również podobne przypuszczenia i nachylając się ku towarzyszowi, szepnął po cichu:

— Tonaia wprawdzie zapewnia, że podczas jego panowania podobne obchody miej-

sca nie miały, lecz widok tych kości nie pozwalała mi ufać jego słowom.

Wskazał przytem palcem na stos olbrzymi świeżo złożonych kości, które nosiły ślady, że pokrywające je mięso było gotowane.

Wrażenie to niebawem jeszcze się wzmo-  
niło.

Król i jego goście dotarli do końca grotty gdzie widniało, zagłębienie rodzaj kapliczki przy katedrze. Mocna krata z drzewa zamykała wejście, poza którem w klatce drewnianej siedział więzień.

Klatka była tak małą, iż mógł on w niej siedzieć tylko skurczonym i ten przymusowy spokój miał zapewne na celu utuczenie nie-  
szczęśliwego.

Więźniem tym był Matakiti!

— To ty, ty ojczulku — wykrzyknął nie-  
szczęśliwy kafr w chwili, gdy poznał Cy-  
pryana. — Zabierz mnie stąd, uwolnij mnie!  
Wolę już wrócić do Griqualandu i być tam  
powieszonym, jak tu w tej klatce kurzej  
oczekiwać straszego zgonu, który mi zgo-  
tuje okrutny Tonaia zaczem mnie zje.

Słowa te wyjąkał tak przejmującym głó-  
sem, iż wzruszył Cypryana.

— Dobrze Matakicie — odpowiedział mu  
inżynier — mogę się postarać o uwolnienie





Więźniem tym był Matakít.

BIBLIOTEKA  
BN  
NARODOWA

twoje, ale zanim nie oddasz dyamentu, nie opuścisz tej klatki.

— Oddać dyament, ojczulku — zawołał Matakít — ależ ja go nie miałem nigdy, przysięgam! Mówił to z takim akcentem prawdy, iż nie można było wątpić w szczeróść jego słów.

Wiemy, że Cyprian już poprzednio niezbyt wierzył w przypisywane Matakítowi przestępstwo.

— Jeżeli zatem nie ukradłeś dyamentu, to czemuż uciekłeś? — badał go dalej:

— Dlatego — odpowiedział Matakít — bo po wykazaniu niewinności moich towarzyszy, powiedziano by na pewno, że to ja go ukradłem, a w Griqualandzie, wiesz pan dobrze o tem, nie robią długich ceremonii z wieszaniem kafra.

Skazują go zanim oskarżą! Przestraszyłem się i uciekłem przez Transwaal, jak prawdziwy winowajca.

— No, dobrze, wierzę ci — rzekł Cyprian — ale czy chcesz wrócić do Griqualandu i narazić się znowu na podejrzenia?

— Tak, wolę, niż tu zostać — rzekł biedak zdrętwiały z przerażenia.

— Bądź spokojny, mój przyjaciel postara się cię uwolnić.

Strzelec zwrócił się do Tonaia:

— Powiedz szczerze, co chcesz w zamian za tego więźnia?

Tonaia po krótkim namyśle rzekł:

— 4 sztuce, 10 razy po 10 nabojów do każdej i 4 woreczki szklanych pereł; to nie za dużo, nieprawdaż?

— To jest 20 razy za dużo, lecz Pharamond Baithes jest twoim przyjacielem i zrobi wszystko, aby ci swą życzliwość okazać.

Wyrzekłszy te słowa, namyślał się również przez chwilę i rzekł:

— Słuchaj Tonaia, dostaniesz, czego żądasz, ale dasz nam zato zaprzęg bawołów, potrzebną żywność i straż honorową, aby wszystkich tych mężów przeprowadzić przez Transwaal.

— Zgoda — odpowiedział Tonaia, wysoce zadowolony.

Więźnia wypuszczono zaraz na wolność, i nasyciwszy jeszcze raz oczy cudami groty, pozwolili sobie Pharamond, Cypryan i Matakkit zawiązać oczy i odwieść napowrót do pałacu Tonaia, gdzie z okazji zawartej umowy miała się odbyć wielka uroczystość.

Umówiono się jeszcze, że Matakkit nie zaraz powróci do Wandergaart-Kopii, tylko poczeka na wiadomości od Cypryana.

Bieg wypadków okaże, że ostrożność ta nie była zbyteczną.

Następnego dnia Cypryan, Pharamond, Li i Matakít wyruszyli pod liczną strażą z powrotem do Griqualandu.

Teraz nie można już było dłużej się ludzi że »Gwiazda Południa« była straconą i pan Watkins nie wyszle jej do Londynu, aby tam pośród najpiękniejszych klejnotów Anglii, blaskiem swym przewyższała wszystkie inne.

---

## ROZDZIAŁ XX.

### Powrót.

John Watkins nigdy nie był w gorszym humorze, jak po odjeździe czterech pretendentów w pościg za Matakitem.

Każdy dzień, każdy tydzień, który mijał, odbierał mu nadzieję odzyskania swego klejnotu, oprócz tego brakowało mu zwykłego towarzystwa i tęsknił za Hiltonem, Friedlem, Pantalaccim, a nawet Cypryanem.

Skracał sobie czas oczekiwania dzbanem dżynu, a zwiększona ilość alkoholu nie wpływała wcale łagodząco na jego charakter.

Przytem niepokoił się o losy ekspedycyi, bo Bardik, ujęty w niewolę przez bandę kafrów po paru dniach powrócił na fermę i opowiedział o tragicznej śmierci Friedla i Hiltona.

Była to zła przepowiednia dla Pantalacciego i Cypryana.

Alicya także czuła się bardzo nieszczęśliwą. Nie śpiewała już i pianino zamilkło. Nie interesowała ją też już tak bardzo trzódka strusi, nawet Dada nie bawiła jej więcej swą żarłocznością, i ptak połykał bezkarnie najróżnorodniejsze przedmioty.

Pewnego wieczora, w trzy miesiące od czasu wyruszenia ekspedycyi, siedziała Alicya, haftując przy świetle lampy obok ojca, pograżonego w swym fotelu z nieodstępnym dzbanem.

Z pochyłą nad robotą główką smutnie dumiała Alicya, gdy zapukano nagle do drzwi.

— Proszę wejść — odpowiedziała zdziwiona, że ktoś ich odwiedza o tak spóźnionej porze.

— Oto jestem, panie Watkins — zabrzmiał głos Cypryana.

Był to w samej rzeczy Cypryan, lecz jaki blady, zmizerowany, z długą brodą i zniszczonem przez uciążliwą podróż ubraniem.

Pomimo to oczy mu wesoło błyszcząły i uśmiechały usta.

Alicya stłumiła prędko okrzyk zdziwienia i radości, wyciągnęła w milczeniu obie ręce na powitanie przyjaciela.

Rozbudzony ze swej drzemki pan Watkins, tarł sobie oczy i pytał, co nowego zaszło. Upłynęło parę minut zanim fermer zdołał zebrać myśli i, zrozumiawszy nareszcie jakiego ma gościa, zawołał:

— A dyament?

— Dyament, niestety, nie wrócił!

Cypryan w krótkich słowach odpowiedział szczegóły wyprawy, śmierci towarzyszy, pobytu u Tonaia, nareszcie powrotu, zamilczając naturalnie o Matakicie. Zauważył tylko, iż jest przekonany o jego niewinności.

Nie zapomniał wspomnieć o dowodach przywiązania Bardika, Liego i przyjaźni Pharamonda Barthesa. Podczas opowiadania rzucił zasłonę na zbójcekie zamiary rywali, nie mówił też, do czego był zobowiązany przysięgą, o grocie cudownej. Tonaia, kończył Cypryan swą opowieść, dotrzymał swych zobowiązań. W dwa dni po mojem przybyciu do stolicy, przygotowano potrzebną ilość żywności i zaprząg oraz eskortę. Pod dowództwem samego króla towarzyszyło nam 300 czarnych, obładowanych mąką i wędzonem

mięsem aż do miejsca, gdzieśmy wóz zostawili. Znaleźliśmy go w dobrym stanie, pod gałęziami, któremi go przykryto.

Pożegnaliśmy naszego gościnnego gospodarza i wręczyliśmy mu zamiast przyrzeczonych czterech, pięć sztuców i spory zapas nabojów. Z takim uzbrojeniem władca kraju pomiędzy rzekami Zambezi a Limpopo będzie niezwykniętym.

— A dalszą podróż jakżeś pan odbył? — zapytała miss Watkins.

— Posuwaliśmy się wprawdzie powoli, lecz bez wypadków. Straż opuściła nas dopiero na granicy Transwaalu, gdzie i Pharamond Barthes nas pożegnał, udając się ze swemi Bassutami do Durbanu.

Po czterdziestu dniach wędrówki przez Veld, przybywam niestety bez rezultatu.

— Dlaczego więc uciekł Matakiti? — pytała panna Watkins, słuchając z zajęciem; śmierć zaś trzech towarzyszy Cypryana nie zdawała się jej martwić zbyt wiele.

— Ze strachu — odparł Cypryan.

— Czyż niema sprawiedliwości w Griqualandzie? — oburzył się fermer.

— O, często aż do zbytku, lecz nie dziwię się wcale, iż biedak widząc wzburzone umysły, wywołane zniknięciem dyamentu, wołał się na pewien czas usunąć.



— I mnie to nie dziwi — potwierdziła Alicya.

— W każdym razie zapewniam państwo, iż jest niewinnym i spodziewam się, że go zostawią na przyszłość w spokoju.

— Hm — mruczał pan Watkins widocznie nie przekonany — czy nie sądzisz pan, iż ten przebiegły kafr udaje tylko strach, chroniąc się przed policją?

— Nie, on jest niewinny, takie jest moje przekonanie, i zdaje mi się, że je drogo opłaciłem — rzekł pewnym głosem Cyprian.

— Ha, zostań pan przy swem przekonaniu, a ja zostanę przy swoim — zawołał pan Watkins.

Alicya przerwała nieprzyjemny obrót, jaki wzięła rozmowa.

— Ale, czy wiesz, panie Méré, że pański claim podczas twej nieobecności stał się bardzo wydatnym i współnik twój Tomasz Steele jest na drodze do zrobienia majątku.

— Nic nie wiem, pierwszą wizytą moją było udanie się do pani, z nikim dotąd się nie widziałem.

— Zapewne pan jeszcze bez obiadu? — zapytała Alicya.

— Przyznaję się, że tak jest w istocie — odparł Cyprian.

— Oh, nie odejdiesz pan stąd, niejadł-

szy go. Rekonwalescent, i po tak uciążliwej podróży, bez obiadu do 11-ej godziny wieczorem!

Nie zważając na wymawianie się Cypryana, Alicya wybiegła do spiżarni i wkrótce wróciła, niosąc na tacy kilka talerzy z zimnem mięsiwem i doskonały tort brzoskwiniowy własnej roboty. Postawiła to wszystko przed zaambarasowanym Cypryanem i gdy ten nie tak prędko zabrał się do jedzenia, rzekła, śmiejąc się wesoło:

— A może panu pokrajać?

Widok przysmaków wywołał także apetyt pana Watkina i poprosił Alicyę o porcję biltonga (rodzaj konserwy ze strusia); Alicya zajała migdały.

Improwizowana uczta była wyborna. Nigdy Cypryan nie uczuwał takiego apetytu. Trzy razy nabierał tortu, wypił dwie szklanki wina i aby ukoronować dzieło, zgodził się nawet skosztować dżynu pana Watkina, który, mówiąc nawiasem, drzemał już na dobre.

— Czem się pani zajmowała przez te trzy miesiące? — pytał Cypryan Alicyę — obawiam się czyś pani chemii już zupełnie nie zapomniała.

— Oh, mylisz się pan — odparła z wyrzutem. — Pracowałam pilnie, a nawet pozwoliłam sobie na robienie niektórych doświad-

czeń w laboratoryum pańskim. Ale uspokój się pan, nic tam nie stłukłam i wszystko znajduje się w najlepszym porządku.

Mówiąc szczerze, naukę chemii uwielbiam i nie rozumiem, jak mogłeś ją pan porzucić dla kopania lub wędrówki po Veldzie.

— Jakto, okrutna panno Alicyo, pani nie-wiesz dlaczego to zrobiłem?

— Nic nie wiem — odpowiedziała, rumie-niąc się mocno Alicya. — Ja na pańskim miejscu, tworzyłabym dyamenty, zamiast ich szukać. To lepiej odpowiada godności uczo-nego.

— Czy to rozkaz, który mi pani udziela? — pytał drżącym głosem Cyprian.

— O nie, tylko prośba. Ach, panie Mère, gdybyś wiedział, jak czułam się nieszczęśliwą, widząc cię narażonym na tyle niebezpie-czeństw i wysiłków! Nie znałam wprawdzie szczegółów, ale sobie całość wyobrażałam.

Czyż mężczyzna, mówiłam sobie, tak wy-kształcony, tak zdolny, ma być narażonym na śmierć marną w pustyni od ukąszenia węża lub łapy tygrysa? Prawdziwą to było zbrodnią pozwolić panu wyjechać! A czyż nie miałam słuszności? Czyż nie jest to cud, że pan żywym i całym powrócił do nas? A bez przyjaciela swego Pharamonda, któ-rego, oby nieba zato wynagrodziły... — nie-

dokończyła zdania, lecz dwie duże łzy błyszczące w jej źrenicach, wyrażały jasno myśl niedokończoną.

Cypryan był bardzo wzruszonym.

— Te dwie łzy — rzekł — są mi cenniejsze nad wszelkie dyamenty na świecie i dla nich poddałbym się daleko jeszcze większym niebezpieczeństwom.

Było już po północy gdy Cypryan, pożegnawszy się z panną Alicją, wrócił do swego mieszkania. Zastał tam pakiet listów, które mu miss Watkins starannie ułożyła na biurku. Trzymał listy w rękę, nie mając odwagi otworzyć ich. Co mogą zawierać? Czy nie przynoszą one wiadomości o jakim nieszczęściu? Co porabia ojciec, matka i mała siostrzyczka, Joanna?

Boże, co wszystko mogło zajść przez te trzy miesiące!

Przebiegłszy nareszcie oczyma treść listów i wyczytując z nich tylko pomyślne wiadomości, Cypryan odetchnął swobodnie.

Jego przełożeni winszowali mu pomysłowej teorii powstawania dyamentu i pozwalali zostać w Griqualandzie jeszcze pół roku, jeżeli uważał to za potrzebne dla nauki.

Wypadki układały się po jego myśli i Cypryan zasnął tak zadowolonym, jak mu się to dawno nie zdarzyło.

Dzień następny zeszedł inżynierowi na odwiedzeniu znajomych. Był u Tomasza Steele, który go przyjął bardzo serdecznie, w rozmowie postanowili, że Li i Bardik będą na nowo pracowali w kopalni. Cypryan chciał im odstąpić część jej, aby sobie mogli uzbierać trochę grosza. On sam nie myślał więcej pracować w kopalni, doszedł bowiem do przekonania, że to nie jego zadanie.

Zbyt był uczciwym, aby łamać słowo dane Tonai i zużytkować wiadomości posiadane o cudownej grocie; istnienie jej utwierdziło go jednakże w prawdziwości teorii krystalizowania się dyamentów, i z tem większym zapalem zamierzał przystąpić do nowych prób.

Podjął więc na nowo życie swe dawniejsze w laboratoryum a zapal jego zwiększyły jeszcze zachęcające słowa miss Alicyi.

Pan Watkins od czasu zniknięcia dyamentu ani słowem nie wspomniał o obietnicy związku Cypryana z Alicyą. Można jednak było przypuścić, że, jeśli się uda młodemu inżynierowi stworzyć kamień, wartości milionowej, przypomni sobie o danem przyrzeczeniu.

Zabrał się tedy z zapalem do nowej próby; postarał się o rurę, dającą rękojmię trwało-

ści, powtórzył poprzednie doświadczenie i poruczył Bardikowi utrzymywać ogień w piecu w równej mierze.

Potem zabrał się do drugiej pracy, którą chciał ukończyć przed powrotem do Paryża. Chodziło mu mianowicie o pomiary obniżenia poziomu doliny w stronie północno-wschodniej.

Obniżenie to przypisywał działaniu wód w epoce formowania się tu dyamentów.

Przez sześć dni zajmował się tą pracą z drobiazgową akuracnością. Przenosił pomiary na plany i porównywał z mapą, kupioną w Kimberley. Dziwna jednak rzecz, że obliczenia te, pomimo kilkakrotnych sprawdzeń nie były zgodne. Doszedł do przekonania, że plan musiał być źle ułożony. Pewny ścisłości swych narzędzi mierniczych, zauważył Cypryan, iż na mapie angielskiej oznaczony punkt północny posuniętym był dość znacznie na północo-wschód, skutkiem tego naturalnie wszystkie inne linie były skrzywione.

— Aha, już wiem, skąd ten błąd powstał — zawołał inżynier. — Osły koronne, którzy stworzyli to arcydzieło, zapomnieli o zboczeniu igły magnesowej. A tu wynosi ono nie mniej jak  $29^{\circ}$  na zachód. Z tego wniosek, że linie jej szerokości i długości

powinny być przesunięte o 29° z zachodu na wschód.

Trzeba przypuścić, że do zrobienia tej mapy, Anglia nie przysłała tu swych najlepszych geometrów.

Dobrze. Errare humanum est! Niechaj ten potępi tych geometrów, kto w swoim życiu ani razu się nie pomylił.

W drodze do domu spotkał starego Wandergaarta i opowiedział mu o dziwnym rezultacie swoich pomiarów.

— Trzeba będzie — dodał — zrobić sprostowanie we wszystkich mapach tego kraju.

— Czy to prawda, co mi pan mówisz? — pytał dziwnie wzruszonym głosem, szlifierz.

— Naturalnie!

— Czy byłbyś pan w stanie udowodnić fakt ten przed odpowiednią władzą?

— Przed dziesięcioma władzami, jeżeli zajdzie potrzeba.

— A nikt nie będzie mógł panu dowieść fałszu?

— Chyba nie, bo dość jest wskazać na przyczynę omyłki. Nie brać w rachubę odchylenia igły magnesowej jest rażącym błędem.

Jacobus Wandergaart pożegnał wkrótce Cypryana bez zwrócenia uwagi tegoż, jak

dziwnie wzruszyła go wiadomość o tem, że mapy miejscowe są tak błędnie ułożone.

Po paru dniach Cypryan, przechodząc koło domku Wandergaarta, zauważył na drzwiach napis:

»W drodze — za interesami!«

---

## ROZDZIAŁ XXI.

### Sprawiedliwość wenecka.

Podczas następnych dni Cypryan całą swą uwagę poświęcił śledzeniu postępów przedsięwziętej próby. Spodziewał się, że tym razem powinna się krystalizacya prędzej dokonać, gdyż piec był lepiej zrobiony.

Rozumie się, że zarówno Alicya, jak i pan Watkins z ciekawością, choć z różnych pobudek, oczekiwali rezultatu próby. Jeżeli jednak pan Watkins i jego córka pobudzali Cypryana do próby tworzenia dyamentów, ludność Griqualandu nie była z tego zadowoloną.

Brakło wprawdzie dawnych przywódców w osobach Pantalacciego i Hiltona, lecz zostali towarzysze ich z równą siłą nienawidzący Cypryana za jego próby. Widywano



często gromady kopaczy, żywo rozprawiających i grożących podniesionemi pięściami przechodzącemu Cypryanowi.

— Nie damy się tobie zrujnować, odstęp od swych bezsensownych doświadczeń — wołano za nim.

Gdy jednakże Cypryan nie uląkł się tych pogroźek, postanowiono użyć silniejszych środków. Pewnego dnia, podczas chwilowej nieobecności Bardika, gromada ludzi w przeciągu chwil kilku zagasila ognisko, zburzyła piec, rozniosła mur i połamała narzędzia.

Całe urządzenie z takim trudem ustawione zburzonym zostało.

— Choćbym miał zginąć, zacznę wszystko jeszcze raz na nowo, a nie ustąpię! — wołał z uporem Cypryan — a łotrów tych zaskarżę o zniszczenie mojej własności.

Zobaczę, czy niema sprawiedliwości w Griqualandzie.

Była sprawiedliwość, ale nie taka, jakiej się spodziewał inżynier.

Nie opowiadając nikomu, nawet pannie Alicyi, przestraszonej już poprzedniemi pogroźkami, o zaszłym wypadku, usiadł Cypryan przy biurku i jednym tchem napisał skargę, którą nazajutrz miał wręczyć gubernatorowi Kapsztadu, poczem położył się uspokojony już zupełnie i zasnął niebawem. Spał już

z jakie trzy godziny, gdy nagle przebudziło go otwarcie drzwi w pokoju.

Pięciu ludzi zamaskowanych i uzbrojonych w rewolwery, trzymając w rękach latarki, stanęło rzędem przy jego łóżku.

Jeden z nich położył rękę na ramieniu Cypryana i ochryplym głosem zaczął czytać papier zapisany, który trzymał w ręku:

#### Do Cypryana Méré!

»Zawiadamiamy cię niniejszem, iż rada tajna złożona z 22 właścicieli Wandergaart-Kopii skazuje cię jednogłośnie w imię dobra ogólnego na śmierć, mającą nastąpić dziś, o 25 minut po północy.

Jesteś oskarżony, jako bezprawnie usiłujesz zrobić wynalazek, mający zniszczyć pracującą ludność w całym Griqualandzie.

Sędziowie w swej nieomyślnej mądrości uradzili, że wynalazek ten powinien być zniszczony, a jedyny człowiek o nim wiedzący, zabity; lepiej zgubić jednostkę, niż zniszczyć tysiące rodzin.

Dalej postanowiono udzielić ci dziesięciu minut czasu na przygotowanie się na śmierć; zostawić ci wybór rodzaju jej, a papiery twoje mają być spalone, wyjąwszy listów otwartych do rodziny; domostwo zaś zrównane z ziemią.

Tak niech się dzieje wszystkim zdrajcom«.

Cypryan początkowo uważał całe to zajście za niemądry żart, słysząc jednak groźne słowa wyroku, zadał sobie pytanie, czy ta ponura komedia, tak licująca z dzikimi tujejszymi obyczajami, nie jest czasem prawdziwą?

Człowiek trzymający go za ramię usunął wszelkie powątpiewania.

— Wstań pan natychmiast — mówił ostro — nie masz czasu do stracenia!

— To jest mord bezprawny — odrzekł Cypryan, ubierając się.

Był więcej oburzony niż wzruszony i z całym spokojem wyteżał swoją uwagę, chcąc po głosie poznać ludzi mu grożących.

— Czy zrobiłeś już wybór rodzaju śmierci? — nalegał znowuż zamaskowany.

— Nie mam potrzeby robić takiego wyboru, tylko protestuję przeciw podłej zdradzie, jakiej się chcecie dopuścić — odrzekł pewnym głosem Cypryan.

— Możesz protestować, niemniej powieszonym będziesz.

— Czy masz jeszcze jakie rozporządzenie?

— Żadnego, którego bym moim mordercom chciał powierzyć.

— A więc dalej, naprzód! — zakomenderował przywódca.

Dwóch ludzi stanęło po bokach Cypryana i mały orszak skierował się ku drzwiom, gdy zaszedł nieoczekiwany wypadek.

Pomiędzy zbójów z Wandergaart-Kopii rzucił się jakiś człowiek.

Był to Matakít. Młody kafr krążył czasami po nocy około obozowiska i dziś instyktownie poszedł za zamaskowanymi. Stojąc pod drzwiami wysłuchiwał rozmowy i rozumiał co grozi Cypryanowi. Nie pomysławszy o następstwach swego czynu, rzucił się do nóg Cypryanowi i, obejmując go, zawołał:

— Ojczulku, czemu ci ludzie chcą cię zabić?

— Dlatego, że zrobiłem sztuczny dyament — odrzekł Cypryan.

— Ach ojczulku, jakże się teraz wstydzę i żałuję mego postępowania — płacząc rzewnie, rzekł Matakít.

— Co to znaczy? — pytał Cypryan.

— Powiem wszystko — mówił urywanym głosem Matakít — niech cię na śmierć nie prowadzą, to ja jestem winowajcą, to ja włożyłem w piec ten duży dyament.

— Wyrzućcie tego gadułę — rozkazał przywódca bandy.

— Ależ powtarzam, że to ja włożyłem

dyament w aparat — objaśniał dalej Matakit. — Tak, tak, chciałem ojczulka oszukać, że mu się doświadczenie udało.

— Czy prawdę mówisz? — pytał Cyprian rozczarowany i zdziwiony.

— Ależ tak, sto razy tak, mówię szczerą prawdę.

Wyprostował się i, widząc skierowaną na siebie uwagę wszystkich, mówił prędko:

— Podczas wielkiego obrywu ziemi, gdy leżałem zagrzebany w głębi, znalazłem olbrzymi dyament. Myślałem właśnie, jak go najlepiej ukryć, gdy ściana mnie przywaliła, zapewne za karę. Gdy odzyskałem przytomność, leżąc w łóżku ojczulka, trzymałem jeszcze kamień w zaciśniętej dłoni. W pierwszej chwili chciałem go oddać, wstydziłem się jednak przyznać, że jestem złodziejem i postanowiłem czekać sposobności.

Niedługo później posadził mnie ojczulek do pilnowania pieca, w którym miał się dyament zrobić. Drugiego dnia pozostałem sam przy nim, gdy pękła rura.

Widziałem, że ojczulek zmartwi się tem nieudanem doświadczeniem, owinąłem więc czempredzej dyament garścią gliny, wsunąłem w rurę i przyprowadziłem piec do porządku.

Ach, jakaż to była radość, gdy ojczonek znalazł dyament!

Szalony śmiech pięciu zamaskowanych towarzyszył ostatnim słowom Matakita.

Cyprian naturalnie nie podzielał tej wesołości i ze zmartwienia przygryzł wargi. Nuta prawdy, brzmiąca w opowiadaniu młodego kafa, nie ulegała zaprzeczeniu. Daremnie wysiłał się inżynier na wyszukiwanie faktów, mogących zbić to twierdzenie, daremnie mówił do siebie:

Naturalny dyament roztopiłby się od gorąca panującego w piecu. Zdrowy rozsądek kazał przyznać, że osłona z gliny, która go otaczała, ochroniła go od żaru. A może też przebywaniu przez czas dłuższy w tem gorącu zawdzięcza on swój czarny kolor. Może rozplął się od żaru i później na nowo skryształizował.

Przypuszczenia te, jak błyskawica przemknęły przez umysł inżyniera, nie mógł jednak znaleźć ostatniego słowa zagadki.

— Przypominam sobie dokładnie — rzekł jeden z mężczyzn — że widziałem istotnie w tym pamiętnym dniu grudkę ziemi w ręku kafa, trzymał ją tak mocno, iż nie można było mu jej wyjąć.

— Tak, nie można dłużej wątpić — rzekł drugi — bo czyż to możliwe robić dyamenty?

Doprawdy byliśmy głupcami, wierząc w to! Zupełnie byłoby to tak, jakby kto chciał robić gwiazdy!

Znowuż zaczęli się śmiać.

Cypryan widocznie więcej cierpiał od ich obecnej wesołości, niż od poprzedniej surowości.

Po krótkim namyśle przywódca podjął na nowo:

— Jesteśmy zdania, panie Méré, że co do wyroku śmierci na ciebie wydanego, musimy się jeszcze zastanowić. Nie zapominaj jednakże, że wyrok ten wisi nad tobą! Słowo lub znak, którym uwiadomisz policję, a będziesz zgubionym bez ratunku!

Rozumnym cześć i chwała!

Wyrzekłszy te słowa wyszedł, a za nim jego towarzysze.

Ciemność zaległa na nowo pokój. Cypryan miał ochotę zadać sobie pytanie, czy to co przeżył, nie było przypadkiem igraszką fantazyi? Ikanie Matakita, który przykucał na podłodze, nie pozwalały wątpić o prawdziwości faktów.

A więc, było to prawdą! uniknął śmierci, lecz za cenę jakiego upokorzenia! On, inżynier, wychowaniec politechniki, wybitny chemik i znany już geolog, dał się oszukać przez figiel ograniczonego kafa!

Lecz nie, to jego próżność, zarozumiałość bez granic, splatały mu tego figla! Był pewny, że odkrył teorię krystalizacji! Czy może być coś bardziej śmiesznego! Czyż to nie rzecz natury wyłącznie, aby przy pomocy całych stuleci uskuteczniła podobne przetwory?

A jednak, trudno było nie dać się złudzić taką oczywistością! Przygotował doświadczenie tak logicznie, spodziewał się udania tegoż. Wyjątkowe rozmiary kamienia przyczyniły się do utwierdzenia w ułudzie.

Nawet taki Deprez podzielałby niechybnie to złudzenie. Czyż takie omyłki nie zdarzają się codziennie? Czyż nie widzimy doświadczonych numizmatyków, jak przyjmują liczmany za dobrą monetę? Cypryan drogą powyższych porównań starał się nieco uspokoić, nigdy więcej nic podobnego nie popełni.

Tak się skończyło to nocne zajście, które mogło przyjąć smutny obrót.

Naturalne pochodzenie »Gwiazdy Południa«, znalezionej i ukrytej po prostu przez kafra, odnowiło rany po stracie jej w sercu pana Watkinsa.

Na nowo rozległy się jego narzekania, i posądzenia, że tylko Matakít mógł dyament skraść podczas uczty.



Daremnie bronił Cypryan swego sługi, nie mógł przekonać fermera.

Znudzony powtarzanemi napaściami, rzekł nareszcie:

— Wierzę w uczciwość kavra, a zresztą rzecz ta mnie tylko obchodzić może i powinna, bo wszakże klejnot był moją własnością, zanim go ofiarowałem pannie Alicyi.

— Tak, niewątpliwie — rzekł ironicznie fermer.

— Naturalnie — odrzekł Cypryan — czyż go Matakít nie znalazł w moim claimie?

— Prawda, lecz niemniej dyament jest moją własnością na mocy koncesyi, która brzmi: pierwsze trzy dyamenty większe oddane być winny właścicielowi kopalni.

**Na to Cypryan nie miał odpowiedzi.**

— **A co, czy mam rację?** — zapytał Watkins.

— **Zupełną** — wyjąkał zmieszany Cypryan.

— **Byłbym panu wdzięczny za poświadczenie tych słów na piśmie, bo może odnajdzie się kamień, tak bezwstydnie skradziony.**

Cypryan wziął papier i napisał:

»Przyznaję niniejszem, że znaleziony w mojej kopalni przez służącego u mnie kavra dyament, stosownie do umowy jest własnością pana Johna Watkina«.

Cypryan Méré.

Okoliczność ta za jednym zamachem unicestwiła marzenia Cypryana.

Jeżeli dyament się odnajdzie, będzie on prawną, a nie darowaną przez niego własnością Watkinsa, a jego milionowa wartość nie wypełni przepaści, dzielącej go od Alicyi.

Również źle stała sprawa Matakita, bo fermer kradzieży nie przebaczy.

Biedaka związano, uwięziono i po upływie 12 niespełna godzin osądzono, skazując go na powieszenie, jeżeli przed upływem 24 godzin kamienia nie wróci.

Starania Cypryana nic mu nie pomogą, bo dyamentu oddać nie może, ponieważ go faktycznie nie wziął. Cypryan daremnie myślał nad sposobem uratowania nieszczęśliwego, w którego winę uwierzyć nie mógł.

---

## ROZDZIAŁ XXII.

### Nowy rodzaj kopalni.

Wypadki zaszłe ubiegłej nocy doszły także do wiadomości miss Watkins.

— Ach, panie Cypryanie — mówiła do niego dobra dziewczyna — martwisz się pan

niepotrzebnie. Czyż życie pańskie nie warte tyle, co dyament?

— Droga panno Alicyo... ale

— Nie myślmy już o tem i proszę nie wracaj pan więcej do doświadczeń.

— Rozkazuje mi to pani? — pytał Cypryan.

— Tak, tak, zabraniam panu teraz zajmować się niemi, jak poprzednio kazałam, jeżeli już mam prawo rozkazywać panu.

— Wykonam wszelkie rozkazy od pani pochodzące — zapewniał Cypryan, ściskając podaną sobie rączkę.

Dowiedziawszy się potem o wyroku zapadłym na Matakita, była niepocieszoną, szczególnie martwił ją w tem udział jej ojca. W winę kafra również, jak Cypryan nie wierzyła i chętnieby się przyczyniła do uwolnienia biedaka.

Lecz jak się wziąć do tego? Jak wzbudzić litość w jego oskarżycielu, panu Watkinsie.

Dodać musimy, że fermer nie mógł uzyskać żadnych zeznań od Matakita, ani groźbą wyroku, ani obietnicą uwolnienia.

Pozbawiony nadziei odzyskania kiedykolwiek »Gwiazdy Południa«, stał się niemożliwym, obawiano się mówić z nim. Pomimo to córka zdecydowała się udać jeszcze z przedstawieniem do niego.

Nazajutrz po wyroku mniej trapiiony przez podagrę chciał zużytkować wolną chwilę, aby uporządkować swe papiery.

Siedząc w fotelu przed pięknym biurkiem, przeglądał kolejno liczne dokumenty własności i kontrakty. Obok niego Alicya była pochyloną nad haftem i mało zwracała uwagi na Dade, która podług zwyczaju stąpała dumnie po pokoju i rozumnymi oczami śledziła czynności pana Watkina i jego córki.

Naraz głośny okrzyk pana Watkina zmusił Alicyę do obejrzenia się.

— To zwierzę staje się codzień nieznajdźniejszym, porwało mi ważny pergamin!

— Dada!... tu!... oddaj mi to zaraz!

Po chwili wymyślał w dalszym ciągu:

— Ach, to wstrętne zwierzę połknęło go, dokument tak ważny, oryginał dekretu, nadającego mi prawo własności na eksploatawanie Kopii! To nie do wytrzymania! Ale ty mi to oddasz, choćbym miał cię udusić. — Czerwony z gniewu puścił się fermer w pościg za Dada.

Ta, okrążywszy dwa razy pokój, wydołała się przez otwarte okno na dwór.

— Drogi ojczy — prosiła Alicya — uspokój się, zachorujesz znowu ze zmartwienia!

Wściekłość pana Watkina dosięgła szczytu. Ucieczka Dady dopełniła miary.

— Nie — zawołał na wpół zduszonym głosem — tego już zawiele! Trzeba to raz zakończyć! Nie dam się pozbawić najważniejszego dokumentu.

Pigułką ołowianą nauczę rozumu tę złodziejkę! Odbiorę mój pergamin, moje słowo na to!

Alicya płacząc postępowwała za nim. Prośby nie pomogły, fermer wziął broń nabitą i, spostrzegłszy Dade, idącą w kierunku domku, zamieszkanego przez Cypryana, dał ognia.

Ptak, jakby domyślając się czarnych zamiarów fermera, schronił się poza domem.

— Czekaj, czekaj, już ja cię dostanę, przebrzydłe zwierzę — wymyślał pan Watkins, idąc za nią.

Naturalnie Alicya nie odstępowała ojca, prosząc go o zmiłowanie się nad ulubionym ptakiem. Doszli tak do domku, lecz Dada znikła, Watkins zapukał do drzwi, domyślając się, że tam się schroniła.

Cypryan we własnej osobie drzwi otworzył.

— Ach pan Watkins... panna Alicya... jakże mi przyjemnie powitać u siebie — rzekł zdziwiony nieoczekiwaną wizytą.

Bez tchu opowiedział mu fermer cel ich przybycia.

— W takim razie pomogę panu szukać

winowajczyni — rzekł, zapraszając do wejścia.

— Wnet ja tę sprawę zakończę — wołał fermer, wywijając groźnie bronią.

Jednocześnie błagalne spojrzenie Alicyi objaśniło Cypryana, jak dziewczę boi się zapowiedzianej egzekucyi.

— Li — rzekł Cypryan do chińczyka, który wszedł właśnie, po francusku — struś pewnie się schował do twego pokoju, zwiąż go, lecz w ten sposób, aby mógł umknąć, podczas gdy ja poprowadzę pana Watkina w przeciwną stronę.

Piękny ten plan niestety nie mógł być wykonanym, bo Dada schroniła się do pierwszego pokoju, do którego właśnie weszli.

Skurczyło się biedactwo w poczuciu swej winy, schowało głowę poza krzesło, myśląc, że tem staje się niewidzialną.

Pan Watkins rzucił się na nią.

Pomimo wściekłości, która nim miotała, zastanowił się jednak nad niewłaściwością strzelania w cudzym domu.

Alicya płacząc, odwróciła się, aby nic nie widzieć.

Jej żal natchnął Cypryana zbawczą myślą.

— Panie Watkins — rzekł nagle — chodzi panu tylko o zwrot dokumentu, wszak prawda? Otóż dostaniesz go bez zabicia Dady.

Wystarczy rozcięcie żołądka lub gardzieli. Pozwoli mi pan podjąć się tej operacji? przechodziłem niegdyś kurs w zoologicznem muzeum i spodziewam się, iż dobrze się wywiążę z tej roboty chirurgicznej.

Watkins zgodził się.

Przy pomocy Bardika i Liego związano silnie Dade, poczem Cypryan, aby jej oszczędzić bólu i aby się podczas operacji nie brońiła, obwiązał jej głowę chustką napojoną chloroformem.

Prowadząc palcem po szyi, doszedł do wydatnego gardziela, ostrym scyzorykiem przeciął luźno wiszącą zwierzchnią skórę, usunął na bok arterye i przeciął tkanki białe jak masa perłowa.

Gardziel Dady wyglądała jak mocno wydęta kieszeń, gdzie mieściła się pasza i przedmioty połykane przez nią poprzedniego dnia, a może i dawniej.

Pierwsze spojrzenie na silny i zdrowy ten organ pozwalał przypuszczać, że mechaniczne zagłębienia w nim nic mu nie zaszkodzą.

Otwór dość duży pozwolił Cypryanowi wsunąć rękę do środka. Zaraz też wy dostał zwinięty w kulę, lecz nieuszkodzony dokument pana Watkina.

— Ale tu jeszcze różne różności się znaj-

dują — rzekł Cyprian, wsuwając rękę powtórnie i wydobyl kulę z kości słoniowej.

Kulę tę połknęła przed pięciu miesiącami, lecz widocznie nie mogła przejść ona przez dolny otwór gardzieli.

Odkładając kulę na bok, czynił dalsze poszukiwania, jak archeolog w obozowisku rzymskiem.

— Mosiężny lichtarzyk — meldował zdziwiony, pokazując zgnieciony i podrapany sprzęt domowy.

Bardika i Liego ogarnął tak wesoły śmiech, że zwabił do pokoju Alicyę.

— Złota moneta, klucz, grzebień — wywoływał Cyprian, wyjmując po kolei rzeczzone przedmioty.

Nagle zbladł.

Palce jego ujęły przedmiot dziwnych kształtów, nie... czyż to być może?

Nareszcie podniósł rękę wraz z trzymanym przedmiotem.

Pan Watkins głośno krzyknął:

— »Gwiazda Południa«.

Tak, sławny dyament, nieuszkodzony wcale odnalazł się i promieniał w blasku dziennym, jak świetna gwiazda!

— Tylko rzecz dziwna zmienił kolor — zauważono ogólnie.

O ile poprzednio była hebanowo czarną,



»Gwiazda Południa« świeciła teraz różowo, tak pięknym różowym kolorem, że powiększało to jeszcze jej przejrzystość i podnosiło blask.

— Sądysz pan, że przez to dyament straci na cenie? — pytał fermer po pierwszych wybuchach radości.

— Wcale nie — zapewniał go Cypryan — przeciwnie, zyskuje na tem, bo zaliczyć go teraz można do rodziny »dyamentów Kameleonowych«. Widocznie mu w podgardlu Dady zimno nie było; tem wytłomaczyć można zmianę koloru.

Szczegół ten już nieraz rozpatrywały uczone towarzystwa i zgodzono się, że zjawisko wywołać można nagłą zmianą temperatury.

— Dzięki niebu, odnalazłem cię zatem ty skarbie mej duszy — powtarzał pan Watkins, ściskając w rękę klejnot, aby się upewnić, że to nie sen. — Tyle mi wyrządziłeś przykrości swem zniknięciem, że cię więcej z rąk nie wypuszczę.

Podniósł go w górę, pieszcząc się nim i zdawało się, że na wzór Dady gotów jest go połknąć.

Cypryan tymczasem igłą, nawleczoną mowaną nitką, zaszył starannie otwór w gardzieli, następnie skórę szyi i uwolnił Dadę z więzów.

Bardzo zmęczona, jakby zawstydzona, leżała Dada spokojnie, nie okazując chęci do ucieczki.

— Czy ona wyzdrowieje? — pytała Alicya, widocznie więcej zmartwiona stanem ulubienicy, niż ucieszona odnalezionym kamieniem.

— Z pewnością wyzdrowieje — zapewniał Cypryan — nie byłbym się podjął operacji, gdybym nie wierzył w powodzenie. Ręczę pani, że po trzech dniach śladu rany nie będzie i że Dada przed upływem dwóch godzin, nie zaniedba nanowo napełnić dziwacznej kieszeni, którą właśnie opróżniliśmy.

Alicya, uspokojona temi słowy, podziękowała Cypryanowi wdzięcznym spojrzeniem.

Pan Watkins dość już nacieszył się swym kamieniem i zwracając się do Cypryana, rzekł wyniośle tonem majestatycznym.

— Panie Méré, oddałeś mi wielką usługę i niewiem czem się za nią wywdzięczę.

Serce Cypryana poczęło bić mocno.

Czem wywdzięczyć? O, pan Watkins posiadał na to dobry środek. Czy mu tak trudno przypomnieć sobie przyrzeczenie dane przed wyjazdem, że kto mu wróci klejnot, temu odda rękę córki swej, a czyż go mu nie wrócił, chociaż nie w Transwaalu go znalazł?

Cypryan mówił do siebie, za dumny wypowiedzieć słowa te głośno. Zresztą pewnym

był, że pan Watkins o przyrzeczeniu sam sobie przypomni.

Tymczasem fermer sprawy tej wcale nie poruszył, tylko pożegnał zimno Cypryana i dał znak córce, aby za nim udała się do domu.

Matakita naturalnie zaraz uwolniono. Nie wiele jednakże brakło, aby biedak przepłacił życiem szczególny apetyt strusia.

Dzięki szczęśliwemu trafowi ocalał w ostatniej chwili.

---

## ROZDZIAŁ XXIII.

### Przerwana uczta.

Szczęśliwy odnalezieniem »Gwiazdy Południa«, Watkins postanowił wyprawić z okazji tej wspańiałą ucztę.

Przedsięwzięto możliwe środki zabezpieczenia klejnotu i Dady na ucztę nie zaproszono.

Następnego dnia, po południu, przygotowania były w pełnym biegu.

Rzeźnicy zwozili zapasy mięsa, mogące nakarmić pułk piechoty i pan Watkins nie spoczął, póki wszelkie likiery, wina, owoce

i jarzyny wszystkich kantyn w okolicy nie przeniosły się do jego kuchni.

O godzinie 4-ej stół był nakryty. Bateria butelek stała we wzorowym porządku na bocznym stole, a pieczenie wołowe i jagnięce pachniały z pieców.

O 6-ej zaczęli się schodzić goście. O 7-ej gwar był tak wielki, że kapeli muzycznej nie udało się go przygłuszyć.

Obecnym był także Mathys Pretorius, znacznie spokojniejszy od czasu jak nie miał potrzeby obawiać się conceptów Pantalacciego, Tomasz Steele, kupiec Natan, fermerzy, kopcze, kupcy i urzędnicy.

Na prośby Alicyi zjawił się też Cyprian i zajął miejsce obok niej. Oboje nie byli w zbyt dobrym humorze, bo 50-krotny milioner pan Watkins ani myślał o oddaniu ręki córki zwyczajnemu inżynierowi, który nawet nie umiał »robić dyamentów«. Egoista nie pomny, że z ręki jego otrzymał bogactwo, lekcewałyl obecnie młodego człowieka i dawał mu to uczuć.

Przed szczęśliwym fermerem, a więc nie za nim, jak podczas poprzedniej uczty, błyszczała »Gwiazda Południa«, leżąc na niebieskiej aksamitnej poduszce pod szklannym kloszem. Nadto dla zabezpieczenia jej klosz otoczony był siatką z mocnych drutów.

Spełniono już kilkanaście toastów na cześć Gwiazdy.

W sali stawało się gorąco nie dowytrzymania.

Nagle, trzy silne uderzenia we drzwi przerwały gwar rozmowy.

— Proszę wejść — wołał pan Watkins — ktoby to nie był, będę mu rad, o ile tylko jest spragniony.

Na progu zjawiała się wysoka, chuda postać J. Wandergaarta.

Goście byli zdziwieni, znano ogólnie nieprzyjaźń, dzielącą dwóch sąsiadów i w zjawieniu się nieoczekiwanem Wandergaarta, przeczuwano przykre zajście.

Cisza zaległa obszerną salę. Wszystkie spojrzenia skierowały się na siwowłosego, staro szlifierza, ten zaś stał milcząc ze skrzyżowanymi ramionami, w wysokim kapeluszu na głowie i w długim czarnym paltocie.

Pan Watkins uczuł nieokreślony strach, dreszcz go przeszedł. Fermer gwałtem otrząsnął się z przykrych przeczuć.

— He, ależ to długo trwało zanim sąsiad zdecydowałeś się zrobić mi przyjemność zjawienia się w mym domku. Co za wiatr pomyslny sprowadza was do mnie?

— Wiatr sprawiedliwości, sąsiedzie Watkins — odpowiedział chłodno starzec. — Przy-

chodzę ci oznajmić, że sprawiedliwość po latach siedmiu nareszcie tryumfuje. Przychodzę ci powiedzieć, że godzina restytucyi nadeszła, a Kopia nosząca moje imię, i na przyszłość moją będzie. Johnie Watkins, to coś mi niedgdyś przemocą wydarł, prawo nakazuje ci teraz zwrócić.

O ile Watkins na razie był przestraszonym zjawieniem się Wandergaarta, o tyle teraz uparty i gwałtowny charakter jego, kazał mu stawiać czoło niebezpieczeństwu.

Oparł się mocno o poręcz fotelu i zaczął się śmiać pogardliwie.

— Ten biedak oszalał — rzekł, zwracając się do swych gości — wiedziałem już od dawna, że mu piątej klepki brakuje, lecz teraz, zdaje mi się, już na dobre zwaryował.

— Śmieje się dobrze, kto śmieje się ostatni — rzekł poważnie Wandergaart, wyciągając papier z kieszeni.

— Wszak wiesz Johnie Watkins, że wyrokiem przyznano ci grunty, leżące na zachód od 25° szerokości od Greenwich? A mnie grunty, leżące na wschód od tej linii?

— A tak, mój wesoly towarzyszu — kpił w dalszym ciągu Watkins i dlatego zrobiłbyś lepiej, idąc do domu położyć się do łóżka, zamiast tutaj uczciwym ludziom przerywać zabawę.

Jacobus Wandergaart rozwinął papier.

— Tu się znajduje objaśnienie — rzekł łagodnym głosem — przez królową Wiktoryę podpisane i przez gubernatora ogłoszone, a które dotyczy omyłki w mapach Griqualandu. Omyłka ta, którą popełnił przed 10 laty geometra, opuszczając z uwagi zboczenie igły magnesowej od punktu północnego, fałszuje wszystkie mapy i wszystkie pomiary gruntów podług niej sporządzonych. Następstwem obecnego sprostowania będzie przesunięcie linii szerokości o 3 mile na zachód. To urzędowe sprostowanie zapewnia mi zwrot mojej własności. To miałem ci do powiedzenia Johnie Watkins.

Czy fermer nie zrozumiał tego wyjaśnienia, czy udawał, iż nierozumie, dość, że raz jeszcze chciał się pogardliwym śmiechem pozbyć przeciwnika. Lecz śmiech jego brzmiał nienaturalnie i nie znalazł odgłosu u biesiadników.

Świadkowie tego zajścia pomimo woli przekonani zostali poważnym tonem mowy i wyglądem starego szlifierza.

Kupiec Natan pierwszy wmieszał się w ten spór.

— To, co mówi pan Wandergaart, może w istocie jest słusznem, omyłki przecież są

możliwe. Może lepiej będzie zażądać objaśnienia.

— Czekać na objaśnienia — krzyknął farmer, uderzając pięścią w stół — ja tu tylko mam prawo dać objaśnienia. Nie obchodzą mnie cudze wyjaśnienia! Czy ja jestem u siebie, czy nie jestem? Czy mnie nie przyznano prawa własności kopii, które ten stary krokodyl naruszyć się poważa!

Jeżeli mnie kto chce niepokoić w mojem prawie, zrobię, co już raz zrobiłem, pójdę do sądu i zobaczymy kto zwycięży.

— Sądy już się tu nie mają po co wtrącać — z niewzruszonym spokojem odrzekł Wandergaart — z przyznaniem omyłki na mapach, sprawa rozstrzygnięta.

Po tych słowach Wandergaart pokazał papier opatrzony stemplami.

Sytuacja Watkinsa stawała się nieprzyjemną, próbował śmiać się jeszcze, ale zaczynało już mu brakować odwagi, gdy wtem spojrzenie jego padło na »Gwiazdę Południa«.

— A gdyby nawet tak było — zawołał — gdyby mnie bezprawnie pozbawić chciano własności, której przez lat siedem używałem w spokoju, co mi to może zaszkodzić? Czy nie posiadam klejnotu, który mnie zabezpieczy od wszelkich trosk?



— Mylisz się — ponownie zauważył Wandergaart stanowczo — »Gwiazda Południa« należy do tego, do kogo należy kopalnia ze wszystkim, co się na jej gruntach znajduje. Meble tego domu, wino we flaszkach i mięso na talerzu; wszystko to jest moją prawną własnością, bo jest owocem przemocy, którą przed siedmiu laty popełniłeś. Bądź pewny, przedsięwzięłem wszelkie środki ostrożności.

Jacobus po tych słowach klasnął w dłonie. Natychmiast weszli konstable z oficerem na czele, oficer zbliżył się do stołu i położył rękę na krześle.

— W imieniu prawa — powiedział — ogłaszam, iż obejmuję w chwilowe posiadanie meble i wszelkie przedmioty, znajdujące się w tym domu.

Wszyscy powstali z wyjątkiem fermera, który jak gromem rażony pozostał w swym fotelu.

Alicya objęła go za szyję i starała uspokoić.

Wandergaart nie spuszczał oka ze swego przeciwnika. Przenosił wzrok swój kolejno z niego na »Gwiazdę Południa« i więcej w tym wzroku malowało się litości, niż nienawiści.

— Zrujnowany... zrujnowany!... — były to

jedyne słowa, jakie szeptały drżące wargi Watkinsa.

Wówczas zbliżył się do niego Cypryan i przemówił poważnym głosem:

— Panie Watkins, ponieważ majątek pański jest tak silnie zagrożonym, pozwól mi w tem widzieć możliwość zbliżenia się do jego córki. Mam zaszczyt prosić pana o rękę panny Alicyi!

## ROZDZIAŁ XXIV.

### **Gasnąca gwiazda.**

Słowa, wyrzeczone przez młodego inżyniera, wywołały ogólne wrażenie. Pomimo małej wrażliwości nieokrzesanych gości Watkinsa, nie mogli oni odmówić swego uznania podobnej bezinteresowności.

Ze spuszczonei oczami stała Alicya obok ojca, zapewne jedna w tej sali, której postępki Cypryana nie zadziwił.

Zmiażdżony jeszcze ciosem otrzymanym, fermer na razie nie odpowiedział, czuł wszakże, iż oddając Cypryanowi rękę Alicyi, zapewnia jej tem samem szczęśliwą i pewną przyszłość.

Nieco zmieszany swem wystąpieniem wobec tak liczного zgromadzenia, robił sobie Cyprian wyrzuty, iż porwać się dał uczuciu.

Pośród tego ogólnego zamieszania, Wandergaart podszedł do fermiera.

— Johnie Watkins, nie należę do rzędu tych, którzy pokonanego wroga depczą nogami. Poszukiwałem praw swoich, gdyż byłem to winien honorowi. Wiem jednak, że zbyt ściśle trzymanie się litery prawnej, może stać się okrucieństwem i karać niewinnych za błędy ich ojców.

Otóż, ja stoję nad grobem, na cóż mi skarby, jeśli nie mam ich z kim podzielić?

Jeżeli zatem zezwolisz na związek młodych ludzi, ofiaruję im jako podarek ślubny »Gwiazdę Południa«, obowiązując się nadto uczynić ich swoimi spadkobiercami, aby wynagrodzić krzywdę twej milej córeczce.

Słowa te wywołały głośne okrzyki uznania i podziwu wśród obecnych.

Oczy skierowano na Watkina, ten zaś ukrył łzy pod powiekami i zakrył oczy dłonią.

Watkins wybuchnął nareszcie, nie hamując już wzruszenia.

— Jesteś szlachetnym człowiekiem. Mścisz się w sposób wspaniałomyślny, krzywdą którą ci wyrządziłem, utrwalasz szczęście tych dzieci!

Alicya i Cypryan tylko spojrzeniem dziękować byli w stanie swojemu dobroczyńcy.

Starzec wyciągnął dłoń do dawnego wroga i Watkins pochwycił ją z wdzięcznością.

Oczy obecnych wilgotniały, nawet siwego konstabla, zwykle suche jak suchary okrętowe.

Watkins zmienił się nie do poznania. Rysy jego wyrażały teraz tyle dobroci i łagodności, jak poprzednio uporu i złośliwości. Srogi, poważne oblicze Wandergaarta rozjaśniło się dobrodusznie.

— Zapomnijmy o wszystkim — zawołał — pijmy za zdrowie młodej pary, jeśli pan oficer oswobodzi, zajęte pod sekwestr — wina.

Po tem żartobliwem przemówieniu zapanaowała ogólna wesołość w sali.

Jacobus Wandergaart siedział obok Johna Watkins i układali plany przyszłości.

— Sprzedamy wszystko i pociągniemy za dziećmi do Europy. Tam kupimy wiejską posiadłość i mam nadzieję, że jeszcze pięknych dni dożyjemy.

Cypryan tymczasem gawędził z Alicją po francusku i zdaje się, że młodzi dobrze bawili się rozmową, bo byli w bardzo wesołym usposobieniu.

Temperatura w sali stawała się nieznośną.

Gorąco i duszno było nieznośnie, a pomimo otwartych drzwi i okien najmniejszy wietrzyk nie kołysał płomienia świec.

Każdy czuł, że dusząca atmosfera musi się zakończyć wybuchem burzy gwałtownej, tak częstej w południowej Afryce.

Błyskawice też niebawem i grzmoty zwiastowały nadciągającą burzę.

W tejże chwili gwałtowny powiew zgasił wszystkie świece, poczem otworzyły się upusty niebios i deszcz ulewny, nakształt fal potopu, spadł na spieczoną ziemię.

— Czy nie słyszałeś, jak po uderzeniu pioruna nastąpił suchy odgłos, jakby pękła kula szklanna? — zapytał Tomasz Steele sąsiada.

Zamykano tymczasem spieszenie okna i zapalano świece.

Instynktownie spojrzenia wszystkich zwróciły się na miejsce, gdzie leżała »Gwiazda Południa«.

Dyament zniknął.

Klosz, który go nakrywał i metalowa siatka znajdowały się na poprzednim miejscu i wykluczały przypuszczenie, aby kto się mógł go dotknąć.

Zjawisko to prawie równało się cudowi.

Cypryan przybliżył się i, ujrawszy na niebieskiej poduszce lekki pył, krzyknął zdzi-

wiony, objaśniając zaszły wypadek w czterech słowach.

— »Gwiazda Południa« ulotniła się!

Znanem jest w Griqualandzie to ulatnianie się tamtejszych dyamentów.

Jest to właśnie ich wada, i wiedzą o niej wszyscy, lecz nie mówi się o tem, aby nie zepsuć cen. A właśnie duże kamienie po większej części trzaskają, zostawiając po sobie tylko pył. Przyczyny tego zjawiska dotąd nie wyjaśniono.

Młodego inżyniera zajęła chwilowo naukowa strona tego zjawiska więcej, niż strata materyalna, którą poniósł.

— Jest to bardzo dziwnem — mówił wśród ogólnego oszołomienia — nie to, że kamień pękł, lecz, że do tej pory wytrzymał. Zwykle zdarza się to daleko wcześniej, co najwyżej w 10 dni po oszlifowaniu, nieprawdaż panie Wandergaart?

— Tak jest, w istocie, po raz pierwszy w życiu widzę kamień, pękający w 3 miesiące po obrobieniu — potwierdził starzec wdychając. — Widocznie przeznaczonem było, aby »Gwiazda Południa« nie należała do nikogo. I pomyśleć tylko, że wystarczyłoby pociągnąć kamień lekką warstwą tłuszczu, aby zapobiedz temu nieszczęściu!

— Czyż tak? — przerwał mu Cypryan,

z zadowoleniem człowieka, który nareszcie znalazł ostatnie słowo zagadki. — W takim razie wszystko się wyjaśnia. Widocznie kruchy kamień zapożyczył tłuszczowej osłony w gardzieli Dady, i to go ocaliło do dnia dzisiejszego.

Prawdziwie lepiejby zrobił, gdyby pękł przed czterema miesiącami, oszczędziłby mi wówczas uciążliwej podróży przez cały Transwaal.

Wszyscy zauważyli, że John Watkins stradał znów swój wesoły humor i niespokojnie rzucał się w fotelu.

— Jak możesz tak spokojnie mówić o tem nieszczęściu — rzekł czerwony z oburzenia. — Na honor, mówisz o tych 50 milionach, które jak dym się ulotniły, jak gdyby chodziło o papieros.

— Dowodzi to, że jesteśmy filozofami — odparł Cypryan.

— Bądź pan filozofem, jeżeli chcesz — rzekł fermer. — 50 milionów pozostają jednak 50 milionami i na drodze ich nie znajdziesz.

— Ach, Jacobusie, oddałeś mi dziś ważną przysługę. Sądzę, że pękłbym z dumy, jak kasztan, gdyby »Gwiazda Południa« do mnie jeszcze należała.

— Czy i pani będzie mi wyrzuty robiła? —

zapytał Cypryan, patrząc na świeżą twarzą Alicyi. — Zdobyłem dziś tak szacowny klejnot, iż mnie strata dyamentu martwić nie może.

Ulotnienie się dyamentu, przyczyniło się do tego, że wśród ludności Griqualandu umocniły się przesadne baśnie, które o nim krążyły. Kafrowie i kopacze więcej niż kiedykolwiek byli przekonani, że duże kamienie przynoszą nieszczęście swym właścicielom.

Jacobus Wandergaart tak dumy z obrobienia »Gwiazdy Południa« i Cypryan, który ją miał zamiar ofiarować Muzeum szkoły górniczej, byli więcej dotknięci tem niespodziewanem rozwiązaniem, niż chcieli to przyznać.

Te następujące po sobie przykre wrażenia, strata majątku i »Gwiazdy Południa« podkopały zdrowie Watkinsa. Nie mógł powstać już z łóżka, chorował czas jakiś i zakończył życie. Ani troskliwa opieka córki i Cypryana, ani słowa pociechy Wandergaarta, nie zdołały przywrócić mu ochoty do życia ani zapobiedz katastrofie.

Daremnie Wandergaart zapewniał go o wspólności majątku, stary fermer zraniony w swej dumie, jako posiadacz wyjątkowego kamienia, straty jego przeżyć nie mógł.



Jednego wieczora przyciągnął Alicyę i Cypryana do siebie, połączył ich i nie mówiąc słowa wydał ostatnie tchnienie.

Wistocie musiał istnieć ścisły związek pomiędzy szczęściem tego człowieka a losami dziwnego kamienia.

»Gwiazda Południa« właścicielowi swojemu przyniosła bezwątpienia »nieszczęście«, jak mówiono w przesądnym Griqualandzie. Ukazanie się jej było początkiem upadku fermera.

Plotkarze jednakże nie mogli zrozumieć okoliczności, że nie »Gwiazda Południa«, lecz własne błędy były przyczyną upadku Johna Watkina.

Ilu nieszczęśliwych na tym padole uważa siebie za ofiarę nienawistnej gwiazdy, a poszukawszy dobrze, możnaby objaśnić niepowodzenie każdego z nich, własnymi jego błędami.

Gdyby Watkins był mniej chciwym i gdyby do małego kryształka, nazwanego dyamentem, nie przywiązywał tak wielkiej, karygodnej, wagi, wówczas pojawienie się i zniknięcie, »Gwiazdy Południa« nie przejęłoby go tak, jak nie wzruszyło Cypryana, — jego fizyczne i moralne zdrowie nie byłoby oddane na łaskę podobnego zjawiska. Poświęcił dya-

mentowi całą swą istność, przez niego też zginął.

Po kilku tygodniach obchodzono skromnie uroczystość zaślubin Cypryana z Alicją i młoda para czuła się niewymownie szczęśliwą.

Znalezienie »Gwiazdy Południa« przyczyniło się do znacznej podwyżki ceny kopalni. Nabywcy wydzierali ją sobie formalnie i przed wyjazdem do Europy Cypryan sprzedał ją za 100,000 franków.

Młoda para, nie zatrzymując się dłużej, opuściła Griqualand, zabezpieczywszy poprzednio przyszłość Bardika, Liego i Matakita. Do dobrego tego uczynku przyczynił się także Jacobus Wandergaart.

Stary szlifierz sprzedał swoją Kopię towarzystwu, które zawiązał kupiec Natan i po przeprowadzeniu likwidacyi, pospieszył do Francyi, do swoich przybranych dzieci.

Dzięki pracowitości Cypryana i zasługom przezeń położonym, świat naukowy zgottał mu owacyjne przyjęcie za jego powrotem do kraju.

Znalazł się też w dobrych warunkach materialnych, zabezpieczywszy sobie poprzednio zadowolenie serca.

Tomasz Steele wrócił do Lancashiru z 20 tysiącami funtów, ożenił się i poluje na lisy

pomimo zakazu, wypija nadto co wieczór  
flaskę portweinu. Więcej mu do szczęścia  
nie potrzeba.

Wandergaart-Kopia nie jest jeszcze wy-  
czerpaną i dostarcza corocznie piątą część  
dyamentów, wywożonych z Przylądka Dobrej  
Nadziei; żaden jednak kopacz nie był o tyle  
szczęśliwym, albo i nieszczęśliwym, aby zna-  
leźć drugą »Gwiazdę Południa«.

KONIEC.



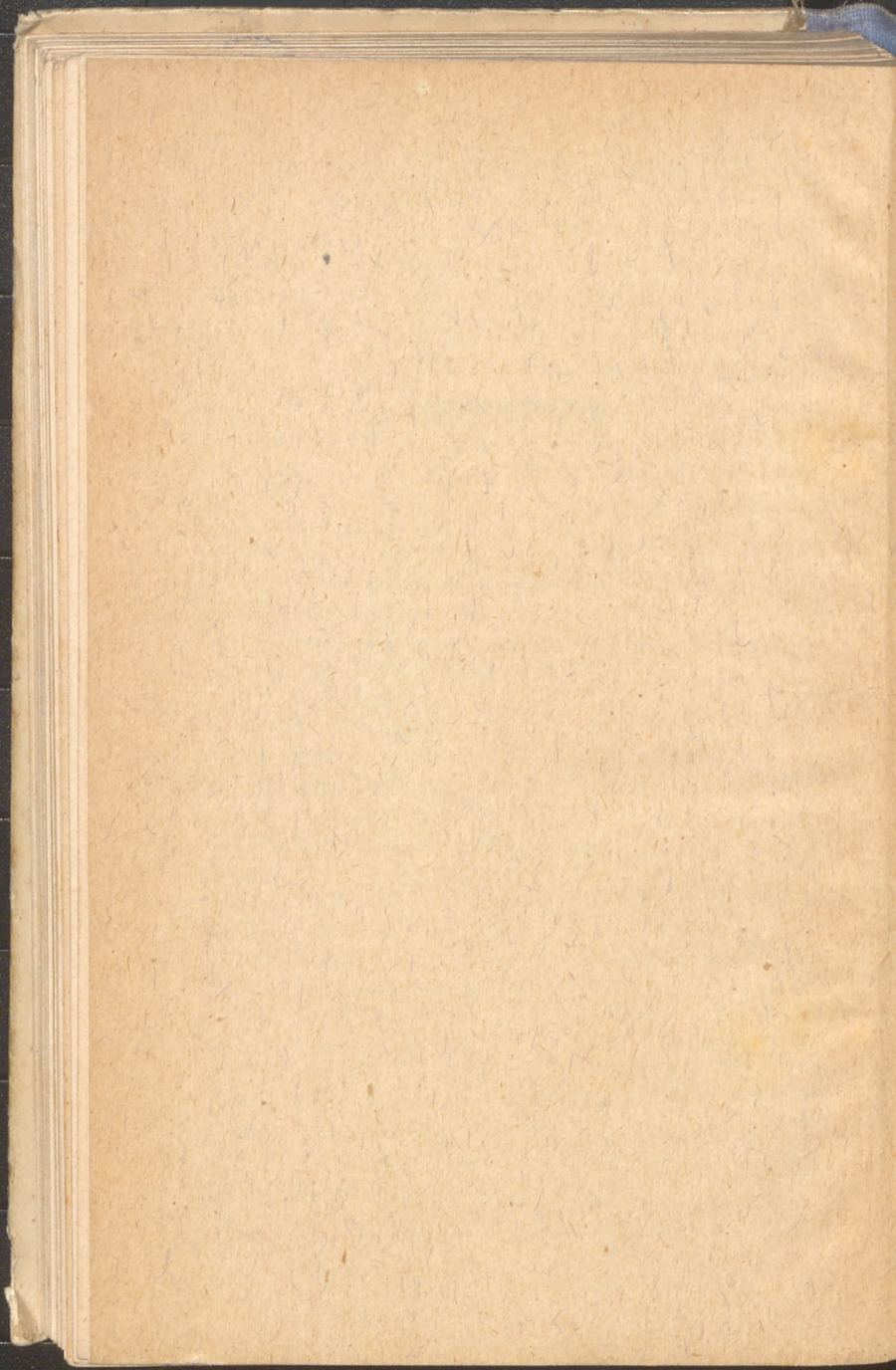
## SPIS RZECZY.

	Str.
I. Narwani Francuzi . . . . .	1
II. Pole dyamentowe . . . . .	17
III. Nieco nauki nie zaszkodzi przyjaźni . . . . .	30
IV. Wandergaart-Kopia . . . . .	40
V. Pierwsza próba . . . . .	47
VI. Zwyczaje w obozowisku . . . . .	58
VII. Katastrofa . . . . .	73
VIII. Wielka próba . . . . .	82
IX. Niespodzianka . . . . .	87
X. John Watkins rozmyśla . . . . .	97
XI. »Gwiazda Południa« . . . . .	109
XII. Przygotowania do pościgu . . . . .	118
XIII. Poprzez Transwaal . . . . .	126
XIV. Na północ od Limpopo . . . . .	139
XV. Spisek . . . . .	148
XVI. Zdrada . . . . .	161
XVII. Afrykański steeple-chase . . . . .	170
XVIII. Gadający struś . . . . .	177
XIX. Cudowna grotta . . . . .	191
XX. Powrót . . . . .	205
XXI. Sprawiedliwość wenecka . . . . .	216
XXII. Nowy rodzaj kopalni . . . . .	226
XXIII. Przerwana uczta . . . . .	235
XXIV. Gasnąca gwiazda . . . . .	242

118

118

118



Ant Naule  
Kinkidw 5.04.88  
700

# Wydawnictwa Gebethnera i Wolffa.

- 445088/ 700
- I. 50. 185  
T. 6
- Dygasiński Ad.** Przygody młodzieńca, czy młodzieży. Wyd. drugie, z 6 rys. W oprawie . . . . . 2 —
- Falkenhorst G.** Z dziejów odkrycia Ameryki. Opowiadanie historyczne, przełożył K. Jurkiewicz. Wyd. drugie, z 16 rycin. W oprawie . . . . . 2 60
- Gębarski St.** Napoleon w Egipcie. Opowiadanie historyczne dla młodzieży. Z 18 rysunkami. W oprawie . . . . . 1 50
- \* — Z szerokiego świata. Podróże i opowiadania. Z ilustracyami. Karton. . . . . — 75
- Gennevraye A.** Ulicznik. Powieść dla młodzieży. Przekład z francuskiego T. W. Dzieło uwieńczone przez Akademię francuską. Z 5 rycinami. Wyd. drugie. Karton. Rb. 1.—. W opr. 1 30
- Girardin J.** Nygus, Ze wspomnień jedynaka, młodzieży poświęcone. Przekład z francuskiego C. N. Z ryciną. Karton. . . 1 —  
W oprawie . . . . . 1 30
- Gomulicki W.** Wspomnienia niebieskiego mundurka. Z 6 rysunkami K. Gorskiego. Karton. Rb. 1.20. W oprawie . . . . 1 50
- Grimm bracia.** Baśnie dla dzieci i młodzieży. Według oryginału niemieckiego opracowała Cecylia Niewiadomska. Z 16 rycinami w tekście. Wyd. trzecie. Karton. Rb. 1.20. W opr. 1 50
- Grimm A. L.** Powieści z 1001 nocy dla młodzieży. Wyd. czwarte z 6 chromolit. rycinami i kolorowaną okładką. Karton. . . 1 50
- Gruszecki A.** Na drugą półkulę. Opisy i przygody dla młodzieży. Z 8 rys. Stan. Sawiczewskiego. Karton. Rb. 1.20. W opr. 1 50
- Jaccoliot L.** Tajemnice Afryki. Przełożył z francuskiego K. Jurkiewicz. Wydanie trzecie, ozdobione 32 ilustracyami. Kart. 1 80  
W ozdobnej oprawie . . . . . 2 20  
Treść: Ostatni statek niewolniczy. — Bohater puszczy. — Stolica stepu.
- Kowerska Z.** W Suchowskim dworze, powieść dla młodego wieku z 6 rycinami A. Kamieńskiego. Karton. Rb. 1.20. W oprawie 1 50
- Kraków Paulina.** Pamiętniki młodej sieroty. Wydanie szóste z 4 rycinami. Karton. . . . . — 75  
— Wspomnienia wygnanki. Z 6 rycinami. Wydanie siódme Karton. . . . . — 75
- Kraszewski J. I.** Mistrz Twardowski, opracował dla młodzieży i wierszem uzupełnił Or-Ot. Z 7 rysunkami K. Gorskiego Karton. Rb. 1.—. W oprawie . . . . . 1 30
- Król Kazimierz.** Przygody i opowiadania misjonarza w Sudanie Egipskim, podług J. Ohrwaldera opracował Z 10 rycinami i mapką Egiptu. Karton Rb. 1.20. W oprawie . . . . . 1 50
- Królestwo zwierząt.** Obrazy z życia i obyczajów świata zwierzęcego. Według Brehma i innych najlepszych źródeł opracował W. Lakowitz. Przełożył z niemieckiego St. Rewieński z 340 rysunkami w tekście. Rb. 5 . . . . . 50
- Krynicki K.** Rys geografii Królestwa Prus. Poprawione i pomnożone, ozdobił 5 planami, z dodaniem n. . . . . 50  
Karton. . . . .

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001017552750